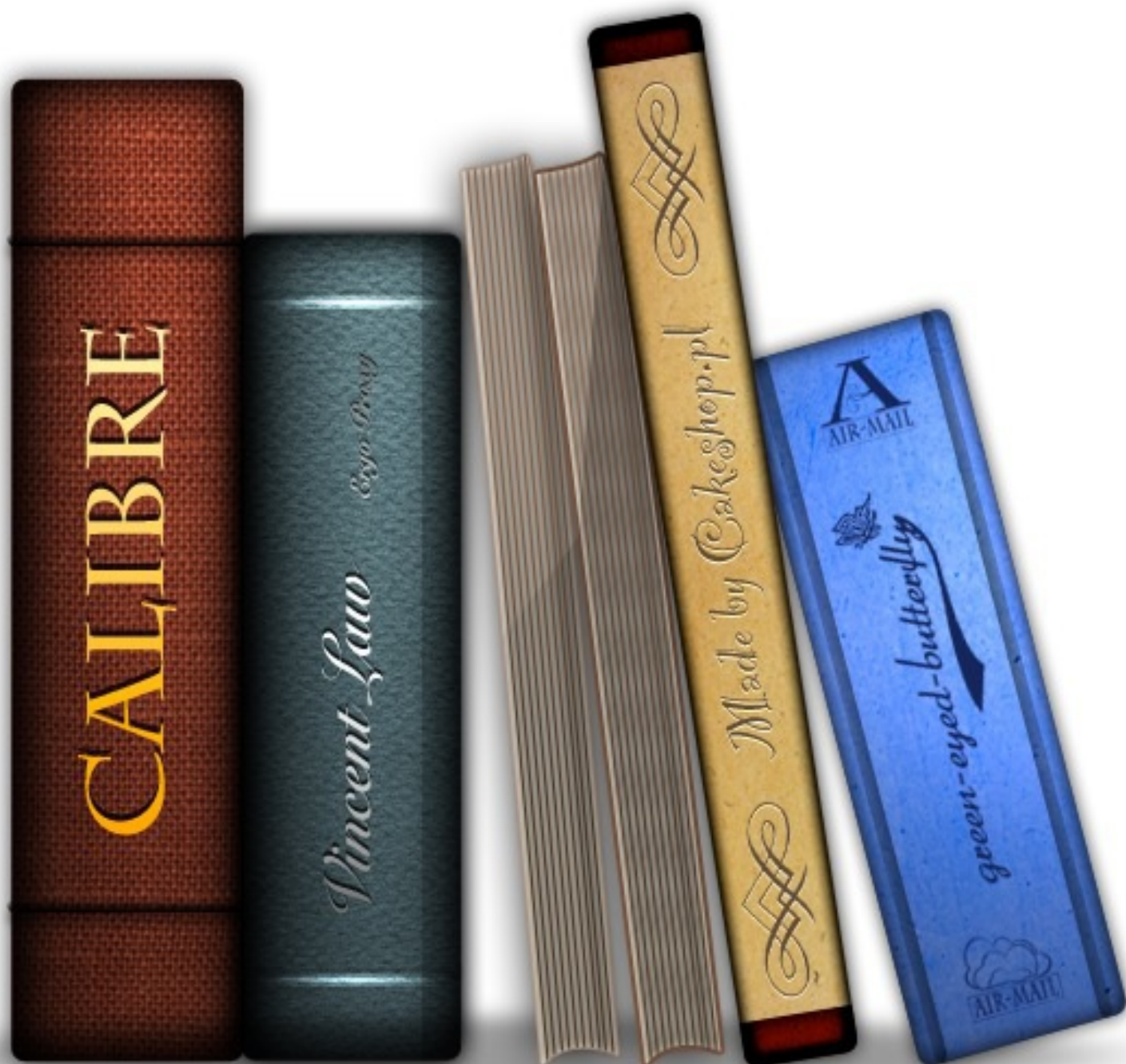


WIR PACYFIKU

CUSSLER CLIVE



calibre 0.7.20

WIR PACYFIKU

(Hawajski wir)

Tłumaczenie: Jarosław Kotarski

Wydanie polskie: 1992

Wydanie oryginalne: 1983

SŁOWO OD AUTORA

Nie jest to szczególnie ważne, ale ta książka jest pierwszą z serii przygód Dirka Pitta. Gdy zebrałem się na odwagę, by napisać powieść z gatunku sensacyjno-przygodowego, zacząłem szukać bohatera, który byłby inny niż ogólnie przyjęte wzorce obowiązujące w tym gatunku. Kogoś, kto nie byłby agentem wywiadu, policjantem czy prywatnym detektywem, kto równie dobrze czułby się na kolacji z piękną kobietą w renomowanym lokalu, jak i popijając piwo z kumplami w barze. Kogoś twardego, gdy trzeba i otoczonego mgiełką tajemniczości. Kogoś, czym naturalnym środowiskiem byłoby nie kasyno czy zaułki Nowego Jorku, ale morze. Kogoś, kto lubiłby nieznane i przyjmował ryzykowne wyzwania.

I tak w mojej wyobraźni narodził się Dirk Pitt.

Ponieważ w tej powieści brak skomplikowanej intrygi i ponieważ była to pierwsza napisana przeze mnie książka, nie chciałem jej publikować, jednakże długotrwała presja przyjaciół, rodziny, wydawcy i sympatyków w końcu zwyciężyła i oto debiut Dirka Pitta znalazł się w rękach czytelników.

Mam nadzieję, że powieść zapewni kilka godzin przyjemnej rozrywki, a być może przez część czytelników zostanie potraktowana jako swoista ciekawostka historyczna.

Clive Cussler

PROLOG

Każdy ocean odbiera daninę statków i ludzi, ale żaden nie jest żarłoczniejszy od Pacyfiku. Apetyt tego ogromnego zbiornika wodnego jest znany, podobnie jak i to, że pochłania swe ofiary w niezwykły i nieoczekiwany sposób. Tutaj miał miejsce bunt na „Bounty” i spalenie okrętu na Pitcairn Island, tu zatonał „Essex” - jedyny statek, o którym wiadomo na pewno, że zatopił go wieloryb. Przypadek ten zainspirował Melville’a do napisania *Moby Dicka*. Tu także pod kadłubem „Hai Maru” eksplodował podwodny wulkan. Jednak pomimo tych wszystkich wybryków największy ocean Ziemi zazwyczaj jest cichy i spokojny. Mimo to, a właściwie zwłaszcza dlatego nie należy go lekceważyć. Osoby ciche i wstydlive często zmieniają się w bestie; ujawniają cechy charakteru, o które nikt by ich nie podejrzewał.

Takie myśli były jednak zupełnie obce komandorowi Feliksowi Dupree, gdy tuż przed zmrokiem wspinał się na mostek swego atomowego okrętu podwodnego „Starbuck”. Skinął głową oficerowi wachtowemu i oparł się o reling. Z rozkoszą wdychając morską bryzę, pełen zawodowej dumy spoglądał na obły dziób okrętu z łatwością prujący fale.

Większość ludzi czuje przed morzem respekt, a nawet się go boi. Ale nie Dupree. Człowiek ten żywił do morza takie uczucia jak ateista dla religii: owszem, należy akceptować gniew burzy i spokój ciszy, lecz nigdy nie dać się zwieść ich urokowi. Spędził dwadzieścia lat na morzu, z czego czternaście na okrętach podwodnych, ale ciągle pragnął czegoś więcej. Był kapitanem najnowszego, najbardziej doskonałego okrętu podwodnego na świecie, ale i to mu nie wystarczało.

„Starbuck” niedawno opuścił stocznię w San Francisco. Konstrukcja okrętu od kilu do ostatniej śrubki była całkowicie nowatorska - każdy element i każdy system został zaprojektowany przez komputer, dzięki czemu „Starbuck” był prekursorem nowej generacji podwodnych miast zdolnych płynąć dwa tysiące stóp pod powierzchnią z szybkością dwudziestu pięciu węzłów. W tym rejsie przypominał konia wyścigowego czystej krwi na pierwszym pokazie, niespokojnego i gotowego zademonstrować, co potrafi. Widowni jednak nie było. Był to bowiem pierwszy rejs okrętu i Departament Obrony polecił przeprowadzić próby na pustkowiu w całkowitej tajemnicy. Dodatkowo, by uniknąć ciekawskich, okręt podwodny popłynął sam, bez towarzyszącej zwykle w takich przypadkach jednostki nawodnej.

Dupree został wybrany na dowódcę tego dziewiczego rejsu dzięki reputacji osoby trzeźwo myślącej i zwracającej uwagę na szczegóły. W Annapolis uzyskał przydomek „Bank danych”, gdyż wystarczyło podać mu fakty i czekać, aż udzieli logicznych odpowiedzi. W US Navy znano jego talent, ale na stanowiskach admirałskich umiejętności oceniano na równi z osobowością, znajomościami i talentem do zjednywania sobie ludzi, a tych cech Dupree nie miał. W efekcie pomijano go przy awansach.

Rozległ się brzęczyk wewnętrznego telefonu. Wachtowy odebrał, słuchał przez chwilę w milczeniu, skinął głową i odwieszając słuchawkę, zameldował:

- Sonar melduje, że dno w ciągu ostatnich pięciu mil podniosło się o tysiąc pięćset stóp, sir.

- Prawdopodobnie jakiś podwodny łańcuch górski - mruknął Dupree. - Ciągle jeszcze mamy pod sobą milę wody. Nie ma obawy, nie utkniemy na mieliźnie.

- Zawsze lepiej mieć parę stóp w zapasie - uśmiechnął się porucznik.

Dupree odpowiedział uśmiechem i powoli odwrócił się w stronę dziobu, unosząc lornetkę zawieszoną na szyi. Wiedział, że to niepotrzebne, gdyż system radarowy wykryłby przeszkodę o wiele wcześniej niż oko obserwatora, ale był to nawyk wyrobiony przez setki godzin spędzonych na starych okrętach i poświęconych przeszukiwaniu otaczających wód w poszukiwaniu wroga lub przyjaciela. Poza tym patrzenie na fale przez szkła było czymś naprawdę uspokajającym. W końcu z westchnieniem opuścił lornetkę i oznajmił:

- Schodzę na kolację. Proszę przygotować mostek do zanurzenia o dwudziestej pierwszej.

Dupree zszedł trzy poziomy niżej i znalazł się na stanowisku dowodzenia. Nad zasłanym mapami stołem nawigacyjnym zastał pochylonych nawigatora i pierwszego oficera.

- Mamy dziwne odczyty, sir - odezwał się Pierwszy na jego widok.

- Nie ma to jak jakaś tajemnica na zakończenie dnia - mruknął Dupree; był w dziwnie dobrym nastroju. Podszedł do nich i spojrzął na papier rozpostarty na podświetlonym od spodu blacie. Mapę pokrywała siatka krótkich, krzyżujących się linii opatrzonej odręcznymi notatkami i wzorami matematycznymi. - W czym problem? - zapytał.

- Dno podnosi się w sposób naprawdę zaskakujący - zaczął powoli nawigator. - Jeżeli w ciągu dwudziestu pięciu mil to się nie zmieni, wylądujemy na wyspie czy też wyspach, które według mapy po prostu nie istnieją.

- Jaką mamy pozycję?

- Jesteśmy tu, sir. - Ołówek nawigatora wskazał miejsce. - Sześćset siedemdziesiąt mil na północ od Kahuku Point na Oahu, kurs zero-zero-siedem stopni.

Dupree sięgnął po mikrofon zwisający obok tablicy kontrolnej.

- Radar, tu kapitan. Macie coś na ekranie?

- Nie, sir - odparł mechanicznie operator. - Ekran czysty... zaraz... poprawka, sir. Mam słabe echo na horyzoncie, dwadzieścia trzy mile przed dziobem.

- Co to jest? Wyspa?

- Nie, sir. Raczej chmura lub dym. Nie jestem pewien, sir.

- Dobrze, proszę zameldować jak tylko zidentyfikujecie odczyt. - Dupree odwiesił mikrofon i odwrócił się do stołu nawigacyjnego. - I co panowie na to?

- Jeżeli to dym, to musi być i ogień - zastanowił się na głos Pierwszy. - Co może się tu palić? Wyciek ropy?

- Z czego? - spytał zniecierpliwiony kapitan. - Jesteśmy z dala od wszystkich linii żeglugowych. Najbliższa, z San Francisco do Honolulu i dalej na wschód, leży czterysta mil na południe. Nie, płonąca ropa nie ma sensu. Nowy, dotąd nie rejestrowany wulkan, to już lepsze przypuszczenie, ale nadal jedynie przypuszczenie.

Tymczasem nawigator naniósł na mapę namiar radaru i obwiodł go niewielkim kółkiem.

- Chmura nad samą wodą też nie - mruknął. - Warunki atmosferyczne całkowicie wykluczają możliwość powstania czegoś takiego.

- Kapitanie, tu radar - rozległo się z głośnika. - Zidentyfikowaliśmy to, sir. Odczyt taki sam jak ławica mgły w New England. Gruba powłoka o średnicy około trzech mil.

- Jesteście tego pewni?

- Mogę się założyć o następny awans, sir.

Dupree przełączył mikrofon na mostek i poinformował wachtowego:

- Poruczniku, nowy kontakt radarowy przed dziobem. Proszę zameldować, jak tylko pan coś dostrzeże. - Wyłączył mikrofon i spytał Pierwszego: - Jaka jest aktualna głębokość?

- Dwa tysiące osiemset stóp i nadal szybko maleje, sir.

- Szału można dostać - mruknął nawigator, ocierając pot z karku. - Jedyne takie wzniesienie, o którym słyszałem, jest w Rowie Peruwiańsko-Chilijskim. Zaczyna się na dwudziestu tysiącach stóp pod powierzchnią i wznosi się o milę na odcinku każdej mili. Do tej pory jest uznawane za najbardziej strome podwodne zbocze na świecie.

- Mhm - mruknął Pierwszy. - Geolodzy będą mieli niezłe miny, gdy im pokażemy te wykresy.

- Może odnaleźliśmy zaginiony kontynent Mu?

- Daj spokój. Stanom Zjednoczonym potrzeba do szczęścia jeszcze jednego kontynentu, na który trzeba będzie wysłać pomoc.

- Tysiąc osiemset pięćdziesiąt stóp - zameldował sonarzysta.

- Boże - jęknął nawigator. - Tysiąc stóp w górę na mniej niż pół mili. To niemożliwe!

Dupree przeszedł na lewą stronę pomieszczenia i przysunął twarz do ekranu sonaru, którego cyfrowy odczyt ukazywał dno jako zygzakowatą linię ostro wznoszącą się ku czerwonej kresce oznaczającej powierzchnię morza.

- Czy istnieje możliwość złego wyskalowania? - spytał, kładąc dłoń na ramieniu operatora.

- Nie, sir. - Operator przełączył coś i sąsiedni ekran ożył, ukazując ten sam obraz. - Sprawdziłem to wcześniej. To odczyt z zapasowego sonaru; jest dokładnie taki sam.

Dupree obserwował przez chwilę stale wznoszący się zygzak, po czym wrócił do stolika i przyjrzał się aktualnej pozycji, którą naniósł nawigator.

- Tu mostek - odezwał się głośnik. - Przed nami ławica mgły.

- Rozumiem. - Kapitan wyłączył mikrofon, nadal w zamyśleniu wpatrując się w mapę.

- Mamy wysłać wiadomość do Pearl Harbor, sir? - spytał nawigator. - Może powinni wysłać na rozpoznanie samolot?

Dupree milczał, bębniąc lekko palcami po blacie. Rzadko podejmował błyskawiczne decyzje. Jeżeli nie musiał, to wolał postępować zgodnie z regulaminem.

Znaczna część załogi służyła już pod jego rozkazami i choć nie uwielbiali go ślepo, to jednak cieszył się szacunkiem i podziwem za trafność podejmowanych decyzji. Ufali mu i byli pewni, że nie będzie niepotrzebnie ryzykował i narażał zarówno swego, jak i ich życia. W każdym innym wypadku mieliby rację i on sam pierwszy by to przyznał, ale tym razem mylili się i to całkowicie.

- Sprawdźmy to - powiedział cicho.

Zastępca i nawigator wymienili podejrzliwe spojrzenia. Rozkazy były jasne - przetestować i sprawdzić okręt, a nie gonić za dziwną mgłą. Mimo wątpliwości wzruszyli ramionami i wydali stosowne instrukcje.

Nikt nigdy się nie dowie, dlaczego komandor Dupree nagle postąpił wbrew swej naturze i odstąpił od dosłownego wykonywania rozkazów. Być może tym razem nieznanie zbyt silnie go przyciągało, a być może ujrzał się w roli odkrywcy wracającego do portu w chwale po należne mu, a dotąd odmawiane uznanie. Jakikolwiek powody by nim nie kierowały, zaginęły wraz z okrętem, który zmienił kurs i pomknął przez fale niczym ogar za świeżym tropem.

„Starbuck” miał wpłynąć do Pearl Harbor w poniedziałek następnego tygodnia. Gdy nie pojawił się, a radiowe wezwania pozostały bez odpowiedzi, zorganizowano zakrojone na wielką skalę poszukiwania lotnicze i morskie. Bezskutecznie. Nie odkryto ani okrętu, ani jakichkolwiek szczątków, ani plam ropy. US Navy musiała przyznać się do utraty najnowszego okrętu podwodnego wraz z całą, liczącą sto sześćdziesiąt osób załogą. Oficjalnie ogłoszono, że USS „Starbuck” zaginęł na Pacyfiku wraz z całą załogą. Czas, miejsce i przyczyna pozostały nieznanne.

ROZDZIAŁ 1

Wśród zatłoczonych hawajskich plaż nadal możliwe jest znalezienie łachy piasku oferującej względną, a czasami nawet całkowitą samotność. Jednym z takich nigdzie nie reklamowanych miejsc jest plaża na Kaena Point, wrzynająca się w Kauai Channel. Można się tu spokojnie i samotnie poopalać i odprężyć. Plaża zachwycała pięknem, ale był to urok zwodniczy. Omywały ją gwałtowne prądy, groźne nawet dla bardzo doświadczonych pływaków. Co roku, niby w jakimś upiornym rozkładzie jazdy, ginął tutaj co najmniej jeden amator kąpielni zwabiony łagodnością fal. Wypływał bez problemów, ale gdy tylko próbował wracać, natykał się na prąd znoszący go błyskawicznie i nieustępliwie na otwarte morze. Paniczne krzyki o pomoc słyszały jedynie szybujące w górze albatrosy.

Tego dnia, na tej właśnie plaży wygrzewał się potężnie zbudowany mężczyzna ubrany w białe kąpielówki, które ładnie kontrastowały z opalenizną. Owłosiona pierś unosiła się miarowo w powolnym oddechu wskazującym na sen. Leżący zasłonił oczy muskularnym ramieniem, przykrywając częściowo czarne, gęste włosy. Widoczna część twarzy miała regularne, przyjemne rysy.

Dirk Pitt, gdyż to jego sześć stóp i trzy cale smażyły się na słońcu, obudził się i uniósł na łokciach, rozglądając się ciemnozielonymi oczyma. Dla większości ludzi plaża była miejscem zabaw, opalania się i obserwacji licznych nagusów. Dla Dirka plaża była jakby żywą istotą, która ciągle zmienia kształt i charakter, poddając się działaniu wody i wiatru. Fale docierające do brzegu, rosnące o tysiące mil od brzegu na targanym sztormem oceanie, dochodząc do płycizny, wznosiły się na mniej więcej osiem stóp i załamywały się z rykiem, po czym spokojnie osiągały brzeg, łagodnie omywając piasek.

Nagle jego uwagę zwrócił nieoczekiwany błysk oddalony o jakieś trzysta jardów od brzegu. Rozbłysk natychmiast zniknął zakryty kolejną falą, ale po chwili znów się pojawił. Kształt z tej odległości był nie do zidentyfikowania, ale kolor nie ulegał wątpliwości: fluorescencyjna, jaskrawa żółć.

Najrozsądniej było po prostu leżeć dalej i czekać, aż w końcu prąd wyniesie ów nieznaną obiekt na brzeg. Minęło jednak pół godziny, a to żółte coś nadal kołysało się radośnie na wodzie. Pitt stracił resztki cierpliwości i przyglądając się obiektowi niczym kot oddzielonej bagnem myszy, zepchnął zdrowy rozsądek na drugi plan. Powoli wstał i ruszył w kierunku wody. Gdy sięgnęła mu do kolan, rzucił się szczupakiem, tak obliczając ruch, by załamująca się fala przepłynęła ponad nim. Woda była ciepła jak w wannie - pomiędzy siedemdziesiąt pięć a siedemdziesiąt osiem stopni Fahrenheita. Wynurzył głowę na powierzchnię i popłynął, pozwalając w znacznej mierze nieść się prądowi ku głębszej wodzie. Nie musiał unosić głowy, by na czas dostrzec kolejną falę - wiatr zwiewający z jej szczytu mgiełkę wodnego pyłu docierał do Pitta wystarczająco wcześnie, by zdążyć nabrać powietrza i poczekać, aż potężna ściana wody przepłynie nad nim. Potem znów była chwila spokoju, wydech i sytuacja powtarzała się.

Po kilku minutach przestał płynąć. Unosił się w miejscu, wykonując jedynie nieznaczne ruchy. Zejrzał się. Żółty przedmiot był o dwadzieścia jardów w lewo. Paroma silnymi uderzeniami ramion Pitt skompensował prąd znoszący go w prawo i dotknął palcami śliskiej, obłej powierzchni. Łup miał kształt cylindra długiego na dwie stopy, szerokiego na osiem cali i całkowicie otoczonego żółtą, wodoodporną osłoną z plastiku. Na końcach cylinder oznaczono czarnym napisem: US NAVY. Był lekki - ważył mniej niż sześć funtów i unosił się spokojnie na powierzchni. Pitt objął go i przez chwilę pozwolił ręką odpocząć. Dało mu to okazję do dokładnego zorientowania się w sytuacji.

Plaża była pusta na parę mil w obu kierunkach. Niemożliwe więc było, by ktokolwiek mógł docenić jego głupotę i wezwać pomoc, informując władze. Spadzystym klifom rozciągającym się poza granicami plaży nawet nie poświęcił uwagi: szansa na to, by ktoś zabawiał się wspinaczką w środku tygodnia równała się zeru. Dopiero teraz zadał sobie pytanie, czysto zresztą retoryczne: po co zrobił coś aż tak głupiego? Stwierdził, że po raz kolejny podjął wyzwanie, nie licząc się zbytnio z konsekwencjami, a gdy je już podjął, to nie potrafił zrezygnować. W konsekwencji znajdował się w mocy morza, które nie zamierzało dać mu szansy ucieczki.

Przez chwilę rozważał szansę płynięcia wprost do brzegu, ale tylko przez chwilę. Mark Spitz mógłby tego dokonać, ale Mark ćwiczył pół życia, zanim zdobył olimpijskie złoto i nie wypalał przy tym paczki papierosów dziennie ani nie kończył dnia kilkoma podwójnymi Cutty Sark z lodem. Jedyne co dawało nadzieję, to przechytrzenie starej matki natury w jej własnej grze. Otaczające go fale były znacznie niższe, a prąd znacznie słabszy. Uśmiechnął się lekko - prądy i przeciwprądy były jego starymi znajomymi, podobnie jak każdego, kto parę lat zajmował się surfingiem. Znał ich zasady i sztuczki. Pływak mógł zostać zniesiony na pełne morze mimo rozpaczliwych wysiłków, by temu zapobiec, a tymczasem bawiące się kilkadziesiąt jardów dalej dzieci nawet nie czuły najmniejszego muśnięcia prądu.

Prądy takie jak ten powstawały, gdy fala przypluwająca powracała do oceanu przez wąskie kanały w podwodnych piaskach spowodowane najczęściej przez sztormy. W zależności od rozkładu tych kanałów oraz siły fali prąd osiągał rozmaite szybkości. Ten Dirk oceniał na co najmniej cztery mile na godzinę, co dla niezłego pływaka, którym zresztą był, i tak stanowiło niemałą trudność. Obserwując systematyczny spadek szybkości, z którą prąd ciągnął go ze sobą, Pitt doszedł do wniosku, że musiał znaleźć się na jego skraju. Wystarczyło teraz trochę wzmożonego wysiłku, by poruszając się równoległe do brzegu, wyrwać się z jego uścisku, po czym wylądować w innym miejscu niż to, z którego wypłynął.

Bardziej niż prądu obawiał się rekinów. Tak daleko od brzegu, wśród wysokich fal ryby te nie zawsze oznajmiały swą obecność płetwą tnącą powierzchnię, zawsze natomiast polowały. Bez maski do nurkowania nie mógł nawet dostrzec, czy nie grozi mu podwodny atak. Jedyłą nadzieję pokładał w tym, że zdoła dotrzeć do obszaru załamywania się fal bez spotkania z żarłocznymi bestiami. Na płytszych i bardziej wzburzonych wodach był w miarę bezpieczny - turbulencje, które tam istnieją, powodują unoszenie się sporej ilości piasku, a to z kolei utrudnia rekinom oddychanie. Jedyne najgłodniejsze z nich zapuszczają się w tak niegościnne okolice.

Teraz nie było sensu oszczędzać sił. Ruszył, potężnymi zagarnięciami młócąc wodę, zupełnie

jakby wszystkie rekiny Pacyfiku płynęły tuż za nim. Minał prawie kwadrans, zanim poczuł pierwsze, słabutkie jeszcze pchnięcie fali w stronę brzegu. Po kilku minutach silna fala uniosła cylinder i jego wystarczająco silnie, by zdołał osiągnąć brzeg. Ledwie dotknął kolanami piasku, szybko pozbiierał się i zataczając się niczym pijany, wyszedł z wody, ciągnąc za sobą cylinder. Opadł na piasek dwadzieścia jardów od linii przyływu. Odetchnął, wyciągając się na rozgrzanym piasku.

- Jeszcze nie tym razem - mruknął.

Po długiej chwili Pitt zainteresował się zdobyczą. Gdy zdjął plastikową osłonę, ujrzał aluminiowy pojemnik. Nigdy takiego nie widział. Boki wytłoczone były we wzorek przypominający do złudzenia miniaturowe tory kolejowe, a jeden koniec zamknięty był odkręcanym wiekiem. Drobnozwojowy gwint nacięty na szerokości kilku cali zapewniał zawartości dobrą ochronę przed wilgocią. Wewnątrz zaś znajdował się ciasno zwinięty rulon kilkunastu kartek papieru. Dirk wyjął je i rozprostował, przyglądając się stronicom odręcznego pisma wypełniającego urzędowe druki.

Żadna siła nie była w stanie powstrzymać go przed zapoznaniem się z treścią tego, co wyłowił. W miarę czytania, pomimo dziewięćdziesięciostopniowego upału, zaczęło mu się robić zimno. Rozejrzał się odruchowo, prawie pewien, że ktoś go obserwuje, ale poza paroma mewami drepczącymi po piasku bądź unoszącymi się nad wodą wokół nie było nikogo. Ptaki ignorowały go całkowicie. Próbował przerwać lekturę, ale to co czytał, zbyt przykuwało uwagę i było zbyt zaskakujące, by próby mogły się udać.

Gdy skończył, siedział nieruchomo przez dziesięć minut, wpatrując się pustym wzrokiem w ocean. Pod dokumentami widniał podpis: admirał Leigh Hunter. Dirk wolno wsunął papiery do cylindra, zakręcił pokrywę i dokładnie założył plastikową osłonę. Wokół panowała cisza tak nienaturalna, że aż dzwoniło w uszach - nawet huk załamujących się fal był jakby stłumiony i nienormalny. Wstał, otrzepał się z piasku, wsunął cylinder pod pachę i ruszył wzdłuż brzegu, szukając miejsca, w którym jeszcze nie tak dawno beztrudnie się wylegiwał. Znalazł je po krótkiej chwili. Zawinął cylinder w matę i pospieszył ku drodze biegnącej wzdłuż morza. Przy zakręcie stał jego jaskrawoczerwony Ford Cobra AC, czekając niczym wierny pies na powrót pana. Pitt wrzucił bagaż na siedzenie obok kierowcy i wsiadł, sięgając od razu do stacyjki. To co przeżył, wytrąciło go z równowagi do tego stopnia, że przez chwilę nie był zdolny do logicznego myślenia. Skłął się w duchu, co pomogło mu odzyskać równowagę, uruchomił silnik i ruszył ku drodze numer 99. Minał Wailaua, następnie malowniczy i zazwyczaj wyschnięty potok Kaukomahua, a potem Schofield Barracks Military Reservation, skręcając ku Pearl City i całkowicie ignorując przepisy ruchu drogowego i patrolę policji.

Po lewej stronie wznosiły się szczyty Koolau, jak zwykle skryte za deszczowymi chmurami. Minał pole ostro kontrastujące swą zielenią z czerwoną, wulkaniczną glebą i nie zwracając uwagi na krótkotrwałą, silną ulewę, dotarł do bramy wjazdowej na teren portu Pearl Harbor. Wyjął ze skrytki na rękawiczki portfel i pokazał wartownikowi, sierżantowi Marines, swą służbową kartę identyfikacyjną. Podoficer dość dokładnie przestudiował dokument, porównał zdjęcie z oryginałem, zwrócił portfel, zasalutował i odszedł nieco na bok. Dirk odruchowo odsalutował. Uzmysłowił sobie, że choć doskonale wie, kim jest admirał Hunter, to pojęcia nie ma, gdzie jest jego sztab. Spytał

więc wartownika, który po długiej próbie tłumaczenia wyjął w końcu kartkę i narysował plan. Podając go Pittowi, ponownie zasalutował.

Ford zatrzymał się przed niepozornym, betonowym budynkiem stojącym przy terenie doków. Gdyby nie planik sierżanta, Pitt nie zwróciłby uwagi na nie rzucający się w oczy napis nad wejściem: Sztab 101. Floty Ratowniczej. Wyłączył silnik, wziął zapiaszczoną paczkę i wysiadł. Wchodząc do wnętrza, zaczął żałować, że przeczucie nie kazało mu zabrać na plażę szortów i koszuli. Przeczucia jednak nie było, ubrania też, a nade wszystko brak było czasu. Wzruszył ramionami i podszedł do biurka, przy którym marynarz w letnim mundurze uderzał od niechcenia w klawisze maszyny do pisania. Na tabliczce stojącej na blacie widniało: Marynarz G. Yager.

- Przepraszam - zaczął Pitt. - Chciałbym zobaczyć się z admirałem Hunterem.

Marynarz uniósł głowę i oczy prawie wyszły mu z orbit.

- Jezu, chłopie! Zgłupiałeś? Co ty wyprawiasz, przyłaząc tu w majtkach? Jak stary złapie cię w tym stroju, to już jesteś martwy. Zmiataj stąd albo wylądujesz w pierdłu.

- Wiem, że to nie jest strój wieczorowy, ale rzeczą niesłychanie ważną jest, abym natychmiast zobaczył się z admirałem. - Pitt nadal był niezwykle uprzejmy.

Uprzejmość ta, nie wiedzieć czemu, wyprowadziła marynarza z równowagi. Poderwał się na równe nogi i poczerwieniał.

- Przestań się wydurniać! - warknął. - Albo wracasz na kwaterę i wytrzeźwiejesz, albo dzwonię po patrol.

- No to dzwoń! - Głos Pitta nagle stał się szorstki.

- To nie będzie konieczne, Yager. - Głos, który dobiegł z boku, miał brzmienie spychacza szorującego po betonie.

Dirk odwrócił się i znalazł oko w oko z wysokim, nieco podstarzałym oficerem stojącym sztywno w drzwiach prowadzących do kolejnego pomieszczenia. Oficer ubrany był w przepisową biel i zapięty pod szyję, a sądząc po ilości złota na rękawach, był prawdopodobnie tym, kogo Pitt chciał spotkać. Śnieżnobiała czupryna i wychudła twarz przypominały do złudzenia Johna Carradine'a w *Dylizansie*. W całej postaci jedynie oczy były żywe i wpatrywały się w niego z głębokim i serdecznym uczuciem, od którego włos staje dęba.

- Jestem admirał Hunter i daję ci dokładnie pięć minut, chłopcze. Postaraj się być zwięzły - oznajmił oficer.

- Tak jest, sir. - To było wszystko, co Pitt zdołał powiedzieć.

Hunter odwrócił się na pięcie i wszedł do gabinetu. Dirk podążył za nim. Czuł się trochę

nieswojo. Wokół starego, nieskazitelnie wypolerowanego stołu konferencyjnego siedziało trzech oficerów w nienaganych letnich mundurach, przypatrując mu się z mieszaniną zdumienia i oburzenia. Hunter przedstawił ich kolejno, ale nie udało mu się oszukać Pitta pozorowaną uprzejmością. Admirał starał się przestraszyć przybysza powagą stopni obecnych, uważnie go przy okazji obserwując. Wysoki blondyn w stopniu komandora porucznika i twarzy Johna Kennedy'ego nazywał się Paul Boland i był zastępcą Huntera. Krępy, grubawy kapitan mający kłopoty z nadmiernym poceniem się nosił nazwisko Orl Cinana i dowodził niewielką flotyllą jednostek ratowniczych. Niski, przypominający gnoma oficer, który uścisnął mu dłoń, został przedstawiony jako komandor Burdette Denver, adiutant admirała. Był jedynym, którego Pitt polubił od pierwszego wejrzenia.

- Okay, chłopcze. - Słyszac znów to określenie, Dirk chętnie oddałby swe miesięczne pobory za możliwość dołożenia gospodarzowi w zęby. - Przerwałeś ważną konferencję i postawiłeś tak mnie, jak i moich oficerów w niemiłej sytuacji. Wobec tego bądź tak dobry i powiedz nam, kim jesteś i o co chodzi. Będziemy ci za to dozgonnie wdzięczni.

Głos admirała był pełen sarkazmu i złośliwości. Pitt z trudem stłumił wzbierający w nim gniew.

- Pańska ranga, admirale, nie upoważnia pana do arogancji, toteż sugeruję, aby zaczął się pan zachowywać jak oficer i dżentelmen oraz zademonstrował pewną dozę dobrego wychowania, jeżeli naturalnie jest pan do tego zdolny - stwierdził, siadając wygodnie na wolnym krześle.

Drapiąc się lekko w brew, z nadzieją oczekiwał na wybuch, który z pewnością miał nastąpić. Nie musiał długo czekać. Cinana nie wytrzymał pierwszy.

- Ty wszarzu! - wybuchnął z twarzą wykrzywioną wściekłością. - Jak śmiesz obrażać admirała!

- Ten facet ma fioła. - Boland był spokojniejszy.

- Ty durny skurwielu, wiesz, do kogo mówisz? - krzyknął Hunter.

- Ponieważ zostaliście mi przedstawieni - odparł zapytany - to odpowiedź brzmi: z pewnością wiem.

- Patrol! - Pięść Cinany uderzyła w stół. - Na Boga, niech Yager dzwoni po patrol! Do paki z nim!

- Skurwysyn ma jaja, to mu trzeba przyznać. - Hunter zapalił papierosa i rzucił zapalną do popielniczki, chybiając o dobre sześć cali. - Wiesz, chłopcze, chyba nie zostawiasz mi wyboru.

- Nazwisko Pitt, Dirk Pitt, admirale, nie chłopcze - odpalił Dirk, spoglądając mu prosto w oczy. - Kiedy po raz ostatni nazwano pana chudzielcem?

Tym razem trafił. Hunter chwycił blat stołu tak mocno, aż zbieleły mu palce.

- Niech będzie, jak chcesz, Pitt czy jak cię tam zwą. Komandorze Boland, proszę polecić Yagerowi wezwać patrol.

- Nie robiłbym tego, sir. - Denver nagle wstał i stanął za Pittem, uśmiechając się złośliwie. - Człowiek, którego byliście panowie uprzejmi określić per wszarz i skurwiel i którego chcecie zakuć w łańcuchy, to rzeczywiście Dirk Pitt, który przypadkowo jest synem senatora George'a Pitta z Kalifornii, przewodniczącego Komitetu do Spraw Zaopatrzenia Marynarki. A w dodatku jest dyrektorem do spraw projektów specjalnych w NUMA, Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych dowodzonej przez admirała Sandeckera.

Cinana bąknął pod nosem kilka niecenzuralnych słów.

- Jesteś pewien? - Boland pierwszy się opanował.

- Tak, Paul. Całkowicie pewien. - Przeszedł kilka kroków, stanął naprzeciw Pitta i wyjaśnił: - Nigdy się nie spotkaliśmy, ale mój kuzyn z NUMA wystarczająco często o panu mówił. To komandor Rudi Gunn.

- Pracowaliśmy razem kilka razy - uśmiechnął się Pitt. - Teraz rozumiem, skąd pana twarz wydawała mi się znajoma. Jedyna różnica polega na tym, że Rudi nosi szkła w rogowej oprawie.

- W młodości nazywałem go z tego powodu „Borsuk”.

- Nie omieszkać tak go nazwać przy pierwszej okazji!

- Mam nadzieję... że nie poczuł się pan... hm, obrażony tym, co powiedzieliśmy - wykrztusił Boland.

- Nie - odparł Dirk, posyłając mu najbardziej cyniczne spojrzenie, na jakie mógł się zdobyć.

Hunter i Cinana wymienili spojrzenia, których wymowa była zupełnie jasna. Jeżeli starali się zignorować skrępowanie wynikające z obecności w ich elitarnym i prestiżowym gronie półnagięgo syna senatora USA, któremu widoczną przyjemność sprawiało obrażanie ich, to zupełnie im się to nie udawało.

- Okay, panie Pitt. Dlaczego tak pilnie chciał się pan ze mną zobaczyć? - spytał Hunter, przestając się bawić w subtelności.

- Jestem tylko posłańcem - odparł dziwnie cicho Pitt. - Opalając się na plaży, znalazłem coś, co należy do pana.

- No, no! - warknął Hunter. Najchętniej przyłożyłby Pittowi krzesłem. - Czuję się zaszczycony. Cóż to takiego i dlaczego na pewno należy do mnie?

Pitt rozejrzał się po obecnych, wiedząc, co za chwilę nastąpi i postawił na stole cylinder, nadal

zawinięty w matę.

- Wewnątrz są papiery. Na jednym z nich jest pańskie nazwisko.

Hunter nawet nie mrugnął. Gdyby był pokerzystą, zrobiłby majątek.

- Gdzie pan to znalazł? - spytał.

- W pobliżu Kaena Point.

- Wyrzucone na brzeg? - zaciekał się Denver.

- Nie, zobaczyłem to w morzu i popłynąłem po to, a potem przyholowałem do brzegu.

- Nie sądziłem, że da się wrócić tą drogą na Kaena Point - mruknął zaskoczony Denver.

- W pewnej chwili ja też - przyznał Pitt.

- Można zobaczyć, o czym mówimy? - wtrącił się Hunter.

Dirk skinął głową i rozwinął matę, zasypując przy tym piaskiem cały stół.

- Żółty plastik zwrócił moją uwagę - wyjaśnił, podając cylinder admirałowi.

- Rozpoznajecie to, panowie? - spytał Hunter.

Przytaknęli w milczeniu.

- Nigdy nie służył pan na okręcie podwodnym, panie Pitt, inaczej wiedziałby pan, jak wygląda kapsuła komunikacyjna. - Hunter postawił cylinder na stole i dotknął go lekko, prawie z namaszczeniem. - Kiedy okręt jest w zanurzeniu i nie chce przerywać ciszy radiowej, a musi skontaktować się z okrętem nawodnym płynącym jego śladem, to wiadomość zostaje wysłana w czymś takim. Do cylindra przymocowany jest pojemnik z czerwonym barwnikiem, który pęka po osiągnięciu powierzchni, barwiąc parę tysięcy stóp kwadratowych wody i ułatwiając odnalezienie kapsuły. Czytał pan zawartość?

- A skąd bym wiedział, że jest tam pana nazwisko? Żaden z pozostałych nie dostrzegł desperacji w oczach admirała.

- Mógłby pan dokładnie nam wszystko opisać?

Przez kilka długich jak wieczność sekund Pitt zaczął żałować, że w ogóle zwrócił uwagę na błysk żółci w wodzie. Ale było już za późno. Nawet teraz, jak stwierdził, jego wyobraźnia odrzucała przyjęcie tego, co przeczytał. Wziął głęboki oddech i powoli powiedział:

- Wewnątrz znajdzie pan wiadomość adresowaną do siebie, spisana na dwudziestu sześciu

kartkach wydartych z dziennika pokładowego USS „Starbuck”.

ROZDZIAŁ 2

Nie ma sposobu, by opisać piekło ostatnich pięciu dni

Początek ostatniej wiadomości od komandora Dupree ledwie przygotowuje na makabrę, którą zawiera (komentarz admirała Huntera).

Tylko ja jestem odpowiedzialny za zmianę kursu, która doprowadziła okręt i załogę do tego dziwnego i okropnego końca. Mogę jedynie opisać, najlepiej jak potrafię - a mój umysł nie funkcjonuje tak jak powinien - przebieg katastrofy i to co potem nastąpiło!

Przyznanie się do niepełnych władz umysłowych przez człowieka mającego reputację ludzkiego komputera jest czymś naprawdę zaskakującym.

14 czerwca o godzinie 20.40 weszliśmy w obszar mgły. Wkrótce, gdy dno było zaledwie 180 stóp pod kilem, dziób został rozerwany wybuchem. Woda błyskawicznie zalała dziobowy przedział torpedowy.

Nie ma słowa o tym, czy eksplozja nastąpiła wewnątrz, czy na zewnątrz kadłuba. Ciekawe dlaczego?

Dwudziestu czterech członków załogi miało szczęście umrzeć natychmiast. Mieliśmy nadzieję, że trójka będąca na mostku: porucznik Carter, marynarze Farris i Metford zdążyli wyskoczyć, zanim okręt zanurzył się. Tragiczne wydarzenia, które nastąpiły, dowiodły, iż było inaczej.

Jeśli, jak to wynika z opisu, okręt płynął na powierzchni, dziwne jest, że będący na mostku nie zdążyli zejść do wnętrza. Jeszcze dziwniejsze jest, że dowódca kazał zamknąć włazy, zostawiając ich na śmierć w takich okolicznościach - tłumaczenie o braku czasu jest co najmniej nieprzekonujące, gdyż oznaczałoby to, że okręt zatonął natychmiast. Jest to wysoce nieprawdopodobne.

Uszczelniliśmy okręt i kazałem przedmuchać balast przy silnym wychyleniu sterów. Było jednak za późno; trzaski od strony dziobu świadczyły wyraźnie, że okręt zarył się dziobem w dno.

Słuszne wydaje się założenie, że przy pustych zbiornikach balastowych i dziobie dotykającym dna na głębokości 180 stóp, rufa okrętu, długiego na 320 stóp, powinna pozostać na powierzchni. Tak się jednak nie stało.

Leżymy na dnie z przechyłem ośmiu stopni na sterburtę i dwoma stopniami w przód. Poza dziobowym przedziałem torpedowym reszta pomieszczeń jest sucha. Wszyscy jesteśmy już martwi, a winna temu jest moja głupota. Kazałem ludziom zaniechać dalszych działań. Moje szaleństwo zabiło ich wszystkich.

To jak dotąd największa zagadka: odliczając 25 stóp średnicy kadłuba, od włazu ratunkowego do powierzchni pozostało 135 stóp, co dla człowieka z aparatem tlenowym nie jest aż tak dużą odległością. Takie aparaty mają wszyscy członkowie załogi na pokładzie każdego okrętu podwodnego. W czasie drugiej wojny światowej ośmiu członków załogi USS „Tang” wypłynęło z głębokości 180 stóp, mając do dyspozycji jedynie własne płuca.

Jeszcze dziwniejsze są ostatnie zdania: co spowodowało szaleństwo Dupree? Jedynym rozsądnym wytłumaczeniem jest załamanie pod wpływem stresu, ale to dość trudne do zaakceptowania w jego przypadku.

Żywności nie ma, powietrza zostało jedynie na kilka godzin, a woda skończyła się trzeciego dnia.

Zastanawiające. Przy działającym reaktorze (a nigdzie nie ma wzmianki na temat jego awarii czy wyłączenia) załoga powinna przeżyć parę tygodni. Aparaty destylacyjne do wody pitnej były w stanie produkować więcej wody niż trzeba, a w przypadku podjęcia szczególnych kroków, by zredukować ilość gromadzącego się dwutlenku węgla przez wprowadzenie ograniczenia aktywności i zakazu palenia tytoniu, system wentylacyjny, który oczyszczał atmosferę okrętu i produkował tlen, utrzymywałyby przy życiu 63 ludzi we względnie znośnych warunkach, chyba że zdarzyłaby się jakaś awaria - co wydawało się mało prawdopodobne. Jedynie żywność stanowiła na dłuższą metę pewien problem. Ale ponieważ „Starbuck” w chwili zatonięcia praktycznie rozpoczynał rejs, ubytek zapasów nie mógł być większy niż jedna trzecia. Po zastosowaniu racjonowania żywności starczyłoby jej na następne 90 dni. Nieuchronna śmierć groziłaby ludziom jedynie w przypadku awarii reaktora.

Czuję dziwny spokój po podjęciu w końcu tej decyzji. Polecilem lekarzowi dać ludziom zastrzyki, by skrócić ich cierpienia. Naturalnie odejdę ostatni!

Boże! Czyżby Dupree pod wpływem szaleństwa faktycznie mógł zmusić załogę do masowego samobójstwa? (Pismo od tego momentu staje się drżące i trudne do odczytania).

Znów przyszli! Carter stuka w kadłub! Matko Boska, dlaczego jego duch nas tak torturuje?!

Jak to możliwe, by Dupree zaledwie po pięciu dniach całkowicie oszalał?

Możemy wytrzymać jeszcze tylko parę godzin. Ostatnim razem prawie udało im się otworzyć od zewnątrz rufowe wyjście awaryjne. Źle... [nieczytelny fragment] chcą nas wszystkich zabić, ale ich przechytrzymy. Nie będą mieli satysfakcji z mordu. Sami się zabijemy, zanim wejdą na pokład.

Kogo on, do diabła, miał na myśli? Czyżby załoga innego okrętu, na przykład radzieckiego trawlera szpiegowskiego, usiłowała dostać się na pokład?

Na powierzchni jest teraz ciemno, więc przerwali pracę przy kadłubie. Spróbuję wysłać tę wiadomość w kapsule komunikacyjnej. Jest spora szansa, że jej nie zauważą. Nasza pozycja [pierwsze cyfry skreślone] 32°43'15"N - 161°18'22"W.

Podana pozycja nie pasuje do niczego. Jest o ponad 500 mil od ostatniej pozycji, jaką meldował okręt. Pomiedzy meldunkiem a datą katastrofy upłynęło zbyt mało czasu, by zdołał pokonać tę odległość, nawet płynąc pełną szybkością, do czego zresztą nie miał powodów. Zagadki przeczą sobie wzajemnie i człowiekowi zaczyna kończyć się wyobraźnia. Nie da się wszystkiego wytłumaczyć szaleństwem Dupree!

Nie szukajcie nas, bo to i tak nic nie da. Oni nie pozwolą na odnalezienie choćby najmniejszego śladu. Gdybym wiedział, że użyją takiego wybiegu, wszyscy żylibyśmy do teraz. Proszę przekazać tę wiadomość do rąk admirała Leigh Huntera w Pearl Harbor.

Tak kończą się zapiski i to ostateczna zagadka. Dlaczego akurat mnie? Nigdy nie spotkałem komandora Dupree, „Starbuck” mi nie podlegał w żaden sposób. Wobec tego dlaczego zostałem adresatem testamentu okrętu i załogi? Jediną rzeczą, która jest pewna, jest fakt, że okręt rzeczywiście spoczywa na dnie gdzieś na północ od Wysp Hawajskich, ale z jakich przyczyn zatonął i gdzie, tego nie wiemy.

ROZDZIAŁ 3

Pitt siedział pochylony przy barze w hotelu Royal Hawaiian i wpatrując się tępo w drinka, przypominał sobie wydarzenia minionego dnia. Sceny przesuwaly się przed oczami wyobraźni niczym stary, niemy film. Jedna przebijała się na plan pierwszy i nie chciała zniknąć: ściągnięta, blada twarz Huntera. Gdy admirał skończył lekturę, uniósł wolno głowę i skinął nią w milczeniu. Pitt podał mu bez słowa dłoń, ukłonił się pozostałym i niczym zahipnotyzowany wyszedł. Nie pamiętał, jak dojechał do hotelu, jak wszedł do pokoju, umył się i ubrał. Dopiero gdy znów znalazł się na ulicy, kierując się w stronę baru, powoli odzyskał pamięć. Nawet i teraz siedząc nad szkocką, której nawet nie tknął, z trudem porządkował myśli pogrążony we własnym świecie. Nie słyszał gwaru i prowadzonych w sąsiedztwie rozmów.

W odkryciu kapsuły było coś dziwnego i groźnego, ale nie bardzo mógł sobie zdać sprawę co. Za każdym razem, kiedy próbował się skoncentrować na tym problemie, rozplýwał się on w nicość, by po chwili znów powrócić jak ómienie zęba.

Kątem oka dostrzegł mężczyznę siedzącego przy barze o kilka stołków dalej, który uniósł w jego kierunku szklankę z napojem. Pitt otrząsnął się z zadumy. Był to kapitan Orl Cinana ubrany podobnie jak on w spodnie i wielobarwną hawajską koszulę w kwiaty. Dirk skinął mu głową i Cinana z drinkiem w ręce przysiadł się do niego. Otarł chustką czoło, które mimo to pozostało mokre od potu.

- Mogę pełnić honory domu? - spytał z nieszczerym uśmiechem przybysz.
- Dzięki, ale nawet jeszcze nie ruszyłem. - Pitt wskazał na nietkniętą whisky.

Przy pierwszym spotkaniu nie poświęcił Cinanie większej uwagi i teraz był nieco zaskoczony, dostrzegając wyraźne podobieństwo w ich wyglądzie. Gdyby nie fakt, że Cinana był cięższy od Pitta o dobre piętnaście funtów, można by ich wziąć za krewnych. Oczywiście istniały pewne różnice, jak kolor oczu - zielone kontra piwne i wiek - trzydzieści pięć przeciwko pięćdziesięciu, lecz wzrost, kolor włosów i budowę ciała mieli podobne. Badawczy wzrok Pitta wprowadził oficera w zakłopotanie; zaczął bawić się drinkiem i wiercić na stołku, aż w końcu wykrztusił, nie podnosząc wzroku:

- Chciałbym przeprosić za to małe nieporozumienie, które miało dziś miejsce.
- Niech pan o tym zapomni. Sam nie byłem wzorem cnót i dobrego wychowania.
- Parszywa sprawa ze „Starbuckiem”. - Cinana wyraźnie odetchnął i upił tęgi łyk Collinsa.
- Większość tajemnic została w końcu rozwiązana, choćby „Thresher”, „Bluefin” czy „Scorpion”. US Navy nigdy nie zrezygnuje, dopóki nie zlokalizuje swej własności.

- Tym razem dawno zaniechano poszukiwań. - Orl był w ponurym nastroju. - Nigdy go nie znajdziemy.

- Nigdy więcej nie mów nigdy.

- Trzy tragedie, o których pan wspomniał, majorze, miały miejsce na Atlantyku. „Starbuck” miał pecha zniknąć na Pacyfiku. - Otarł pot z karku i dodał: - Mamy takie przysłowie o jednostkach, które giną na Pacyfiku: Tych, którzy leżą w głębinach Atlantyku, wskrzeszają pomniki, kwiaty i wiersze, natomiast ci, którzy spoczęli w Pacyfiku, leżą zapomniani na całą wieczność.

Pitta zafascynował ton głosu Cinany. Niemal wyobraził sobie spoconego oficera w roli kaznodziei wygłaszającego z ambony kazanie do okolicznych rybaków wyruszających na połów.

- Dupree podał dokładne położenie - odparł. - Przy odrobinie szczęścia sonar powinien wykryć go pierwszego dnia, a przy pechu pod koniec pierwszego tygodnia.

- Morze tak łatwo nie zdradza swoich tajemnic i nie oddaje ofiar. - Cinana odstawił puste naczynie. - Cóż, muszę się zbierać. Miałem tu kogoś spotkać, ale widocznie panienka położyła na mnie krzyżyk.

- Znam to uczucie - uśmiechnął się Pitt, ściskając podaną dłoń.

- Do widzenia. Powodzenia, majorze.

- Wzajemnie, kapitanie.

Cinana przecisnął się do wyjścia, a Pitt ponownie pogрузzył się w rozmyślaniach, tym razem na temat samotności. Niespodziewanie nabrał ochoty, by się upić i zapomnieć o istnieniu czegoś takiego jak USS „Starbuck”. Pragnął skoncentrować się na czymś naprawdę poważnym, jak na przykład poderwanie nauczycielki na wakacjach, która w domu w Nebrasce pozostawiła wszystkie przesady seksualne. Jednym haustem wychylił drinka i zamówił następnego.

Właśnie osiągnął stan nasycenia niezbędny dla dobrego humoru, gdy poczuł na karku łagodny nacisk kobiecych piersi. Para delikatnych dłoni objęła go w pasie. Niespiesznie odwrócił się i znalazł się oko w oko z przewrotnie uśmiechniętą Adrienne Hunter.

- Witaj, Dirk - szepnęła czule. - Potrzebujesz partnera do picia?

- Możliwe. Co z tego będę miał?

- Możemy iść do mnie, obejrzeć kino nocne i wymienić wrażenia.

- Nie da się. Muszę być wcześniej w domu. Mama kazała.

- No nie! Nie odmówisz chyba starej przyjaciółce skandalicznego wieczoru, prawda?

- Po to właśnie są przyjaciółki, co? - spytał sarkastycznie, odsuwając jej dłoń jednoznacznie zmierzającą w stronę rozporka. - Powinnaś sobie znaleźć nowe hobby. Przy szybkości z jaką realizujesz dotychczasowe, dziw człowieka ogarnia, że jeszcze cię nie sprzedano na złom.

- Całkiem interesująca możliwość - uśmiechnęła się rozmarzona. - Gotówka zawsze się przyda. Ciekawe, ile by za mnie dali?

- Prawdopodobnie cenę zużytej prezerwatywy.

- Rani się tylko tych, których się kocha - stwierdziła nie zmieszana. - Przynajmniej tak mówią.

Pitt przyznał, że pomimo wyniszczającego nocnego życia, nadal była atrakcyjna. Nie mógł też zapomnieć, jak doskonałą partnerką była w łóżku oraz że nigdy nie udało mu się zaspokoić jej oczekiwań.

- Nie chciałbym zmieniać tematu naszej podniecającej pogawędki - oznajmił - ale dziś po raz pierwszy spotkałem twego ojca.

- Naprawdę? - W jej głosie nie było śladu zaskoczenia czy zainteresowania. - A o czym to gawędziłeś z lordem Nelsonem?

- Na początku o tym, że nie obchodzi go sposób, w jaki się ubieram.

- Nie załamuj się. To, jak ja się ubieram, też go nie interesuje.

- W tym przypadku trudno go winić - mruknął, popijając drinka i obserwując ją znad szkła. - Żaden mężczyzna nie lubi, gdy jego córka ubiera się i zachowuje jak panienka z ulicy.

Zignorowała to, całkowicie nie zainteresowana faktem spotkania ojca z jednym z jej wielu kochanków. Siadła na sąsiednim stołku i spojrzała kusząco. Jej urodę podkreślały długie, czarne włosy opadające na ramiona. Skóra dziewczyny lśniła w przyćmionym świetle jak wypolerowany brąz.

- Co z tym drinkiem? - spytała, widząc że czar niezbyt działa.

Pitt przyjrzał się jej opalonej skórze i przeniósł spojrzenie na barmana.

- Brandy Alexander dla tej... hm... damy - polecił.

Spochmurniała trochę, a potem uśmiechnęła się.

- Wiesz, że to staromodne określenie? - spytała.

- Nadal jest w modzie. Wszyscy chcą mieć pannę taką jak ta, która poślubiła drogiego, starego tatusia. Tylko mało kto ma odwagę ładnie to nazwać.

- Mama była fajna - stwierdziła sztucznie obojętnym tonem.

- A tata?

- Tata był przelotem. Nigdy nie było go w domu, zawsze szukał jakiejś śmierdzącej barki albo starego wraku. Kochał morze bardziej niż rodzinę. Tej nocy, gdy miałam pecha się urodzić, uratował na Pacyfiku załogę tonącego tankowca. Gdy miałam absolutorium, szukał jakiegoś zaginionego samolotu, a gdy zmarła mama, z jakimiś długowłosymi zboczeńcami z Eaton School of Oceanography nanosił na mapę góry lodowe Grenlandii. - Wyraz jej oczu zdradził, że był to przykry temat. - Możesz nie rozpaczać nad stosunkami ojca i córki. Admirał i ja tolerujemy się nawzajem jedynie z powodów czysto towarzyskich.

- Jesteś już dorosła. Dlaczego nie ułożysz sobie życia inaczej?

Barman przyniósł jej drinka, którego zaraz zaczęła popijać.

- A co lepszego może spotkać dziewczynę? Przez cały czas otaczają mnie samce w mundurach. Kilkuset mężczyzn i żadnej konkurencji. Po co mam się stąd wynosić i zadowalać byle czym? Admirał potrzebuje rodziny, a ja potrzebuję go dla korzyści powiązanych z byciem córką admirała US Navy. - Przyjrzała mu się spokojnie i zmieniła temat. - To co? Jedziemy do mnie?

- Będzie pani musiała poszukać innej okazji, panno Hunter - rozległ się za nimi damski głos. - Kapitan czeka na mnie.

Oboje odwrócili się jak na komendę. Za nimi stała najbardziej egzotyczna kobieta, jaką Pitt kiedykolwiek widział. Oczy miała nieprawdopodobnie szare, kaskada miedzianych włosów opadała na ramiona, ostro kontrastując z zieloną suknią opinającą kształtne ciało.

Pitt błyskawicznie przeszukał pamięć. Był przekonany, że nigdy wcześniej nie widział tej piękności. Podniósł się ze stołka. Doznał miłego zaskoczenia, czując jak serce zaczyna mu bić żywiej. To była pierwsza kobieta, która rozpałała jego emocje od pierwszego wejrzenia.

Adrienne pierwsza przerwała niezręczną ciszę:

- Przykro mi, skarbie, ale... jak to się mówi, kto pierwszy ten lepszy, a ja go dziś pierwsza znalazłam.

Była najwyraźniej bardzo zadowolona z rozwoju wydarzeń. Odwróciła się i sięgnęła po brandy.

- Pani bezczelność, panno Hunter, ustępuje jedynie pani reputacji jako dziwki.

Adrienne była zbyt doświadczona, by zareagować natychmiast. Przez chwilę wpatrywała się w odbicie przeciwniczki w lustrze wiszącym za barem, po czym oznajmiła wystarczająco głośno, by usłyszeli ją wszyscy w promieniu trzydziestu stóp:

- Pięćdziesiąt dolarów? Biorąc poprawkę na widoczne amatorstwo i brak talentu to i tak więcej niż mogłaś się spodziewać.

Najbliżej siedzący przysłuchiwali się wymianie zdań, nie kryjąc zainteresowania. Ich reakcje były różne: kobiety przeważnie marszczyły brwi, mężczyźni natomiast uśmiechali się, spoglądając z zazdrością na Pitta. Dirk czuł się nieswojo - przeżywał taką sytuację pierwszy raz w życiu i nie bardzo wiedział, czy śmiać się, czy wściekać, widząc dwie atrakcyjne kobiety kłócące się o niego w miejscu publicznym.

- Mogę z panią porozmawiać na osobności, panno Hunter? - spytała tajemnicza dziewczyna.

- Dlaczego nie?

Adrienne zsunęła się z gracją ze stołka i obie wyszły przez drzwi prowadzące na plażę.

Dirk zafascynowany obserwował obie pary pośladków kołyszące się zgodnym i płynnym ruchem, który przypominał mu lot piłek plażowych porwanych przez wiatr. Westchnął i oparł się ciężko o bar. Poczł się jak pająk, który z pełnym brzuchem obserwuje dwie muchy krązące wokół jego sieci, pragnąc w duchu, by wylądowały w cudzej pajęczynie. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z faktu, że skupia ogólną uwagę, skłonił się więc z uśmiechem i odwrócił twarzą do baru.

Jak na jeden dzień miał dosyć niespodzianek. Coś mu jednak mówiło, że to jeszcze nie koniec. Trzeba było podreperować siły. Skinął na barmana i zamówił kolejną porcję whisky, tym razem podwójną.

Dwadzieścia minut później szarooka wróciła i stanęła za nim. Dirk był tak zamyślony, że minęła dłuższa chwila, zanim zdał sobie z tego sprawę i spojrzał w lustro. Widząc to, uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnie.

- Nagroda dla zwycięzcy? - spytała z wyraźnym wahaniem.

Siniak pod prawym okiem zaczynał zmieniać barwę z różowej na purpurową, a z niewielkiego rozcięcia w dolnej wardze popłynęło kilka kropel krwi, które wolno kapały na podbródek. Tej dziewczyny zapewne nie zaangażowano by do telewizyjnej reklamy kosmetyków, ale Pitt nadal uważał, że jest najbardziej godną pożądaną kobietą, jaką spotkał.

- A pokonany? - spytał.

- Przez parę dni będzie potrzebowała ostrzejszego niż zwykle makijażu, ale przeżyje bez trwałych uszczerbków.

Owinął wyłowioną z drinka kostkę lodu w chusteczkę i podał jej.

- Proszę to przyłożyć do wargi, powstrzyma puchnięcie.

Skinęła głową, zmuszając się do uśmiechu.

Ponieważ znów stali się ośrodkiem zainteresowania (tym razem przy wtórze niezbyt miłych komentarzy), Pitt zapłacił barmanowi, wziął dziewczynę pod ramię i wyprowadził na plażę. Rozejrzał się wokół, ale po Adrienne nie było śladu.

- Mógłbym się dowiedzieć, jaki był przebieg wypadków?

Odjęła od ust lód i odparła:

- Czyż to nie oczywiste? - uśmiechnęła się lekko. - Panna Hunter nie chciała słuchać głosu rozsądku.

- Kobiety rzadko to robią - stwierdził, przyglądając się jej z uwagą. Zastanawiał się, dlaczego wybrała właśnie jego. Dlaczego walczy o mężczyznę, którego widzi po raz pierwszy w życiu? O co jej chodzi? Pitt nie miał złudzeń - żadne studio filmowe nigdy by nie zaangażowało go na odtwórcę głównej roli w *Don Juanie*. Miał w życiu wiele kobiet, ale zawsze musiał się o nie starać. Nigdy same nie pchały mu się do łóżka, nie mówiąc o tym, by o niego walczyły. - Przejdziemy się po plaży? - spytał.

- Miałam nadzieję usłyszeć taką propozycję - odparła.

Uśmiechnęła się tym swoim pięknym uśmiechem. „Już ma mnie w rękach” - pomyślał. Dziewczyna spokojnie obserwowała jego oczy wędrujące po jej ciele w dół i powoli, bardzo powoli powracające do punktu wyjścia.

Piersi miała zadziwiająco drobne w porównaniu z resztą figury. Jej skóra połyskiwała w świetle księżyca i pochodni zatkniętych wokół hotelowego tarasu. Talia wąska, brzuch płaski, za to biodra zdawały się rozsadzać suknię. Gdyby nie kolor włosów, wyglądałaby na czystej krwi Indiankę.

- Jeżeli nadal będziesz się tak we mnie wpatrywał, to będę zmuszona doliczyć koszty kontemplacji.

- Myślałem, że galerie sztuki nie biorą za bilety.

- Nie, jeżeli się chce coś kupić - odparła, ściskając jego ramię.

- Raczej wypożyczam. Rzadko coś kupuję.

- Jesteś więc człowiekiem z zasadami.

- Mam parę, ale nie dotyczą one kobiet. - Zapach jej perfum wydawał mu się znajomy, ale nie mógł go rozpoznać.

Zatrzymała się i zdjęła buty, zanurzając stopy w chłodnym piasku Waikiki. Przez kilka minut

szyli w milczeniu owiewani delikatną, tropikalną bryzą. Dziewczyna mocniej chwyciła go za ramię i przytuliła się. Pitt pomyślał, że uczyniła to zdecydowanie za mocno.

- Na imię mam Summer - mruknęła, odwracając ku niemu głowę.

Jej oczy błyszczały w blasku księżyca. Zatrzymali się i bez słowa Dirk otoczył ją ramionami, całując delikatnie w usta. Bez żadnej przyczyny nagle doznał wrażenia, że coś mu zagraża, ale ostrzeżenie przyszło o sekundę za późno: w kroczu eksplodował przeszywający ból, gdy kolano dziewczyny trafiło go precyzyjnie w genitalia. Spowodowało to jego odruchową reakcję. Z zaskoczeniem dostrzegł własną pięść trafiającą ją w szczękę. Zachwiała się i osunęła na piasek.

Ukryte rezerwy siły, które występują dopiero w ostateczności, powstrzymały go od utraty przytomności. Łapał gorączkowo powietrze ogromnymi haustami, oczy miał pełne łez. Wolno osunął się na kolana przy nieruchomej postaci, ściskając krocze, jakby to mogło pomóc przezwyciężyć ból. Zaciśnął zęby, tłumiąc krzyk bólu i kołysał się w przód i w tył, czekając aż minie najgorsze. Po chwili rozejrzał się na boki, ale nie dostrzegł innych spacerowiczów. Leżąca na piasku dziewczyna i kiwający się nad nią facet trzymający się za jądra nie wzbudzili zainteresowania. Poza nimi na plaży była jedynie grupka gości i chłopców hotelowych, siedząca przy małym ognisku o jakieś dwieście jardów dalej i śpiewająca *Shells by the Seashore*. Chwilowo był więc bezpieczny.

Po kilku minutach ból nieco zmalął. Pitt zastanawiał się, co dalej. Nagle dostrzegł pomiędzy palcami prawej ręki dziewczyny jakiś przedmiot odbijający światło ogniska. Pochylił się i łagodnie wyjął z jej dłoni strzykawkę. Odkrycie to ogłupiło go do reszty. Summer wyglądała na najwyżej dwadzieścia pięć wiosen, zdawała się bezbronna, słodka i niegroźna. Sądząc jednak po zachowaniu, jej myśli były złe, mroczne. Uratował go jedynie refleks, gdyż niczego nie podejrzewał. Gdyby nie lewy prosty, to spokojnie wbiłaby mu igłę w żyłę i byłby to prawdopodobnie koniec ziemskiej kariery Dirka Pitta. Ciekawiło go, co zawiera strzykawka, wyrzucił więc igłę, a resztę wsunął do kieszeni na piersiach. Następnie z trudem przerzucił bezwładne ciało przez ramię i wstał. Przyszło mu na myśl, że panienka musi mieć w okolicy przyjaciół, toteż czym prędzej ruszył do swego hotelu. Nie był w formie do kolejnej wymiany uprzejmości. Gdy wolno kuśtykał po piasku, balansując, by nie upuścić bezwładnego ciała, odległość, którą miał przebyć, wydała mu się kosmiczna.

Chodniki pełne były turystów, jedynym więc wyjściem były zarośnięte ogrody położone na tyłach posesji i przemykanie w cieniu, z dala od blasku lamp. Ostatnią osobą, którą chciał spotkać, był policjant albo pełen dobrych chęci turysta mający ochotę zgrywać bohatera. Droga chodnikiem zajęłaby mu pięć minut, przekradanie się tyłami trwało dwadzieścia minut, wliczając w to trzy minuty przerwy. Chwilę stał po przeciwnej stronie ulicy, czekając, aż pijane towarzystwo zdecyduje się, w którą stronę ostatecznie chce iść. Przez ten czas osiągnął jedno: rozpoznał delikatne perfumy dziewczyny. Była to plumeria, zapach często spotykany na Hawajach, ale jak dotąd nie spotkał kobiety, która używałaby go jako perfum. Pijaczkowie podjęli w końcu decyzję i mógł przemknąć się przez opustoszałą ulicę. Ostatni odcinek pokonał biegiem, mokry od potu. Dotarł do drzwi i ostrożnie zerknął do środka. Na moment opuściło go szczęście - przy windach potężnie zbudowana, hawajska matrona czyściła odkurzaczem wykładzinę. Nie miał wątpliwości: widząc go z bezwładną panienką na ramieniu, natychmiast zaalarmuje policję. Z westchnieniem obszedł budynek, kierując się do

podziemnego garażu. Na szczęście poza paroma samochodami był on całkowicie pusty. Wszedł do windy, wcisnął przycisk dziesiątego piętra i z ulgą oparł się o ścianę.

Winda ku jego zadowoleniu nie zatrzymała się po drodze, a hall na szczęście okazał się pusty. Dotarł z trudem do drzwi swojego pokoju, gorączkowo wygrzebując z kieszeni klucz. Po kilku próbach włożył go w zamek i otworzył drzwi oznaczone numerem 1010.

Udekorowany pluszem i lustrami apartament był zbytkiem przekraczającym jego normalne możliwości, ale ponieważ były to pierwsze wakacje od trzech lat, stwierdził, że zasługuje na odrobinę luksusu.

Wszedł do sypialni i zrzucił dziewczynę na łóżko. W innym przypadku, patrząc na delikatne i piękne ciało, poczułby pożądanie, teraz jednak czuł tylko zmęczenie. Zostawił ją nadal nieprzytomną i wszedł do łazienki. Biorąc prysznic, doszedł do szokującego wniosku, że to wszystko nie ma sensu. Dlaczego ktoś obcy chciał go zamordować? Jego jedyną spakobierczynią była siwowłosa matka, która właściwie nie miała żadnego powodu, by się go pozbyć. Poza tym skąd miał pewność, że strzykawka zawierała truciznę? Znacznie bardziej prawdopodobny był narkotyk, ale nadal pozostawało pytanie - dlaczego? Nie znał tajnych szyfrów, nie miał dostępu do ściśle tajnych planów, więc po co ktoś miał się interesować jego skromną osobą? Zakończył prysznic zimnym tuszem, włożył szlafrok i wrócił do sypialni z mokrym ręcznikiem, który położył na czole dziewczyny. Z sadystycznym zadowoleniem stwierdził, że rano będzie miała na szczęce podręcznikowy okaz siniaka.

Nadal była nieprzytomna. Potrząsnął ją za ramiona. Powoli otworzyła oczy, wracając do świadomości. Przebudzenie w obcym miejscu przestraszyłoby większość kobiet, ale nie ją. Była twarda i prawie mógł dostrzec, jak jej umysł zaczął nadrabiać przerwę w działaniu. Błyskawicznie omiotła wzrokiem pokój - najpierw jego, potem drzwi, balkon i znów jego. Przyglądała mu się teraz obojętnie, zbyt obojętnie, by było to szczerze. Powoli uniosła dłoń i dotknęła szczęki, krzywiąc się lekko.

- Uderzyłeś mnie? - Było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie.

- Owszem. - Uśmiechnął się złośliwie. - A teraz, skoro mam cię w domowym zaciszu, myślę, że cię zgwałcę.

Dostrzegł jak jej oczy rozszerzają się z przerażeniem.

- Nie ośmielisz się!

- Skąd wiesz, że już tego nie zrobiłem?

Prawie dała się nabrać - dłoń ruszyła odruchowo w dół brzucha, zanim zdołała nad nią zapanować. Zarumieniła się.

- Chyba nie jesteś aż tak zboczony - powiedziała słabo.

- A kto mówił, że jestem?

Spojrzała na niego w dość szczególny sposób.

- Powiedziano mi... - przerwała, odwracając wzrok.

- Powinnaś być ostrożniejsza - stwierdził. - Wiara w plotki i bieganie po plaży, żeby zniecka przyłożyć komuś bezbronnemu, może zakończyć się całą górą problemów.

Przez kilka sekund wpatrywała się w niego, poruszając ustami, jakby chciała coś powiedzieć. W końcu wykrztusiła niepewnie:

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nieważne. - Sięgnął po telefon. - Niech się tym martwi policja. Za to im płacą tacy uczciwi obywatele jak ja, no nie?

- Błąd. - Jej głos nagle stał się twardy i zimny. - Zacznę wrzeszczeć, że mnie zgwałciłeś, a przy tych śladach, jakie mam na twarzy, jak myślisz, komu uwierzą?

Dirk spokojnie zaczął wciskać klawisze.

- Bez wątpienia tobie, dopóki Adrienne Hunter nie potwierdzi mojej wersji. Pewnie też ma parę ładnych śladów. - Nagle wpadł mu do głowy pomysł i oznajmił do słuchawki, w której wciąż jeszcze słyszał sygnał:- Halo! Chciałbym zgłosić napad...

Tyle tylko zdążył powiedzieć. Dziewczyna wyskoczyła z łóżka niczym pocisk i uderzyła w widelki.

- Proszę - powiedziała cichym, zdesperowanym głosem. - Nic nie rozumiesz!

- To dopiero podsumowanie wieczoru! - zdenerwował się. - Postaw kobietę w sytuacji, w której coś jej zagraża, a wygłosi któryś ze standardowych tekstów. Albo: „Przestań, to boli”, albo: „Nic nie rozumiesz”. Nie jesteś oryginalna! - Nagle złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Ich oczy dzieliło zaledwie parę cali. - Kopnąć człowieka w jaja, próbować wbić mu igłę w plecy, a jak się nie udało, grać idiotkę. W co ty się, do diabła, bawisz?

Spróbowała się uwolnić, ale natychmiast z tego zrezygnowała.

- Gangster - syknęła pełnym wściekłości głosem.

To przestarzałe określenie zbiło go z tropu. Puścił ją i zrobił krok w tył.

- To ja - przyznał z uśmiechem. - Jeden z cyngli Ala Capone, prosto z Chicago.

- Wolałabym, żeby... - przerwała, masując czerwieniejącą skórę ramion. - Jesteś diabłem!

Pitt nie czuł nienawiści. Współczuł jej odrobinę, widząc czerwone pręgi na ramionach dziewczyny. Zdał sobie sprawę, że chwycił ją trochę za mocno.

Milczenie przeciągało się.

- Powiem ci, co chcesz wiedzieć - odezwała się w końcu. Ton jej głosu zmienił się ledwie dostrzegalnie, ale oczy były całkowicie pozbawione wyrazu. - Ale najpierw pomóż mi dojść do łazienki. Chyba... chyba będę chora.

- Naturalnie - uśmiechnął się.

„To było zbyt proste” - pomyślał. Dziewczyna nie wyglądała na mającą w zwyczaju mdleć lub wymiotować. Wyciągnął rękę, chwytając ją za nadgarstek. Poczul napinające się pod naciskiem mięśnie. Nagle odbiła się od brzegu łóżka i szczupakiem rzuciła się całym ciężarem na niego, trafiając barkiem w brzuch. Pitt runął do tyłu, przewrócił krzesło i zaplątany w sznur stojącej obok lampy, wylądował na podłodze. Ledwie dotknął dywanu, gdy Summer zniknęła w otwartych błyskawicznie drzwiach wiodących na balkon.

Nawet nie usiłował wstać. Oparł się wygodnie o ścianę i poczekał pół minuty; dłużej nie był w stanie stłumić wesołości.

- Następnym razem, gdy będziesz próbowała uciekać przez balkon z dziesiątego piętra, nie zapomnij spadochronu - wykrztusił pomiędzy salwami śmiechu.

Powoli wróciła do środka, tym razem nie kryjąc wściekłości.

- Jest jedno brzydkie określenie na kogoś takiego jak ty - warknęła.

- Znam ich przynajmniej tuzin - odparł z uprzejmym uśmiechem.

Przeszła w drugi kąt pokoju, starając się maksymalnie oddalić od niego, po czym powoli usiadła na krześle.

- Jeżeli odpowiem na twoje pytania, to co dalej? - spytała, przyglądając mu się badawczo.

- Nic. Jeżeli twoja wersja da się przełknąć bez zbytnich protestów ze strony zdrowego rozsądku, to możesz iść, gdzie chcesz.

- Nie wierzę ci!

- Moja droga, nie jestem dusicielem z Bostonu czy Kubą Rozpruwaczem i mogę dać uroczyste słowo honoru, że nie uwodzę niewinnych dziewczyc na Waikiki.

- Kiedy ja naprawdę... jestem jedną z nich - mruknęła, spuszczaając oczy.

- Jedną z których?

- Z tych... dziewic.

Uwierzył jej, ale nie pojmował, dlaczego wyznała mu coś tak bardzo osobistego.

- Proszę - powiedziała cicho. - To nie jest tak, jak myślisz. Nie miałam zamiaru cię skrzywdzić. Każdy ma swoją pracę, ja w swoim departamencie, ty w swoim. Masz informacje, które rozkazano mi zdobyć. W strzykawce była zwykła skopolamina. Widzisz, twoja reputacja u kobiet zrobiła z ciebie podejrzanego numer jeden.

- Chyba nie mówisz z sensem.

- US Navy, a przynajmniej wywiad marynarki ma podstawy, by sądzić, że jeden z kochanków panny Hunter próbuje uzyskać tajne dane o działalności floty jej ojca. Kazano mi cię sprawdzić i to wszystko.

To wcale nie było wszystko. Naprawdę z tą sprawą wiązało się o wiele więcej. Pitt nie miał cienia wątpliwości, że dziewczyna kłamie, grając po prostu na czas. Jedynymi tajnymi danymi, które posiadała Adrienne Hunter, były jej prywatne oceny, jak sprawują się w łóżku przyszli admirałowie US Navy.

Wstał i podszedł do niej. Widząc w jego oczach złość, spięła się. Wyglądała jak szczeniak, który poszarpał na kawałki kaptcie swego pana. Dirkiem targały mieszane uczucia. Ze zdumieniem spostrzegł, że współczucie przeważa nad gniewem.

- Przykro mi, że tak się stało - powiedział niespodziewanie dla samego siebie. - Byłaś pierwszą kobietą, która od dłuższego czasu naprawdę mnie zainteresowała. Szkoda że wybrałaś kłamstwa. Nie masz nic wspólnego z wywiadem marynarki, nie jesteś nawet czystej krwi Amerykanką. Cholera! Od lat trzydziestych nikt nie używa określenia „gangster”. Żaden zawodowiec nie dałby się nabrać na numer z telefonem. Poza tym marynarka nie ma zwyczaju wypuszczać swych agentów, a zwłaszcza agentek, samotnie; zawsze w zasięgu głosu jest uzbrojone wsparcie. Nie masz torebki, nie masz więc nadajnika, by zaalarmować obstawę. - Przerwał na chwilę, widząc, że kuracja wstrząsowa działa: zbladła jak płótno i tym razem chyba rzeczywiście zrobiło się jej niedobrze. Miał już tego wszystkiego dość. - Poza tym, jeżeli myślisz, że jestem tak czysty i dziewiczy jak ty, to się mylisz - dodał. - Gdy cię niosłem, dokładnie sprawdziłem, co masz przy sobie. Jediną rzeczą, jaką masz pod sukienką, jest pokrowiec na strzykawkę przyklejony do wewnętrznej strony lewego uda.

Spojrzała na niego z takim obrzydzeniem, jakby był dorodnym szczurem. Odwróciła głowę w stronę łazienki, jakby zastanawiając się, czy zwymiotować do umywalki, czy na dywan. W końcu wstała i zataczając się, dotarła do łazienki. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Po dłuższej chwili usłyszała szum wody w sedesie, a potem prysznic. Wyszedł na balkon, spoglądając na światła Honolulu i rozmyślając o różnych rzeczach. Zajął mu to jednak zbyt wiele czasu.

Gdy rozsądek przebił się przez natłok myśli, było już za późno. Stwierdził, że szum wody leżącej w łazience nie zmienił się ani przez chwilę, co oznaczało, że woda leci ciągłym strumieniem, nie natrafiając na przeszkodę, czyli że nikt tam nie bierze prysznicu. W trzech długich susach dopadł

do drzwi łazienki. Były zamknięte od wewnątrz. Nie tracąc czasu na pukanie czy grzeczne pytania, wykopał je po prostu potężnym ciosem prawej nogi. Trzasnęły o ścianę, ukazując puste pomieszczenie. Jedyнным śladem po dziewczynie były powiązane w linę ręczniki kąpielowe przywiązane do klamki i spuszczone na zewnątrz. Ostatni kończył się sześć stóp nad balkonem należącym do pokoju na dziewiątym piętrze. Nie paliło się tam światło, nie było słychać żadnych hałasów. Ucieczka musiała się powieść. Nie wiedząc dlaczego, odetchnął z ulgą. Stał dłuższą chwilę, przypominając sobie jej twarz, którą znał z podświadomości. Należała do dziewczyny, z którą gotów był spędzić resztę życia. Ideał.

Po chwili wrócił do rzeczywistości. Sklął się w myślach za to, że pozwolił jej uciec.

ROZDZIAŁ 4

Był wczesny ranek. Po nocnym deszczu powietrze pełne było mgły, którą wiatr zaczynał dopiero rozwiewać. Plaże od Diamond Head do hotelu Reef były jeszcze puste, ale na ulicach pojawili się już pierwsi turyści szukający pamiątek.

Pitt leżał w poprzek łóżka ze skopaną i mokrą od potu pościelą, wpatrując się przez otwarte okno w parę azjatyckich szpaków walczących o samiczkę siedzącą na sąsiedniej palmie, zupełnie nie zainteresowaną przebiegiem wypadków. Czarne piórka latały wokół, a para konkurentów, drąc się wniebogłose, skakała sobie do oczu, robiąc zamieszanie słyszane chyba na sąsiedniej ulicy. Gdy pojedynek zaczynał zbliżać się do finału, rozległo się pukanie do drzwi. Dirk niechętnie wstał, nałożył szlafrok i ziewając jak głodny tygrys, otworzył drzwi.

- Dzień dobry - powitał go niewysoki rudzielec uśmiechnięty od ucha do ucha. - Mam nadzieję, że nie przerwałem ci jakiegoś romantycznego zajęcia. Jak wiesz, przerywanie jest niezdrowe.

- Nie tym razem, jestem sam. Proszę wejść.

Mężczyzna wszedł, rozejrzał się niespiesznie po sypialni, wyszedł na balkon sprawdzić widok i szybko cofnął się ogłuszony ptasim jazgotem. Ubrany był w lekki garnitur. Miał starannie przystrzyżoną, krótką, rudą brodę z dwoma siwymi pasmami rozmieszczonymi symetrycznie po obu stronach. Dawało to całkowicie niecodzienny i niezapomniany efekt. Opalona twarz pokryta była potem będącym efektem nie tyle upału, ile pokonania na piechotę schodów, gdyż nowo przybyły wychodził z założenia, że windy są urządzeniami wyłącznie dla kalek. Podczas gdy większość ludzi starała się unikać kłopotów i omijać przeszkody, admirał James Sandecker, dyrektor NUMA, szedł zawsze jak czołg: najkrótszą drogą prowadzącą z punktu A do punktu B.

- Jak ty możesz spać, kiedy te przekłete wrony drą się jak opętane? - spytał przybysz, zamykając balkon.

- Na szczęście do wschodu słońca grzecznie śpią. - Pitt wskazał gościowi fotel. - Niech się pan rozgości, a ja zamówię kawę.

- Daj sobie spokój z kawą. Dziewięć godzin temu byłem w Waszyngtonie i lot na Hawaje całkiem rozregulował mi zegar biologiczny. Wolę drinka.

Pitt wyjął z barku butelkę whisky i nalał obficie, wiedząc, że cały czas obserwują go błękitne oczka admirała. „Ciekawe, co się kroi?” - myślał. Szef jednej z bardziej prestiżowych agencji rządowych nie leci, ot tak sobie, sześć tysięcy mil, żeby spotkać się ze swoim specjalistą od kłopotów i pogadać o ptaszkach. Wręczył gościowi naczynie i spytał, nie bawiąc się w grzeczności:

- Co pana sprowadza? Myślałem, że z nowym projektem ekspedycji badającej prądy głębinowe jest wystarczająco dużo zmartwień.

- I ty się pytasz, po co tu jestem? - Cichy, cyniczny głos, a to zawsze oznaczało kłopoty. - Tę niespodziewaną wycieczkę zawdzięczam wyłącznie twojemu talentowi do wtykania nosa w różne sprawy. Musiałem wyciągnąć cię z jednej kabały, więc wylądowałeś w drugiej.

- Przepraszam, nie rozumiem?

- To rzadki talent, który w twoim wydaniu znam aż za dobrze - westchnął Sandecker. - Wychodzi na to, że twoje pojawienie się z tą kapsułą łącznościową podziało jak kij wetknięty w gniazdo szerszeni. Wywołałeś taką burzę w Pentagonie, że echo dotarło do Kalifornii, co przy okazji zwiększyło twoją popularność w Departamencie Marynarki. To tak na marginesie. Jestem tylko starym emerytem, toteż nie dopuszczono mnie za kurtynę, po prostu szefowie połączonych sztabów poprosili mnie grzecznie, bym był uprzejmy natychmiast lecieć na Hawaje, wyjaśnić ci twój nowy przydział i zorganizować czasowe przeniesienie twojej skromnej osoby do US Navy.

- Kto to wymyślił? - Oczy Pitta zwięzły się.

- Admirał Leigh Hunter ze sto pierwszej Floty Ratunkowej.

- Żartuje pan?

- Osobiście prosił o ciebie.

- Wszyscy tu powariowali - mruknął z niesmakiem gospodarz. - A co może mnie powstrzymać od powiedzenia głośno i wyraźnie, co o tym myślę?

- To, że pomimo zatrudnienia w NUMA, nadal jesteś majorem US Air Force w czynnej służbie, a jak wiesz, oficerowie sztabowi niezbyt mile patrzą na przemądrzanie się i niesubordynację młodszych rangą.

- Nie ten sposób - szepnął Pitt.

- Tym razem ten. Jesteś najlepszym specjalistą w takich sprawach, jakiego znam. Spotkałem się już z Hunterem i wbiłem mu to w głowę. Mam nadzieję, że skutecznie.

- Są pewne komplikacje... - Dirk nawet dla siebie nie brzmiał zbyt przekonująco - ...które nie zostały wzięte pod uwagę.

- Jak to, że sypiasz z jego córką?

- Wie pan, kogo robi z pana ta wypowiedź, admirał?

- Bezwstydneho, starego skurwiela - odparł z zadowoleniem zapytany. - Poza tym w tej sprawie jest znacznie więcej niż zadałeś sobie trud zauważyć.

- Brzmi to cholernie uroczyście - rzekł Pitt obojętnie.

- I jest - Sandecker spowaźniał. - Nie idziesz do Navy, żeby odwalić coś oficjalnego. Będiesz łącznikiem między Hunterem i mną, bo zanim ten cyrk się skończy, NUMA będzie w nim siedziała po uszy. Na razie polecono nam udostępnić Navy wszelkie dane oceanograficzne, o które poproszą.

- Sprzęt?

- Jeżeli poproszą.

- Odnalezienie okrętu podwodnego, który zaginął pół roku temu, to nie zabawa.

- „Starbuck” to tylko część obrazka. Departament Marynarki zanotował trzydzieści osiem przypadków zniknięcia statków w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Każdy jest udokumentowany. Statki zniknęły na położonym na północ od Wysp Hawajskich obszarze, o kształcie mniej więcej koła, i to zniknęły bez żadnego śladu. Departament chciałby wiedzieć dlaczego.

- Statki znikają praktycznie wszędzie, na Atlantyku, na Oceanie Indyjskim. Wbrew pozorom to wcale nie jest takie rzadkie wydarzenie.

- Zgadza się, tyle że zwykle pozostają po katastrofach jakieś szczątki. Zdarzają się w czasie sztormów, morze wyrzuca na brzeg ciała czy inne pozostałości. W wielu wypadkach zostaje nadany choćby częściowy sygnał o katastrofie. Żadna z tych rzeczy nie miała miejsca w przypadku któregośkolwiek ze statków, które zniknęły w hawajskim wirze.

- W czym?

- Taką nazwę nadali temu rejonowi marynarze i związki. Żaden nie podpisze kontraktu na zamustrowanie, jeśli kurs statku prowadzi przez ten obszar.

Pitt nic nie powiedział, ale jego ciekawość była już w pełni rozbudzona. Sandecker zaś dopijał whisky i nie odzywał się. Za oknem ptaki znów rozpoczęły kłótnię. Dirk przestał je słyszeć, wpatrując się z napięciem w podłogę. Cisnęło mu się do głowy wiele pytań, ale było zdecydowanie za wcześnie, żeby wymyślić coś mądrego. Wczesny ranek nie jest porą nadającą się do wyczerpanych prac umysłowych.

- Dobra - przerwał przeciągające się milczenie. - Niech będzie te trzydzieści osiem, ale Navy ma przecież dokładną pozycję „Starbucka” z tego nieszczęsnego raportu, więc w czym problem? Zlokalizowanie nie powinno być trudne, a podniesienie kadłuba okrętu podwodnego ze stu osiemdziesięciu stóp nie jest sprawą wymagającą cudu.

- To nie takie proste.

- Dlaczego? Okręt podwodny typu F-4 został podniesiony z trzystu sześćdziesięciu stóp, tu na Oahu, i to w tysiąc dziewięćset piętnastym roku.

- Admirałowie używają dziś do myślenia komputerów i w związku z tym wcale nie są

przekonani, że wiadomość, którą znalazłeś, jest prawdziwa. A na wynik ekspertyzy grafologicznej jeszcze jest za wcześnie.

Pitt westchnął.

- No tak. I podejrzewają durnia, który ją przyniósł, o współudział w oszustwie? - upewnił się.

- Mniej więcej.

- To by przynajmniej wyjaśniało moje przeniesienie - uśmiechnął się Pitt. - Hunter chce po prostu mieć mnie na oku.

- Popełniłeś błąd, czytając te papiery. To przenosi cię automatycznie do wąskiego grona znajdującego ten ściśle tajny materiał. Poza tym sto pierwsza Flota Ratunkowa chce pożyczyć nasz nowy FXH, a żaden z pilotów US Navy nie skończył jeszcze kursu pilotażu tego dalekodystansowego helikoptera. W dodatku, jeżeli jakiś niezbyt przyjazny Wujowi Samowi kraj chciałby pierwszy wyłowić naszą najnowszą zabawkę, a pamiętaj, że pływała i zatonała na wodach międzynarodowych, to jesteś doskonałym celem dla ich agentów. Nic prostszego, jak cię porwać i wydusić z ciebie pozycję „Starbucka”.

- To miło być znanym i kochanym - mruknął odruchowo Pitt. - Tylko że poza mną jeszcze kilka osób na tej wyspie zna tę pozycję.

- Święta prawda, tyle że ciebie najłatwiej znaleźć. Hunter i jego ludzie siedzą w bazie, starając się rozwiązać tę łamigłówkę, a teren portu wojennego US Navy to nie hotel. - Admirał przerwał, by zapalić potężne cygaro. - Poza tym znając cię, wiem, że agent wcale nie musiałby używać przemocy. Wystarczyłoby posłać najbardziej uwodzicielską Matę Hari do najbliższego baru i pozwolić, byś ją poderwał. - Przerwał, nie rozumiejąc nagłego smutku na twarzy Pitta, ale ponieważ nie doczekał się wyjaśnień, po krótkiej przerwie ciągnął dalej: - Do twojej prywatnej wiadomości: sto pierwsza Flota to jedna z najlepszych tajnych jednostek ratowniczych na świecie.

- Tajnych?

- Wiesz, czasami rozmowa z tobą przypomina gadanie dziada do obrazu - westchnął Sandecker. - Admirał Hunter i jego ludzie wydobyli z wody doświadczalny bombowiec brytyjski nowej generacji w odległości zaledwie dziesięciu mil od brzegów Kuby, podnieśli „New Century” pod samym nosem Kadafiego, „Southwind” z dna Morza Czarnego i „Tari Maru” tak blisko wybrzeża Chin, że widać było światła na lądzie. W każdym wypadku operacja została zakończona, zanim kraj, na którego wodach dana jednostka zatonała, zorientował się dokładnie, o co chodzi. Nie lekceważ Huntera i jego ludzi, oni naprawdę są dobrzy.

- A co jest takiego specjalnego w sprawie „Starbucka” poza tym, że to nasz najnowszy okręt podwodny?

- Choćby to, że pozycja podana przez Dupree jest nierealna. By tam dotrzeć, okręt musiałby

umieć latać, a tego konstruktorom nie udało się osiągnąć.

- On tam powinien być. W przypuszczalnym rejonie zatonięcia przeprowadzono tak skrupulatne poszukiwania, że przy obecnym stanie aparatury wykrywającej musieliby go znaleźć. A jak pan wie, poszukiwania nie dały absolutnie nic.

Sandecker wpatrzył się zamyślony w pustą szklanę, którą od dłuższej chwili obracał w dłoni.

- Jak długo po morzach pływają statki, nie wyjaśnione i dziwne tajemnice będą istnieć. „Starbuck” to tylko jedna z tysiąca tragedii, w które obfitują dzieje żeglugi.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

- Jeszcze jednego drinka? - zaproponował Pitt.

- Nie, dziękuję. - Sandecker wstał. - Na lotnisku Hickam czeka na mnie samolot. Masz ogólny obraz sytuacji, resztę przekaże ci admirał Hunter. Masz się u niego zameldować punktualnie o dziewiątej. Przyślę ci do pomocy twego kumpla.

- Ala Giordino?

- Tak. - Admirał rzucił mu pustą szklanę, którą Pitt zrezygnacyjnie złapał w locie. - Na pewien czas przerwie prace nad Projektem Lorelei. Jak skończycie, to wróci do badania prądów głębinowych.

- To jedyna radosna nowina, jaką dziś usłyszałem.

- I postaraj się nie dokuczać szyszkom z marynarki więcej niż musisz.

- Rozumiem, że Hunter się poskarżył.

- Powiedzmy, że twoja uwaga o zachowaniu oficerów marynarki dotyczyła wszystkich oficerów - uśmiechnął się Sandecker.

- Niezupełnie, sir - sprzeciwił się Pitt. - Pan jest już na emeryturze.

Krzaczaste brwi uniosły się w zdumieniu.

- No, no. Postaraj się zachować równie dyplomatycznie w stosunku do Huntera, a wszystko będzie okay. Nie mam czasu łagodzić urażonych ego starszych rangą oficerów.

- Cholera! - Dirk ze smutkiem potrząsnął głową. - Kolejny raz żałuję, że nie wybrałem jakiegoś miłego i nieskomplikowanego zawodu... na przykład gajowego.

- Nie jesteś w tym osamotniony - oznajmił z triumfem Sandecker. - Kilkaset razy miałem dokładnie takie same myśli.

- Touch - roześmiał się Pitt.

Pomimo trzydziestopięcioletniej różnicy wieku i ciągłej wymiany sarkastycznych uwag, łączyła ich bliska i zażyła przyjaźń.

- A, prawie zapomniałem. Twój ojciec kazał ci przekazać, że zna twój wstręt do słowa pisanego, ale mógłbyś przynajmniej zatelefonować.

- A jak on się czuje?

- Jak zwykle. Piekło w Kongresie i utarczki w Białym Domu.

- To by się zgadzało. - Pitt odprowadził admirała do drzwi i uściśnął podaną dłoń. - Do zobaczenia.

- Uważaj na siebie.

Zamknął drzwi za Sandeckerem i przez kilka długich minut stał nieruchomo, zastanawiając się, dlaczego właściwie nikomu dotąd nie przyszło do głowy, że „Starbuck” w ogóle nie musiał zatonąć.

ROZDZIAŁ 5

Pitt wziął solidny prysznic - najpierw gorący, by otworzyć pory skóry, a na końcu lodowaty. Wyszedł spod natrysku, wytarł się, ogolił, uczesał i zabrał za dobieranie odpowiedniego do okazji stroju. Nie miał najmniejszego zamiaru zjawiać się punktualnie w sztabie Huntera. Admirał mógłby pomyśleć, że zyskał pracownika przestrzegającego godzin pracy.

Zdecydował się w końcu na białe ubranie i różową koszulę. Wiążąc krawat, doszedł do wniosku, że niezłym pomysłem byłoby zabrać ze sobą na wszelki wypadek jakieś ubezpieczenie. Summer się nie powiodło, lecz następnym razem jej mocodawcy mogą wysłać grupę swych najlepszych ludzi. Jeżeli to, co Sandecker sugerował, było prawdą, szanse na to, by Dirk Pitt doczekał w spokoju uczciwie zasłużonego wieku emerytalnego malały z godziny na godzinę. Umiał się bić, ale nie miał złudzeń - dobrze wyszkolonemu agentowi z trudem by sprostał, przeciwko dwójce nie miałby szans. Agenci wywiadu są z reguły dobrze wyszkoleni.

Mauser model 712. Schnell Fever Pistole, numer seryjny 47 405, był bronią dziwną i nietypową. Każda broń palna ma charakterystyczne cechy - niektóre są na oko nieszkodliwe, inne śmieszne, a jeszcze inne wyglądają groźnie. Pistolet, który Dirk wyjął z walizki, sprawiał wrażenie niebezpiecznego. Był on rzadkością wśród kolekcjonerów, gdyż wyprodukowano ich niewiele w porównaniu z dziesięciostrzałowym modelem Military Pistole. Można było zeń strzelać pojedynczymi pociskami albo serią, po przestawieniu palcem dźwigienki; stawał się wówczas pistoletem maszynowym. Nawet obecnie solidność wykonania gwarantowała doskonale działanie, a jego wygląd - z drewnianą kolbą i pełnym magazynkiem - wzbudzał u zawodowca szacunek, a u amatora, który znalazł się przed jego lufą, strach.

Pitt rzucił broń na łóżko i wyjął z walizki drewnianą kaburę, która mogła też służyć za kolbę. Miała na końcu stalową skuwkę, którą wsuwało się w prowadnicę w rękojeści broni. Zmieniało to pistolet w niewielkich rozmiarów karabinek, zapewniając lepszą celność i wygodny uchwyt przy strzelaniu seriami. Wsunął pistolet do kabury, dołożył liczący pięćdziesiąt pocisków magazynek i zawiązał całość w ręcznik plażowy.

Winda, wioząc go w dół, kilkakrotnie stawała po drodze, jakby nadrabiała pusty przebieg z wczorajszej nocy. W efekcie zapełniła się błyskawicznie, a Dirk skracał sobie czas jazdy rozważaniem, jakie też mogłyby być reakcje współpasażerów na widok tego, co trzymał w kąpielowym ręczniku pod pachą. W końcu towarzystwo wysiadło w hallu, a on wcisnął przycisk „B”, który oznaczał parking.

Było tu pusto i cicho, toteż spokojnie otworzył drzwiczki Cobry, wrzucił ręcznik z zawartością za siedzenie kierowcy i wsiadł, zapuszczając od razu silnik. Wyjechał na ruchliwą już o tej porze Kulakawa Avenue i skręcił na północ. Palmy rosnące wzdłuż ulicy dawały trochę cienia, a chodniki wypełniał tłum turystów w jaskrawych koszulach i sukniach. Słońce prażyło ostro, odbijając refleksy od asfaltu. Czym prędzej sięgnął do skrytki po ciemne okulary.

Jak dotąd miał już godzinę spóźnienia, a i tak nie jechał do portu. Miał jeszcze coś do załatwienia, coś co po długim czasie w końcu mu się przypomniało. Nie wiedział dokładnie, co może przynieść ta wizyta, ale skoro już znalazł się na miejscu, najlepiej było to sprawdzić. Zaparkował wóz, wysiadł i wszedł do budynku, mijając starannie wyrzeźbiony w drewnie napis: Berenice Pawahi Bishop - Muzeum Polinezyjskiej Etnologii i Historii Naturalnej.

Główna sala otoczona położonymi na różnych wysokościach balkonami zastawiona była starannie opisanymi okazami łodzi, wypchanymi ptakami, replikami trzciniowych szałasów i dziwnymi, niezbyt sympatycznymi rzeźbami starych, hawajskich bogów. Dostrzegł wysokiego, starszego, trzymającego się prosto mężczyznę układającego muszle w szklanej gablocie. Podszedł do niego. George Papaaloa miał wygląd Hawajczyka czystej krwi: szeroka, brązowa twarz, wystający podbródek, szerokie wargi i brązowe zamglone oczy. Ruchy miał płynne i pełne wdzięku niczym zawodowy tancerz. Słyszając kroki, uniósł głowę i rozpoznając Pitta, uśmiechnął się szeroko.

- Witaj, Dirk. Cieszę się, że mnie odwiedziłeś. Chodź do gabinetu, tam przynajmniej można spokojnie usiąść.

Gdy szli do spartańsko urządzonego gabinetu, ich kroki odbijały się od ścian wyraźnym echem. W pomieszczeniu znajdowały się stare, ale doskonale zachowane meble; trzy ściany zastawione były od sufitu do podłogi regałami z książkami, na których nie było śladu kurzu. Papaaloa siadł za biurkiem i wskazał gościowi fotel w stylu wiktoriańskim.

- Powiedz mi, przyjacielu, czy może udało ci się odkryć miejsce ostatniego spoczynku króla Kamehameha? - spytał.

- Przez większość poprzedniego tygodnia nurkowałem wzdłuż Kona, ale nie odnalazłem niczego, co przypominałoby jaskinię pogrzebową - odparł Pitt.

- Nasze legendy głoszą, że spoczywa on w jaskini położonej pod wodą. Może chodzi o którąś z rzek?

- Wiesz lepiej ode mnie, że w czasie pory suchej po tych rzekach pozostaje jedynie wspomnienie.

- To być może lepiej byłoby, żeby nigdy nie odnaleziono jego grobu i pozostawiono w spokoju jego szczątki. - Hawajczyk wzruszył ramionami z rezygnacją.

- Nikt nie zamierza zakłócać jego spokoju. Nie ma w grobie żadnego skarbu, więc nie przyciąga on łowców sensacji. Byłoby to wielkim odkryciem archeologicznym. W efekcie Kamehameha Wielki spoczywałby w nowym grobie w Honolulu otoczony szacunkiem, a nie leżał w jakiejś mokrej, mrocznej jaskini.

- Nie jestem pewien, czy ten pomysł by mu się podobał, zwłaszcza że osiemdziesiąt procent jego królestwa jest wykupione przez Japończyków. Smutne to, ale prawdziwe: czego nie osiągnęli bombami w latach czterdziestych, dostali za gotówkę w latach siedemdziesiątych. Pewnego dnia

człowiek się obudzi i nad pałacem Idami zobaczy flagę „wschodzącego słońca”. - Papaaloo spojrzął ze smutkiem na Dirka. - Mojemu ludowi nie zostało już wiele czasu: dwa, może trzy pokolenia i zmieszamy się dokładnie z innymi rasami. Moja spuścizna umrze wraz ze mną. Jestem ostatni z rodu o czysto hawajskiej krwi. Dlatego poświęciłem życie na przygotowanie tego muzeum: chcę zachować dla potomnych kulturę wymarłej rasy. Mojej rasy. - Przerwał, wpatrując się w widoczne za oknem zbocza gór Kadau i dopiero po dłuższej chwili odezwał się: - Im jestem starszy, tym częściej niepotrzebnie filozofuję. Wiem, że nie przyjechałeś, by słuchać mojego mamrotania. Co więc cię sprowadza?

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o obszarze morza zwanym hawajskim wirem.

- Hawa... - Oczy gospodarza zwięzły się nagle. - Ach, pamiętam... - Zastanawiał się przez chwilę, po czym wyrecytował miękko, cichym głosem:

A ka makani hema pa,

Ka Mauna o Kanoli Ikea,

A kanaka ke kauahiwi hoopii.

- Hawajski to piękny język - zauważył spokojnie Pitt, nie rozumiejąc ani słowa.

- Jest bardzo melodyjny w brzmieniu, bo zawiera tylko siedem spółgłosek: h, k, l, m, n, p, w, a w jednej sylabie nie może być więcej niż jedna spółgłoska. Po angielsku to będzie mniej więcej tak:

Gdy wieje południowy wiatr,

góra Kanoli staje się widoczna,

a szczyt zda się być zaludniony.

- Kanoli?

- To mityczna wyspa na północy. Zgodnie z legendą, wiele stuleci temu pewien ród opuścił wyspy na południowym zachodzie, prawdopodobnie Tahiti, i płynął w wielkiej łodzi, by połączyć się z innymi rodami, które wcześniej wyemigrowały na Hawaje. Bogowie byli jednak rozzłoszczeni, że ludzie opuścili swą ojczyznę, i zmienili pozycje gwiazd, przez co nawigator łodzi zgubił drogę. Popłynęli za daleko na północ i minęli Hawaje, dostrzegli natomiast Kanoli i tam wylądowali. Bogowie naprawdę byli na nich źli, gdyż wyspa była skalą jedynie gdzieniegdzie porośniętą skąpą roślinnością i nie miała źródeł czystej, słodkiej wody. Ludzie składali ofiary i modlili się o przebaczenie, ale ich prośby zostały zignorowane, więc któregoś dnia wyrzucili posągi bogów, przestali biadolić i wzięli się do roboty. Wielu zmarło, ale po paru pokoleniach zbudowali z wulkanicznych skał wspaniałą cywilizację, zrobili z wyspy ogród i ogłosili się swoimi własnymi bogami.

- Brzmi to podobnie do historii kwakrów, mormonów czy pielgrzymów - zauważył Pitt.

- To nie to samo. Ci, o których mówisz, traktowali religię jako wsparcie w trudnych chwilach, lud Kanoli natomiast uważał się za lepszych od bogów, których dawniej czcił. Jak by nie było, bez ich pomocy zbudowali raj. Efektem było zarzucenie wszystkich obowiązujących śmiertelników zasad moralności. Zaczęli regularnie napadać na Kauai, Oahu i inne wyspy, grabiąc, niszcząc i biorąc mieszkańców w niewolę, zwłaszcza co piękniejsze dziewczyny. Prymitywni tubylcy byli całkowicie bezbronni i jedyne co im pozostało, to błagać bogów o pomoc. Ich prośby zostały wysłuchane i bogowie spowodowali burzę, która zatopiła Kanoli na zawsze.

- Mamy podobną legendę. Wyspa nazywa się Atlantyda.

- Czytałem o niej i przyznaję, że Platon romantycznie ją opisuje.

- Wygląda na to, że jesteś specjalistą od legend i to nie tylko hawajskich - uśmiechnął się Pitt.

- Legendy są jak powiązane liny: jedna prowadzi do drugiej. Mogę ci opowiedzieć wiele pochodzących z odległych od siebie miejsc i starszych niż mógłbyś przypuścić, które są prawie identyczne z tymi zawartymi w Biblii chrześcijan. Są tylko znacznie starsze.

- Według ocen jasnowidzów Atlantyda wynurzy się kiedyś z morskich odmętów.

- To samo mówi legenda o Kanoli.

- Ciekawe, ile jest prawdy w takiej legendzie - mruknął Pitt.

Papaaloo powoli przechylił się i oparł złączone dłonie o biurko.

- Dziwne - powiedział wolno. - Bardzo dziwne. On użył tych samych słów.

- On? - zdziwił się Dirk.

- To było dawno temu, zaraz po drugiej wojnie. Przychodził tu przez tydzień pewien mężczyzna i studiował wszystkie zapisy, jakie mamy na temat Kanoli.

- Ta legenda musiała zafrapować wielu ludzi.

- Nie. Od czasu jak przestał tu przychodzić, jesteś pierwszym, który zainteresował się Kanoli.

- Masz w takim razie doskonałą pamięć, mój drogi.

Papaaloo spojrział na niego przenikliwie, jakby wiedział, że Pitt nie będzie chciał uwierzyć w to, co usłyszy.

- Nigdy nie zapomniałem tego mężczyzny. Po prostu dlatego, że był olbrzymem o złotych oczach.

Po zaskoczeniu następuje frustracja, która niczym chmura zasłania kolejny krok prowadzący do rozwiązania problemu. Naukowcy znajdujący się u progu odkrycia czegoś nowego, nie mając pojęcia, co zrobić, by osiągnąć ten ostateczny sukces, znają dobrze ten stan. Gdy człowiek się w nim znajdzie, zachowuje się odruchowo i działa automatycznie, mając umysł pochłonięty zupełnie czymś innym. W takim właśnie stanie był Pitt, gdy o wpół do dwunastej opuszczał muzeum i George'a Papaaloo. Był zakłopotany. Próby oceny sytuacji przy aktualnym poziomie jego wiedzy były praktycznie niemożliwe. Nie potrafił dopasować do siebie kawałków tej łamigłówki. Był tak głęboko pogrążony w myślach, że o mało nie przeoczył starej ciężarówki marki Dodge, która parkowała przed muzeum niedaleko Cobry i ruszyła w ślad za nim, trzymając się jednak w pewnej odległości. Dodge przystawał, skręcał i jechał dokładnie z tą samą szybkością co Pitt. Zapewne nie zwróciłby na niego uwagi lub uznałby śledzenie za objaw własnej wyobraźni (zaczynał widzieć za każdym falochronem agentów w długich płaszczach i nasuniętych na oczy kapeluszach) gdyby nie to, że w zamyśleniu przeoczył zakręt i musiał objechać cały kwartał, by wrócić na drogę prowadzącą do portu. To, że Dodge powtórzył wiernie wszystkie jego manewry, starając się utrzymać przez cały czas w takiej samej odległości, nie mogło być sprawą przypadku.

Dirk skręcił ponownie, patrząc w lusterko wsteczne i dodał nieco gazu. Ciężarówka wyłoniła się zza zakrętu. Kierowca Dodge'a widząc większą niż dotąd odległość dzielącą go od Cobry, przyspieszył, osiągnął stały dystans i zwolnił. Pitt przejechał dwie mile, przemykając się przez zatłoczone ulice i skręcił na Mount Tantalos Drive. Droga wznosiła się cały czas, wijąc się wokół góry serpentyną. Z każdym kolejnym zakrętem Pitt minimalnie dodawał gazu. Z satysfakcją stwierdził, że wóz trzyma się środka drogi, jakby jechał po szynach niezależnie od faktu, że zakręty stawały się coraz ostrzejsze. Ciężarówka jechała zygzakiem, a kierowca rozpaczliwie wyrównywał kierownicą siłę odśrodkową, próbując trzymać się środka jezdni.

Nagle kula roztrzaskała boczne lusterko Cobry. Wytrąciło to Pitta z równowagi, choć powinien się czegoś podobnego spodziewać. Żarty się skończyły. Stało się jasne, że prześladowca chce go zabić. Pitt wcisnął pedał gazu i odskoczył na bezpieczną odległość, dochodząc powoli do siebie. „Skurwiel używa tłumika” - zaklął w myślach. Popełnił błąd, wyjeżdżając z miasta - na ulicy pełnej ludzi tamten nie odważyłby się użyć broni. Pozostało tylko jedno - wrócić do Honolulu, zanim facet nauczy się lepiej strzelać. Na policję nie należało liczyć: miała ona tę dziwną właściwość, że nigdy nie było jej w pobliżu wtedy, kiedy była naprawdę potrzebna. Rozważania przerwało mu kolejne spojrzenie w lusterko i następna niespodzianka - ciężarówka była o dziesięć jardów od tylnego zderzaka Cobry.

Wóz taki jak ten Dodge określa się mianem „jeleni”. Numer jest znany i w niektórych rejonach Stanów dość popularny, zwłaszcza wśród młodzieży. Bierze się stary, poobijany wóz i montuje w nim potężny, nowy silnik o znacznej rezerwie mocy. Następnie udaje się na poszukiwania jelenia skłonnego się ścigać. Kiedy znajdzie się kogoś naiwnego w nowiutkim Ferrari czy Lamborghini, dochodzi do zakładu. Tamten jest pewien, że wygra. Zamiast gotówki ma jednak głupią minę, widząc, jak zdezelowany grat przeciwnika zostawia za sobą kilkadziesiąt jardów spalonej gumi i znika na horyzoncie wraz z jego pieniędzmi. Dorastając w Newport Beach w Kalifornii, Pitt kilkakrotnie obserwował taki numer; teraz ktoś zrobił mu to samo. Tylko tym razem nie chodziło o pieniądze; stawka była wyższa.

Droga dotarta do mającego dwa tysiące stóp wysokości szczytu, przez milę biegną poziomo i serią ostrych zakrętów zaczęła schodzić w dół, ku miastu. Prosty odcinek przejechali z prędkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Pitt skulił się w ciasnym wnętrzu, by stanowić jak najmniejszy cel. Kierowca ciężarówki starał się zmniejszyć dzielącą ich odległość. W końcu mu się to udało. Zjechał na środek drogi i zrównał się z samochodem Dirka. Pitt zerknął przez boczne okno. Ujrzał uśmiechniętą twarz kierowcy okoloną długimi, czarnymi włosami i poznaczoną śladami ospy. Trwało to moment, ale obraz szczerbatego uśmiechu, którego był adresatem, pozostał w jego pamięci na zawsze.

Był w idealnej pozycji, by jedną kulą zakończyć całą zabawę. Miał ze sobą doskonały pistolet, ale nie mógł go użyć. Nie był w stanie dosięgnąć broni, choć odległość nie przekraczała dziesięciu cali. Może jakiś cyrkowy akrobata, człowiek bez kości, dodatkowo o wzroście karta, złożyłby się we dwoje i chwycił Mausera, ale dla Pitta z jego sześcioma stopami i trzema calami wzrostu było to niemożliwe w tak ciasnym wnętrzu. Mógł oczywiście zatrzymać się, wysiąść, pochylić się, chwycić pakunek zza siedzenia, odwinąć ręcznik, wyjąć broń z kabury, odbezpieczyć i strzelić. Doskonałe wyjście mające tylko jeden minus: czas trwania tej operacji. Ciężarówka była zbyt blisko i ospowaty kierowca miałby dość czasu, aby zatrzymać wóz i zrobić mu pięć dziur w brzuchu, zanim Pitt zdążyłby rozwinąć ręcznik.

Na końcu prostego odcinka droga ostro skręcała w lewo. Zakręt udekorowany był żółtą tablicą z czarnym napisem: Zwolnij do 20. Pitt pokonał go, mając na liczniku pięćdziesiąt pięć na godzinę. Ciężarówka przy tej szybkości nie była w stanie przewyciężyć siły odśrodkowej. Została nieco z tyłu, lecz jej kierowca na prostej znów zwiększył szybkość.

Pitt kolejno odrzucał wszystkie pomysły, które przelatywały mu przez głowę. Jedne były niewykonalne, inne samobójcze. Przy hamowaniu przed kolejnym zakrętem coś mu zaświtało: obserwując uważnie lusterko, powoli dodawał gazu. Dodge powoli zaczął się z nim zrównywać. Fakt, że kierowca nie próbował strzelać, był pocieszający, ale i tak zamiary przeciwnika były jasne: chciał zepchnąć Pitta na strome pobocze opadające kilkaset stóp do leżącej niżej doliny. Do następnego zakrętu zostało jeszcze dwieście jardów. Dirk utrzymywał stałą szybkość. Szara ciężarówka powoli zbliżała się do lewego błotnika Cobry. Wystarczyłby jeden silny skręt kierownicy, by samochód Pitta runął w dół. Mając przed sobą jedynie sto jardów prostej, Dirk nacisnął gaz do oporu i po sekundzie gwałtownie zahamował. Manewr zaskoczył kierowcę ciężarówki. Widząc, że ofiara nagle się oddala, dodał gazu, by dopaść Cobrę na zakręcie. Było jednak za późno. Nie przestając hamować, Pitt zredukował biegi i rzucił samochód w ostry skręt. Opony piszczały, trąc o asfalt, ale udało mu się wyjść cało na kolejną prostą. Rzut oka w lusterko ukazał pustą drogę z tyłu. Dodge zniknął.

Zwolnił, pozwalając rozpędowi i sile grawitacji nieść wóz przez następne pół mili. Nadal nie widział pogoni. Zawrócił i pojechał w górę, gotów do kolejnego skrętu o sto osiemdziesiąt stopni na wypadek, gdyby Dodge nagle wychylił się zza zakrętu. Droga wciąż pozostawała pusta. Dojechał do zakrętu, zatrzymał wóz i podszedł do skraju urwiska.

Daleko na zboczu na tropikalnych krzewach osiadał wolno kurz. Na samym dole, u podstawy

stoku leżały szczątki szarego Dodge'a z wyrwanym i potrzaskanym silnikiem. Nigdzie natomiast nie było widać kierowcy. Pitt prawie zaprzestał poszukiwań, gdy przypadkiem spojrzął na słup telefoniczny stojący o około stu stóp w lewo od wraku. Widok był przerażający. Kierowca z pewnością próbował wyskoczyć, nim ciężarówka spadła w przepaść. Przeleciał prawie dwieście jardów, a potem uderzył w słup telefoniczny. Ciało zawisło przebite metalową poprzeczką, z której zwykle korzystają konserwatorzy linii. Pitt stał jak zahipnotyzowany. Dolna część słupa powoli zaczęła zmieniać barwę z brązowej na czerwoną, jakby malowana pędzlem przez niewidzialną dłoń. Szczątki kierowcy skojarzyły się Pittowi ze świńską tuszą wiszącą na rzeźnickim haku.

Nieco wstrząśnięty wrócił do wozu, zawrócił i zjechał do doliny Manoa. Zatrzymał się przy pierwszym napotkanym domu i wszedł na otoczony winoroślą ganek. Stara Japonka pozwoliła mu zatelefonować, kłaniając się bez końca. Telefon był w kuchni, gdzie czym prędzej zaprowadziła go uprzejma do przesady gospodyni. Wykręcił numer Huntera i uzyskawszy połączenie, zrelacjonował przebieg wydarzeń, podając lokalizację wraku i trupa.

- Nie dzwoń na policję. - Głos Huntera grzmiał w słuchawce, zmuszając Pitta do trzymania jej kilka cali od ucha. - Daj mi dziesięć minut. Moi ludzie będą na miejscu i obejrzą wrak, zanim policja zdąży wszystko zdeptać. Rozumiesz?

- Myślę, że tak - odparł najuprzejmiej jak potrafił, zastanawiając się, dlaczego Hunter traktuje go jak durnia.

- To dobrze. - Jeżeli admirał wyczuł sarkazm, to zignorował go całkowicie. - Dziesięć minut, a potem bierz dupę w troki i melduj się tu. Mamy sporo roboty.

Z dużą ulgą Pitt odłożył słuchawkę. Owe dziesięć minut spędził, odpowiadając na pytania dotyczące wypadku, zadawane z szybkością karabinu maszynowego przez przygarbioną i pomarszczoną gospodynię. Dodał jeszcze pięć minut na wszelki wypadek i ponownie sięgnął po telefon, tym razem łącząc się z policją w Honolulu. Głos telefonistki przywodził na myśl potężnie zbudowaną herod-babę. Gdy poprosiła go o podanie nazwiska, bez słowa odłożył słuchawkę. Podziękował uprzejmie gospodyni, odpowiadając ukłonem na każdy jej ukłon i odchodząc tyłem w kierunku samochodu. Bezpieczny w jego wnętrzu przylepił się natychmiast plecami do skórzanego fotela, ale nie zwrócił na to uwagi - coś nie dawało mu spokoju. O czymś zapomniał. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi, po czym nagle wszystkie elementy łamigłówek trafiły na swoje miejsca. Klnąc w duchu, zapalił silnik.

Zakręcił i zostawiając dwa ślady dobrej gumy Goodyear na asfalcie, pognął na miejsce wypadku. Pięć minut na dojazd do telefonu, kwadrans stracony na pogawędkę i trzy minuty na powrót - razem dwadzieścia trzy stracone minuty. Powinien pomyśleć, że kierowca miał obstawę - na taką akcję nie wysyła się ludzi pojedynczo. Zamiast lecieć do telefonu, należało poczekać i za pomocą niezawodnego argumentu, jakim bywał w takich przypadkach Mauser, uzyskać potrzebne informacje.

Zahamował z piskiem opon i wysiadł. Wrak leżał tak jak poprzednio niczym zniszczona zabawka, słup stał jak dotąd, nawet stalowy wspornik był na swoim miejscu. Zniknęło natomiast

ciało kierowcy. Jedyne co po nim zostało, to czerwony zaciek brązowiejący już i zasychający w upalnych promieniach słońca.

ROZDZIAŁ 6

Metalowy barak wyglądał jak biuro upadającej stoczni złomowej i był zdecydowanie najsmętniej wyglądającą budowlą wojskową od czasów wojny secesyjnej. Rdzewiejący, karbowany dach i potłuczone, pokryte kurzem i pajęczynami okna otaczało morze chwastów. Pokrzywione, drewniane drzwi z łuszczącą się farbą dopełniały obrazu całości. Zaledwie Pitt wszedł do środka, stanął przed nim barczysty sierżant z piechoty morskiej z Coltem.45 w kaburze na biodrze. Przypominał napastnika futbolowej drużyny Pittsburgh Steelers.

- Dokumenty proszę. - Prośba zabrzmiała jak żądanie.
- Dirk Pitt. - Pokazał mu legitymację. - Mam się zameldować u admirała Huntera.
- Obawiam się, że muszę zobaczyć pańskie rozkazy, sir.

Dirk nie miał ochoty bawić się w wojsko. Ludzie z piechoty morskiej irytowali go. Byli nieustannie skorzy do walki, paradowali z wypiętą piersią, w wyglansowanych do połysku butach i nigdy nie przepuszczali okazji do chóralnego odśpiewania hymnu swej formacji.

- Papiery pokażę jedynie oficerowi rozprawdzającemu i nikomu więcej - warknął.
- Moje rozkazy... - zaczął sierżant.

- Głoszą, że macie sprawdzać legitymację z osobą, a osobę z listą tych, którym wolno wejść, sierżancie - przerwał mu Dirk. - Nikt nie kazał wam grać bohatera ani sprawdzać rozkazów. A teraz chciałbym wejść, jeżeli nie macie nic przeciwko temu.

Sierżant poczerwieniał na twarzy. Zastanawiał się, czy dać przybyszowi w zęby. Przez chwilę wahał się, studiując chłodny wyraz twarzy Pitta, a potem odwrócił się, otworzył drzwi prowadzące do głównej sali baraku i skinął, by za nim poszedł.

Wnętrze było całkowicie puste, jeżeli nie liczyć dwóch krzeseł, zakurzonej szafki i kilku gazet na podłodze. Lokum cuchnęło stęchlizną, a zwisające z sufitu pajęczyny potwierdzały, że nie było wykorzystywane od lat. Jak na nową siedzibę 101. Floty była to dość oryginalna lokalizacja. Pitt nie ukrywał zdumienia. Sierżant podszedł po rozłożonych gazetach do jednej ze ścian i dwukrotnie mocno tupnął w pokrywające podłogę deski. Odpowiedziało mu przytłumione stuknięcie. Schylił się i uniósł doskonale zamaskowaną klapę, gestem zapraszając Dirka do wejścia. Pod klapą znajdowały się słabo oświetlone schody i następne drzwi, tym razem solidne i obite blachą. Przed nimi przeżył się kolejny wartownik z piechoty morskiej. Sierżant właśnie zamykał z hukiem klapę - opadła, zatrzymując się o cal od głowy Pitta.

Stojący przy drzwiach żołnierz bez słowa otworzył je i Pitt po odsunięciu ciężkiej zasłony znalazł się w zupełnie innym świecie. Przed nim rozciągał się rześkie oświetlony podziemny

bunkier w kształcie kwadratu o boku dwustu stóp, pełen elektroniki i ludzi. Podłogę pokrywała wykładzina, a na niej stały biurka, stoliki i szafy zastawione komputerami, maszynami do pisania, telewizorami, monitorami i teleksami. Większość stanowisk obsadzały dziewczęta w nieskazitelnie czystych uniformach; oprócz nich w pomieszczeniu znajdowało się około dwudziestu oficerów stojących w kilku grupkach i zawzięcie ze sobą dyskutujących. Oficerowie stali przy podświetlonych, szklanych mapach zajmujących dwie ściany i coś na nie nanosili, zerkając co chwilę na trzymane w dłoniach wydruki. W oczach Pitta całość wyglądała jak wysokiej klasy totalizator, brakowało tylko monotonnego głosu sprawozdawcy podającego przebieg kolejnej gonitwy.

Admirał Hunter dostrzegł go, odłączył się od jednej z grup i podszedł z wyciągniętą ręką.

- Witamy w nowej kwaterze, panie Pitt.

- Przyznaję, że robi wrażenie.

- Zbudowana w czasie drugiej wojny i nigdy dotąd nie używana. Nie mogłem patrzeć, jak się marnuje.

W tym momencie z przepaszającym uśmiechem minęła ich zgrabna pani porucznik niosąca stertę akt. Pitt uśmiechnął się w odpowiedzi i automatycznie zanotował w pamięci dane: wzrost, waga, budowa i to, czy jest chętna, czy nie. Wydawało się, że jest.

- Moje gratulacje dla dekoratora wnętrz - stwierdził, nie spuszczać oczu z tylnych wdzięków pani porucznik siadającej właśnie do telefaksu.

- Uprasza się o niedotykanie eksponatów - odpalił z wdziękiem Hunter, biorąc go za ramię i prowadząc do biura wyposażonego w normalne ściany i drzwi. Głęboko pobrużdżona twarz i przenikliwe oczy robiły zeń idealnego wręcz dowódcę zespołu uderzeniowego planującego atak na niewidzialnego wroga czającego się za horyzontem. - Jest pan spóźniony o dwie godziny i trzydzieści osiem minut - oznajmił admirał, zamykając drzwi.

- Przepraszam, sir, ale ruch w mieście jest nie do wytrzymania; te wypadki...

- Tak też pan mówił przez telefon. Należy się panu pochwała. Wdzięczny jestem, że najpierw zadzwonił pan do mnie, a nie na policję. To było rozsądne posunięcie.

- Które nic nam nie dało z powodu mojego braku przezorności. Lepiej było zostać na miejscu.

- Niech się pan tym nie martwi; nie sędzę, by trup, poza nazwiskiem, dał nam więcej informacji. Jego współnicy również, i to nie z braku chęci, co przy odpowiednich sposobach perswazji przestaje być problemem, ale z prostego powodu, że niewiele by wiedzieli. Nie wtajemnicza się we własne plany wynajętych rzezimieszków, a ci najprawdopodobniej byli lokalnymi łobuzami wynajętymi, by umieścić pana na cmentarzu.

- Mimo to mogli wiedzieć coś istotnego.

- Zawodowcy nie postępują w ten sposób, a wynajęci pomocnicy wiedzą tyle, ile muszą; sam pan to doskonale wie.

- Mówiąc zawodowcy, ma pan na myśli Rosjan? - upewnił się Pitt.

- Może, choć nie mamy dowodów. Nasi ludzie są przekonani, że Rosjanie od dłuższego czasu weszły w okolice, próbując ustalić pozycję „Starbucks”, aby dostać się tam przed nami.

- Admirał Sandecker wspominał o takiej możliwości.

- Wspaniały człowiek. - W głosie Huntera był autentyczny podziw. - Pokazał mi rano pańskie akta i uczciwie przyznaję, że zawartość mnie zaskoczyła. Krzyż Lotniczy z dwoma okuciami, Srebrna Gwiazda, Purpurowe Serce i kilka pochwał z wpisaniem do akt. Przyznaję, że po wczorajszym spotkaniu miałem o panu niezbyt pochlebne zdanie.

Admirał wziął leżące na blacie papierosy i wyciągnął je w kierunku Pitta niczym indiański wódz fajkę pokoju. Wyglądało na to, że naprawdę chce naprawić wczorajsze gafy.

- Zauważył pan pewnie, że w moich aktach nie było wzmianki o Medalu za Wzorową Służbę, sir - stwierdził Dirk, biorąc papierosa.

- Zauważyłem - przyznał Hunter, nie spuszczać z niego badawczego wzroku. Zapalił, zaciągnął się głęboko, po czym rzekł do stojącego na biurku interkomu: - Yager, odszukaj komandorów Bolanda i Denvera i poproś ich tu. - Wskazał na wiszącą na ścianie mapę Pacyfiku i zwrócił się do Pitta: - Hawajski wir jest tu, majorze. Słyszał pan kiedyś o nim?

- Pierwszy raz dziś rano, sir.

Hunter stuknął palcem w mapę na północ od Oahu.

- Tu, na obszarze o średnicy około czterystu mil, od roku pięćdziesiątego szóstego zaginęło prawie czterdzieści statków. W każdym przypadku poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Do drugiej wojny rejon był normalny, raz czy dwa na dwadzieścia lat coś tu tonęło. - Przerwał i podrapał się za uchem. - Dokładnie przestudiowaliśmy ten problem, przepuszczając każdą informację przez komputer z nadzieją, że może on znajdzie coś, co przeoczyliśmy. Jak dotąd mamy jedynie masę nieprawdopodobnych teorii, faktów jest bardzo mało i mają ze sobą niewiele wspólnego.

Przerwało mu ciche pukanie do drzwi. Po chwili do pokoju weszli Denver i Boland. Przez chwilę obaj spoglądali na Pitta obojętnie, nie poznając go.

- Dirk, dobrze że jesteś z nami. - Denver pierwszy rozpoznał gościa.

- Tym razem ubrałem się odpowiednio do okazji. - Pitt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Boland skinął mu głową, wymamrotał powitanie i usiadł.

- Nie mieliśmy dość czasu, aby dobrze się zorganizować - Hunter ponownie zabrał głos - ale co nieco zdołaliśmy zrobić. Komputery mamy połączone ze wszystkimi agencjami do spraw bezpieczeństwa w kraju oraz z głównymi bankami danych. Mam nadzieję, że skoordynuje pan nasze poczynania z waszymi ludźmi w stolicy. Potrzebujemy odpowiedzi, i to szybko. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę się z tym zwracać do komandora Bolanda.

- Jest taki jeden drobiazg. Do wczoraj byłem tu na wakacjach i nigdy nie słyszałem o tej sprawie. Niewiele będę w stanie pomóc, nie wiedząc dokładnie, o co właściwie chodzi. Tajemnicze „cos” porywające statki nie jest specjalnie konkretną informacją.

Hunter przyjrzał mu się uważnie.

- Przepraszam. - Zamilkł i po chwili cicho stwierdził: - Zakładam, że słyszał pan o trójkacie bermudzki.

Pitt skinął głową.

- Nie jest to jedyny obszar na świecie, gdzie zdarzają się nie wyjaśnione zjawiska - ciągnął admirał - choć jest zdecydowanie najsłynniejszy. Morze Śródziemne ma swój dzwon, na Pacyfiku jest Romondo, rejon na południowy wschód od Japonii. Zaginęło tam więcej statków w ciągu ostatnich dwóch wieków niż na pozostałych wodach tej planety łącznie. No i to co nas najbardziej interesuje, czyli trójkąt bermudzki Pacyfiku, hawajski wir.

- Osobiście uważam, że to brednie - poinformował go Pitt, korzystając z chwili przerwy.

- Nie byłbym tego taki pewien - wtrącił Boland. - Wielu ludzi, w tym szanowani naukowcy, jest innego zdania.

- A więc jest pan sceptykiem? - spytał Hunter.

- Dokładnie. Wierzę tylko w to, co widzę, czuję i czego dotknę - odparł Dirk.

Hunter wyglądał na zrezygnowanego.

- Panowie, nasze prywatne opinie i tak nie mają większego znaczenia. Liczą się fakty i to będzie nas interesowało tak długo, dopóki ja tu dowodzę. Naszym zadaniem jest ratownictwo morskie, a w tej chwili naszym celem jest odnalezienie i wydobycie USS „Starbuck”. Jedynym powodem, dla którego poruszamy kwestię tego hawajskiego wiru, są dziwne okoliczności towarzyszące odnalezieniu kapsuły i treść wiadomości od komandora Dupree. Jeżeli przy okazji rozwiążemy tajemnicę znikania innych statków w tej okolicy, będzie to oczywista korzyść dla żeglugi i wszystkich zainteresowanych. Natomiast jeżeli Rosjanie czy Chińczycy znajdą i wydobędą „Starbucka” pierwsi, nie wywoła to w Waszyngtonie entuzjazmu.

- Zwłaszcza w Departamencie Marynarki - mruknął Boland.

- Właśnie - zgodził się Hunter. - Również we wszystkich laboratoriach i ośrodkach badawczych, które przez ładnych parę lat trzymały się nad zaprojektowaniem i skonstruowaniem najnowocześniejszego na świecie okrętu podwodnego o napędzie atomowym. Ludzie, którzy poświęcili swe siły i czas na powstanie „Starbucka”, nie będą zadowoleni, jeżeli okaże się, że cumuje on we Władystoku czy innym podobnie miłym miejscu.

- Czy istnieją jakieś podobieństwa w okolicznościach zaginięcia „Starbucka” oraz innych statków lub samolotów w tym rejonie? - spytał Pitt.

- Trzeba najpierw wyjaśnić jedną rzecz - odparł Boland rzeczowym tonem. - W przeciwieństwie do trójkąta bermudzkiego, tutaj nie giną samoloty. Po drugie, ponieważ nie ma rozbitków, szczątków czy sygnałów, trudno mówić o podobieństwach lub różnicach, bo ich po prostu nie znamy. Jedyną cechą wspólną dla „Starbucka” i innych zaginionych statków jest to, że wszystkie zniknęły w dość precyzyjnie określonym rejonie Pacyfiku.

- Nie licząc kapsuły, którą pan odkrył wczoraj - wtrącił Denver - dotychczas istniał tylko jeden wypadek, przy którym byli świadkowie...

- „Lillie Marlene” - dodał cicho Hunter. Spoglądał nieobecny wzrokiem w przestrzeń. - Wypadek bardziej niezwykły niż sprawa „Mary Celeste”. - Przerwał, po krótkich poszukiwaniach wyjął z jednej z szuflad biurka teczkę i podał ją Pittowi ze słowami: - Jest tu zaledwie kilka kartek maszynopisu i będzie najlepiej, gdy pan sam to przeczyta. - Wcisnął guzik interkomu i polecił: - Yager, przynieś cztery kawy.

Dirk siadł wygodnie w fotelu i zagłębił się w lekturze.

Przypadek SS „Lillie Marlene”

Popołudniu 10 lipca 1968 roku SS „Lillie Marlene” (były brytyjski kuter torpedowy przebudowany na prywatny jacht) opuścił Honolulu i popłynął kursem na północny zachód od Oahu, by na pełnym morzu filmować sceny z łodziami ratunkowymi pod kierownictwem reżysera i producenta o międzynarodowej sławie, Herberta Verhussa, będącego także właścicielem jachtu. Morze było spokojne, pogoda dobra, a wiatr z północnego wschodu wiał z siłą około czterech węzłów.

13 lipca o godzinie 20.50 radiostacja straży przybrzeżnej w Makapuu Point i Centrum Łączności Floty w Pearl Harbor odebrały sygnał SOS z tej jednostki oraz jej pozycję. Zaalarmowano samoloty ratownictwa morskiego na lotnisku Hickam oraz jednostki ratownicze floty i straży przybrzeżnej na Oahu, ale łączność z jachtem trwała zaledwie dwanaście minut. Potem została zerwana. Odzyskano ją na krótko i usłyszano ostatnie tajemnicze zdania z pokładu „Lillie Marlene”: „Przybyli z mgły. Kapitan i pierwszy oficer nie żyją. Załoga walczy. Żadnych szans. Zbyt wielu. Pasażerowie giną pierwsi, nikt, nawet kobiety nie są oszczędzone... O Boże! Na południu widać na horyzoncie statek. Gdyby tylko zdążyli na czas! Verhuss zabity. Teraz idą po mnie. Nie mam czasu, usłyszeli radio. Nie wińcie kapitana. Nie mógł wiedzieć. Dobijają się do

drzwi! Nic nie rozumiem, znów płyniemy. Pomocy! Na miłość boską, pomóżcie nam! O Jezu, oni...”

Wiadomość urwała się i nigdy już nie nawiązano łączności z operatorem. Pierwszym statkiem, który dopłynął na miejsce tragedii, był hiszpański frachtowiec „San Gabriel”. Był w odległości dwunastu mil, gdy odebrał sygnał SOS z pokładu jachtu i to jego musiał widzieć operator, nadając swój ostatni meldunek. Gdy podpłynął do idącego z niewielką prędkością jachtu, załoga stwierdziła, że „Lillie Marlene” wygląda na nie uszkodzoną. Nagle silniki przestały pracować i jacht stanął w miejscu. Umożliwiło to hiszpańskiemu kapitanowi wysłanie drużyny abordażowej. Jej członkowie znaleźli martwą załogę i pasażerów leżących na pokładzie i w kabinach. Ciała były zielonkawej barwy, o twarzach częściowo zniekształconych jakby pod wpływem wielkiego ciepła. Przy nadal włączonej radiostacji siedział trup operatora. Oficer dowodzący drużyną połączył się natychmiast z „San Gabrielem”, z przerażeniem w głosie opisując sytuację na jachcie. Na statku panował okropny odór podobny do zapachu spalonej siarki. Położenie zwłok i nienaturalne ułożenie kończyn świadczyły o tym, że rozegrała się tu ząarta walka. Twarze wszystkich zmarłych były zwrócone na północ, nawet pyszczek piaska, którego miała na rękach jedna z pasażerek.

Po krótkiej naradzie w sterówce jachtu zasygnalizowano kapitanowi „San Gabriela”, żeby podano linę holowniczą. Jacht był w dobrym stanie, postanowiono więc doholować go do Honolulu i zgarnąć należne prawnie przyzwo. Jednak zanim zdołano przerzucić linę, jachtem targnęła potężna eksplozja. Frachtowiec zakołysał się mocno, a resztki „Lillie Marlene”, zamordowanych i drużyny abordażowej wybuch rozrzucił na przestrzeni ćwierć mili. Nikt nie ocalał, a szczątki szybko zatoneły.

Po przeanalizowaniu faktów, dowodów i dokumentów oraz po przesłuchaniu świadków zespół dochodzeniowy straży przybrzeżnej zamknął sprawę stwierdzeniem: „Śmierć załogi i pasażerów oraz późniejsze zatonięcie w wyniku eksplozji jachtu „Lillie Marlene” można przypisać jedynie nie wyjaśnionym okolicznościom lub działaniu nieznanym osób.

Pitt zamknął teczkę i położył ją na biurku Huntera.

- Mówiąc łagodnie, to niesamowite - przyznał.

- To jedyny sygnał wzywający pomocy i jedyny raport świadków, jaki istnieje w związku z całą tą sprawą - poinformował go admirał.

- Najbardziej prawdopodobny wydaje się atak wykonany przez drużynę abordażową - stwierdził Pitt.

- Ludzi, którzy weszli na pokład jachtu, uwolniono od podejrzeń - powiedział Boland. - Wyliczenia na podstawie radiolokacyjnych namiarów radiostacji i porównania czasu wykazały, że ten Hiszpan istotnie był o dwanaście mil od jachtu, gdy z pokładu „Lillie Marlene” nadawano SOS.

- I w okolicy nie było żadnego innego statku? - upewnił się Dirk.

- Wiem, o co ci chodzi - wtrącił Denver. - W tych okolicach piractwo wymarło wraz z żaglowcami. To nie Morze Południowochińskie.

- W swej wiadomości Dupree wspomina coś o mgle. Czy „San Gabriel” zauważył coś podobnego? - zapytał po chwili Pitt.

- Nie. Poza tym pierwsze sygnały SOS nadano prawie o dziewiątej wieczorem. Na tej szerokości geograficznej to już prawie noc. Ciemny horyzont uniemożliwiłby dostrzeżenie takiego obłoku, gdyby on nawet tam był - odparł Hunter.

- W dodatku - uzupełnił Denver - mgła w lipcu w tej części Pacyfiku jest równie rzadka jak śnieżyca na Waikiki. Niewielki obłok mgły tworzy się, gdy zastałe ciepłe powietrze ulega ochłodzeniu i kondensacji, zazwyczaj podczas bezwietrznych nocy przy zetknięciu z chłodniejszą i spokojną powierzchnią wody. W tych okolicach praktycznie nie występują takie warunki pogodowe. Wiatr wieje nieprzerwanie prawie cały rok, a woda o temperaturze siedemdziesięciu do osiemdziesięciu stopni Fahrenheita nie jest chłodną powierzchnią potrzebną do kondensacji.

- Należy także wziąć pod uwagę, że gdyby „San Gabriel” nie nadpłynął, to jacht eksplodowałby i zatonął, nie zostawiając śladów - włączył się do rozmowy Boland. - I zostałby zaliczony do przypadków tajemniczych zaginięć.

- Z drugiej strony - Denver spojrzał nań bez sympatii - jeśliby sprawcą ataku było coś nie z tego świata, a tej możliwości nie możemy całkowicie wykluczyć, to niezbyt rozsądne byłoby przeprowadzenie go w zasięgu widoczności innej jednostki oraz pozostawienie grupie abordażowej czasu na inspekcję. Musiała w tym tkwić konkretna przyczyna.

- Znów się zaczyna - jęknął Boland.

- Proszę trzymać się faktów, komandorze. - Hunter przesłał Denverowi lodowate spojrzenie. - Nie mamy czasu na science fiction.

Zapadła ciężka cisza przerywana jedynie odgłosami dochodzącymi z głównej hali. Pitt zmęczonym gestem przetarł oczy i potrząsnął głową. Gdy się odezwał, mówił cicho i spokojnie, wolno akcentując słowa:

- Myślę, że komandor Denver poruszył ciekawe zagadnienie.

- Jest pan zwolennikiem małych, zielonych ludzików, którzy nie lubią, gdy coś im pływa nad głową? - spytał ironicznie Hunter.

- Nie. Ale sądzę, że ten, kto jest odpowiedzialny za te katastrofy, chciał, by ów hiszpański frachtowiec odkrył jacht. Miał w tym swój cel.

- Jaki? - Hunter spoważniał.

- Wykluczmy na chwilę złą pogodę, brak umiejętności, pecha i zły stan statków. Pójdźmy teraz dalej i załóżmy, że mamy do czynienia z jakąś inteligencją.

- Niech będzie - zgodził się Boland. - Kryje się za tym jakiś rozum. Co wobec tego osiągnął, niemal pozwalając przyłapać się w trakcie masowego mordu?

- Raczej dlaczego odstąpił od sprawdzonej rutyny postępowania? - odparł Pitt pytaniem. - Marynarze są ludźmi niesamowicie przesądnymi. Większość nie potrafi nawet pływać, nie mówiąc już o nurkowaniu w kombinezonie. To, co dzieje się pod powierzchnią, po której pływają, jest zawsze groźne, tajemnicze i owiane przesądami. Najgorsze, co ich może spotkać to utonięcie albo spotkanie rekina. Sądzę, że ten, kto kieruje całą akcją, zaplanował odnalezienie „Lillie Marlene” i nawet odpowiednio poukładał trupy, by wywrzeć większe wrażenie.

- Tyle wysiłku, by przstraszyć kilku marynarzy - mruknął nie przekonany Boland.

- Nie kilku - sprzeciwił się Dirk - ale wszystkich pływających po tym obszarze. Mówiąc krótko, cały incydent z jachtem był ostrzeżeniem.

- Przed czym? - spytał Denver.

- Żeby ludzie trzymali się z daleka od tego obszaru.

- Przyznaję - powiedział powoli Boland - że od czasu „Lillie Marlene” żegluga omija ten rejon jak zadżumiony.

- Tylko coś tu się nie zgadza - wtrącił Hunter. - Jedyni naoczni świadkowie, czyli grupa abordażowa, zostali wysadzeni w powietrze wraz z jachtem i ofiarami wypadku.

- To proste - uśmiechnął się Pitt. - Grupa miała wrócić na „San Gabriela” i złożyć raport kapitanowi. Nasz geniusz nie wziął jednak pod uwagę ludzkiej zachłanności. Grupa zdecydowała pozostać na jachcie i doholować go do portu. Pewnie już w myślach dzielili przyzwo. Ich błąd polegał na użyciu do łączności ze statkiem radia zamiast tuby, co dowodzi, że nasz geniusz ma gdzieś radiostację podsłuchową. Nie mógł dopuścić, by jacht został poddany dokładnym oględzinom i ekspertyzom, bo odkryto by wówczas nie tylko oszustwo, ale również zwykły mord. Wysadził więc jacht natychmiast wraz z grupą abordażową. Ładunki musiały być wcześniej przygotowane do odpalenia. To jedyna możliwość. Zastosowanie min lub torped w tym przypadku nie wchodzi w grę, jest zbyt skomplikowane.

- Całkiem prawdopodobna hipoteza - westchnął Hunter. - Ale nawet jeśli pańska płodna wyobraźnia odkryła prawdę, to nadal nie rozwiązuje to naszego głównego problemu... odnalezienia „Starbucka”.

- Właśnie miałem do tego dojść - uśmiechnął się Dirk. - Wiadomość radiowa z „Lillie Marlene” i ta pisana przez komandora Dupree są w ogólnej wymowie dość podobne. Ta sama prośba, te same niemal słowa o niewinności kapitana. Trochę to dziwne, nieprawdaż? Wszystko to

prowadzi do następującego wniosku: wiadomość od Dupree jest fałszerstwem.

- Braliśmy to pod uwagę - odparł Hunter. - W nocy dokumenty zostały przesłane samolotem do Stanów. Godzinę temu dostaliśmy z wywiadu floty wynik ekspertyzy grafologicznej: wiadomość pisał własnoręcznie Dupree.

- Naturalnie, że to było jego pismo - zgodził się Pitt. - Ten, kto wymyślił całą tę operację, nie był aż tak naiwny, by nie wziąć pod uwagę ekspertyzy grafologicznej. Próba podrobienia kilku stron byłaby szaleństwem, które musiałyby się wydać. Natomiast dobrze byłoby, gdyby eksperci sprawdzili autentyczność powstawania tego tekstu. Coś mi się wydaje, że nie został on napisany odręcznie, lecz wydrukowano go na drukarce; dopiero potem pociągnięto po nim długopisem.

- To bez sensu - sprzeciwił się Boland. - By to zrobić, ktoś musiałby dysponować rękopisami Dupree. Z czegoś przecież musieli kopiować.

- Dziennik okrętowy to raz, korespondencja to dwa, a kto wie, czy nie prowadził własnych notatek z podróży - odparł Pitt. - W kapsule były ostatnie karty dziennika, brakowało kilku stron. Wydaje się, że z dostępnego materiału powycinano, co się dało i zmontowano zdania, które czytaliśmy. Dalej część została przefotografowana, zdrukowana na oryginalnych kartach dziennika i podretuszowana na rękopis.

- To mogłoby tłumaczyć niezbyt logiczne w niektórych miejscach zdania lub brak pewnych opisów, które powinny się tam znaleźć - mruknął zamyślony Hunter. - Ale to nadal nam nie wyjaśnia, gdzie jest Dupree i jego okręt.

Pitt wstał i podszedł do mapy.

- Czy „Starbuck” wysyłał swe meldunki do Pearl Harbor w zakodowanej formie? - spytał.

- Nie zainstalowano na nim maszyn kodujących, gdyż okręt operował albo na naszych wodach, albo w ich pobliżu. Miał otrzymać nową generację maszyn szyfrujących po powrocie - wyjaśnił Hunter.

- Dość ryzykowne, żeby któryś z naszych okrętów podwodnych nadawał otwartym tekstem - stwierdził zaskoczony Pitt. - Przynajmniej dla mnie.

- Cisza radiowa obowiązuje tylko na patrolach i po osiągnięciu wyznaczonego rejonu - wyjaśnił Boland. - Ponieważ „Starbuck” odbywał rejs próbny i istniało spore niebezpieczeństwo awarii, Dupree miał rozkaz podawania pozycji co dwie godziny, tak na wszelki wypadek. Rejs miał trwać jedynie pięć dni i zanim Rosjanie czy ktokolwiek inny zdołałby go dokładnie wysledzić, zidentyfikować i wysłać na miejsce statek z elektronicznym wyposażeniem pomiarowym, „Starbuck” od dawna cumowałby bezpiecznie w Pearl Harbor.

- Ten czerwony znak - Pitt wpatrywał się w mapę - to miejsce, w którym według wiadomości od Dupree powinien znajdować się „Starbuck”, tak? A ta seria czarnych znaczków to ostatnie

meldowane przez radio jego pozycje?

- Zgadza się - przytaknął Hunter.

Pitt przez długą chwilę wpatrywał się w mapę bez słowa. W końcu odsunął się o krok i wskazał ostatni z czarnych znaczków pytając:

- Jak daleko przeszukano obszar od tego miejsca?

- Wachlarzem na północny zachód do odległości trzystu mil - odparł zaskoczony Boland. - Może dowiedzielibyśmy się w końcu, po co ten cały egzamin?

- Jak wiem, w poszukiwaniach brało udział ponad dwadzieścia okrętów i sto samolotów, tak? - upewnił się Pitt. - Nie znaleziono absolutnie nic, pomimo zastosowania całej najnowszej techniki, jak magnetometry, sonary, telewizja podwodna i co tam jeszcze komu przyszło do głowy. Czy to nie zdziwiło nikogo z tu obecnych?

- A dlaczego miałoby zdziwić? - spytał zaskoczony Hunter. - „Starbuck” mógł zatonać w jakimś podwodnym kanionie...

- Albo w warstwie miękkich osadów - dodał Denver. - Znalezienie jednego okrętu na tak dużym akwenu, to prawie to samo, co szukanie przysłowiowej igły w stogu siana.

- Mój drogi - rozpromienił się Dirk. - Właśnie powiedziałaś magiczne słowo, a raczej słowa.

Denver przypatrywał mu się z niepewnym wyrazem twarzy.

- Jednego okrętu - powtórzył Pitt. - Całe poszukiwania nie mogły odnaleźć jednego okrętu.

- I co z tego? - spytał lodowato Hunter.

- Nie rozumiecie? Przeszukano sam środek obszaru zwanego hawajskim wirem. Zgadzam się z tym, co powiedzieliście o „Starbucku”. Może nie dało się na niego trafić, ale jednostki ratownicze powinny bez kłopotów coś znaleźć. Przecież tam ponoć leży prawie czterdzieści innych wraków.

- Cholera! - Hunter zrozumiał wreszcie, do czego zmierzał Pitt. - Nigdy nie pomyśleliśmy o...

- Rozumiem - przerwał mu niezbyt grzecznie Boland, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. - Tylko co z tego wynika?

- To, że przeszukiwano nie ten rejon, który należało - odparł Pitt. - Oznacza to również, że wiadomość od komandora Dupree jest oszustwem, tak samo jak ostatnie pozycje okrętu podawane przez radio. Mówiąc krótko, panowie, okrętu należy szukać nie na północnym zachodzie, ale w rejonie odwróconym o sto osiemdziesiąt stopni, czyli na południowym zachodzie.

Hunter, Denver i Boland przyglądali mu się w pełnym zdumienia milczeniu. Na ich twarzach

powoli zaczęło pojawiać się zrozumienie. Pierwszy zareagował Denver.

- Zgadza się - powiedział.

Twarz Huntera nabrała nagle rumieńców, oczy błysnęły entuzjazmem. Przez ponad minutę wpatrywał się w mapę z ożywieniem nie notowanym od miesięcy, po czym odwrócił się i spytał Bolanda:

- Komandorze, jak szybko „Martha Ann” może wypłynąć?

- Trzeba przyjąć na pokład helikopter, zatankować i jeszcze raz sprawdzić aparaturę... Sądzę, że nie później niż o dwudziestej pierwszej dziś wieczorem, sir.

- Nie zostanie nam dużo czasu na ustalenie kursu i rejonu poszukiwań - oznajmił Hunter i zwrócił się do Denvera: - To pańska specjalność. Proponuję, aby niezwłocznie zabrał się pan do roboty.

- Wszystko jest już w komputerach, sir. To tylko kwestia odwrócenia danych wejściowych co do kierunku, w którym mają być prowadzone poszukiwania. Zajmie to kwadrans, najwyżej pół godziny i po wszystkim, sir.

Hunter potarł czoło.

- Dobrze, panowie. Reszta należy do nas. Oddałbym połowę tych pasków, żeby popłynąć z wami, ale w Stanach łeb by mi za to urwali. Tak na marginesie, panie Pitt, mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko wzięciu udziału w bliżej nie określonej czasowo podróży morskiej?

- Chwilowo nie mam żadnych innych atrakcyjnych planów - uśmiechnął się w odpowiedzi Dirk.

- To dobrze. - Hunter zapalił kolejnego papierosa. - Proszę mi odpowiedzieć, jeśli pan naturalnie może, na jedno pytanie: Jakim cudem oficer lotnictwa został zastępcą szefa jednej z najważniejszych rządowych agencji do spraw morskich?

- Zestrzeliłem admirała Sandeckera wraz z jego sztabem nad Morzem Południowochińskim, sir - odparł Pitt z szerokim uśmiechem.

Hunter uwierzył mu bez protestów. Przypomniały mu się słowa admirała Sandeckera usłyszane rankiem: „Jeżeli chodzi o Pitta, to wszystko jest możliwe”. Słowa te w najbliższym czasie miały zacząć go prześladować.

ROZDZIAŁ 7

Godzinę po zapadnięciu zmroku Cobra AC wjechała na portowy parking w Pearl Harbor. Przednie koła dotknęły drewnianego ogranicznika, silnik umilkł, światła zgasły i cicho trzasnęły drzwiczki. Pitt wysiadł, rozglądając się od niechcenia. Wszędzie panowała cisza i spokój. Gdy obejmował wzrokiem światła portu, bryza zmieniła kierunek, przynosząc ze sobą zapach, który każdemu - od krupiera z Las Vegas po celnika z Iowa - skojarzyłyby się nieomylnie z portowym nabrzeżem. Jedyne i niepowtarzalny bukiet ropy, dziegciu i smoły z domieszką dymu i aromatu słonej morskiej wody. Dirk lubił ten zapach; niósł ze sobą wspomnienia odległych portów i zapowiedź przygody.

Jedynym żywym stworzeniem w zasięgu wzroku była mewa siedząca na drewnianym ogrodzeniu, która błysnęła w jego kierunku czarnym okiem i odwróciła łebek. Dirk sięgnął na siedzenie samochodu i wziął owiniętego w ręcznik Mausera. Wciągnął głęboko powietrze, wcisnął broń pod pachę i zamknął wóz. Wolnym krokiem ruszył w stronę nabrzeża.

Gdyby tej nocy ktoś kręcił się po porcie, z pewnością w wyglądzie Pitta nie zauważyłby nic zwracającego uwagę. Nienagannie zazwyczaj ubrany Dirk paradował bowiem w znoszonej zielonkawej koszuli, wypłowiałych gabardynowych spodniach i zniszczonych traktorach zawiązanych zamiast sznurowadłami cienką linką. Strój był podarkiem od szefa ochrony 101. Floty, aby Dirk „pasował do wystroju”, jak to określił oficer, wchodząc na pokład „Marthy Ann”. Przydzwiewek był o numer za mały, nieco trzeszczał w szwach i zdecydowanie nie był wzorem komfortu. Być może rzeczywiście Pitt nie odróżniał się zewnątrz od zwykłego marynarza, ale czuł się jak lump z najpodlejszej portowej ulicy. Brakowało mu tylko papierowej torby z tanim winem albo butelki Grand Mariner Yellow Ribbon. Byłby to odpowiedni dodatek do tych szmat.

Sto jardów dalej zatrzymał się, spoglądając na górujący nad nim ciemny kadłub pogrążony w mroku. Jedyne światło rzucała kołysząca się na drucie goła żarówka nad zużytym trapem. Dojście do niego oświetlały dwie metalowe lampy umieszczone na ścianach pobliskiego magazynu. Ich słaby blask w połączeniu z całkowitą ciszą i mrokiem przydawał cumującemu przy nabrzeżu statkowi nastroju tajemniczości i niesamowitości. Jednostka była stara i zniszczona. Prosto ścięty dziób, przypominająca pudełko nadbudówka zwieńczona pojedynczym, cienkim kominem udekorowanym błękitnym pasem łuszczącej się farby. Na pokładzie niczym uschnięty las wznosiła się płatanina dźwigów. Kiedyś kadłub pomalowano na czarno; poniżej linii wody był czerwony. Obecnie jednak był brudny, odrapany i zardzewiały. Jednostka była duża, Pitt ocenił jej wyporność na około dwanaście tysięcy ton. Napis na rufie, niegdyś biały, był tak spłowiały, że z trudem dało się odczytać: „Martha Ann” - Seattle. Trap wyglądał niczym tunel prowadzący w czarną nicość. Cały statek pogrążony był w mroku, ludzką obecność zdradzał tylko stłumiony szum generatorów we wnętrzu kadłuba i cienka smużka dymu wznosząca się z komina. Dirk westchnął i ruszył w górę, pochylając ciało, by zniwelować nachylenie trapu. Noc była bezksiężycowa, światło lamp nie docierało do końca trapu i pokład statku pogrążony był w zupełnym mroku. Pitt zawahał się.

- Pan Pitt? - odezwał się głos z ciemności.

- To ja.

- Proszę zrobić trzy kroki w prawo i pokazać dokumenty. Chciałbym je obejrzeć.

- Proszę uprzejmie, tylko nie bardzo widzę, komu je wręczyć - oznajmił Pitt, zatrzymując się posłusznie po trzecim kroku.

- Proszę położyć dokumenty na pokładzie i cofnąć się trzy kroki.

Pitt powstrzymał się od komentarza. Wiedział, że taka procedura obowiązywała podczas alarmu w jednostkach wojskowych. Nie rozumiał tylko, dlaczego stosuje się ją na tym zardzewiałym wraku sprzed kilku dziesięcioleci? Postanowił nie utrudniać życia wartownikowi, nie on to przecież wymyślił. Ostrożnie położył na pokładzie zawiniętą w ręcznik broń i po ciemku wyszukał laminowaną plastikiem legitymację. Trwało to parę chwil, identyfikator formatem nie różnił się od kart kredytowych, w przeciwieństwie do nich nie miał jednak żadnego wytłoczonego napisu dającego się wyczuć opuszkami palców. Położył dokument na pokładzie, wziął Mausera i posłusznie się cofnął. Z ciemności wystrzelił cienki snop światła latarki, oświetlając wpierw identyfikator, potem twarz Pitta.

- Przepraszam za kłopoty, sir, ale admirał Hunter zarządził czerwony alarm na pokładzie. - Z mroku wyłoniła się ciemno ubrana postać i oddała mu legitymację. - Proszę iść pierwszą schodnią po prawej. Komandor Denver jest w kabinie nawigacyjnej.

- Dzięki - mruknął Pitt, wspinając się po metalowych stopniach na mostek.

Sterówka była ciemna i pusta, ale gdy ostrożnie uchylił drzwi do następnego pomieszczenia, zalał go potok jasnego światła.

- Cześć, Dirk - odezwał się ciepło Denver. W palcach trzymał papierosa. - Witamy na pokładzie jedyne go pływającego antyku US Navy.

Denver ubrany był w czarny pulower i poplamione dzinsy. Ktokolwiek inny prezentowałby się w tym stroju jak dobrze zbudowany marynarz, komandor jednak wyglądał po prostu śmiesznie. Pitt zasalutował mu i stwierdził:

- Nie spodziewałem się zastać tu ciebie, Burdette. Myślałem, że zostajesz w sztabie z admirałem.

- Zostaję - uśmiechnął się Denver - ale nie mogłem się oprzeć. Przeszedłem życzyć tobie i Paulowi dobrych łowów i szczęścia.

- Będziemy go potrzebowali. Jeżeli by to ode mnie zależało, wolałbym szukać przysłowiowej igły w stogu siana. Po pierwsze są magnesy, po drugie byłoby to zdecydowanie bezpieczniejsze

zajęcie.

Denver przyjrzał mu się uważnie, jakby widział go po raz pierwszy w życiu, zastanawiając się, jaki trzeba mieć charakter, by podjąć takie ryzyko i trudy, nie mając z tego żadnych osobistych korzyści. Pitt mógł przecież spokojnie odmówić wzięcia udziału w tej wyprawie, on natomiast prawie się ucieszył z możliwości bezpośredniego spotkania z prześladowającą ich tajemnicą. Z każdą mijającą minutą stawało się coraz bardziej jasne, dlaczego Hunter tak nalegał na wypożyczenie Pitta z NUMA. Tacy jak on zdarzają się naprawdę niezbyt często, a czasami są po prostu niezastąpieni.

- Mógłbyś mi to jaśniej wytłumaczyć? Uważasz, że istnieje jakieś niesamowite zjawisko? - spytał.

- Jak to dziś określił twój szef, naszym zadaniem jest odnalezienie i podniesienie na powierzchnię „Starbucka” - odparł Pitt. - Łapanie duchów i rozwiązywanie tajemnic to zajęcie uboczne. Poza tym naukowcy i inżynierowie z NUMA nie tracą czasu na badania trójkątów bermudzkich czy hawajskich wirów. Takie sprawy lepiej zostawiać pisarzom sensacji, by ubarwiały ich książki. Wszelkie nie wyjaśnione zjawiska, jeśli przypadkowo je się odkryje, trafiają na półkę.

- Mógłbyś mi podać jakiś przykład?

Pitt wpatrywał się przez chwilę w rozłożoną na stoliku mapę.

- Dziewięć miesięcy temu zdarzyło się coś jakby żywcem wyjęte z powieści Juliusza Verne'a. Dwa nasze statki oceanograficzne dokonujące pomiarów głębokości i kształtu dna oraz przeprowadzające testy dźwiękowe w Rowie Kurylskim, zarejestrowały odgłosy obiektu poruszającego się z dużą szybkością na znacznej głębokości. Obie jednostki natychmiast wyłączyły silniki i dostroiły całą aparaturę rejestrującą na to coś, co tam płynęło.

- Nie mógł to być błąd instrumentów lub operatora?

- Raczej wykluczone. Operatorzy na takich jednostkach są naprawdę dobrzy, a jeżeli uwzględnić, że dwóch operatorów na dwóch statkach, przy dwóch zestawach pomiarowych o dużej dokładności uzyskało takie same odczyty, eliminuje to praktycznie możliwość błędu. To coś, ten potwór czy łódź podwodna, było tam na pewno. Raczej łódź, bo potwory nie mają silników, a to coś miało i poruszało się z szybkością stu dziesięciu mil na godzinę na głębokości dziewiętnastu tysięcy stóp.

- Nie do wiary - mruknął Denver.

- To tylko połowa sprawy. Inny nasz statek w Rowie Kajmanskim w pobliżu Kuby miał dokładnie takie samo spotkanie. Widziałem oba zapisy, są takie same aż do najdrobniejszych szczegółów.

- Navy została o tym poinformowana?

- Po co? Marynarka nie chce słyszeć o dziwnych obiektach podwodnych, tak jak lotnictwo nie przyjmuje wiadomości o UFO. W dodatku jakie mamy dowody? Kilka kartek papieru zadrukowanych masą poszarpanych linii. - Pitt odchylił się z krzesłem, zakładając ręce pod głowę; nogi oparł o stół. - Był jednak niedawno wypadek, że prawie złapaliśmy któregoś z nieznanymi mieszkańcami podwodnego świata na taśmę wideo. Jeden z naszych zoologów nagrywał dźwięki ryb na uskoku kontynentalnym. Spuścił mikrofon na dziesięć tysięcy stóp, by złapać jakiś rzadko spotykany gdzie indziej gatunek i przez kilka dni nagrywał trzaski, zgrzyty i inne, jak to określił, „normalne dźwięki”. W tle słychać było krewetki trzeszczące niczym linia wysokiego napięcia. Pewnego popołudnia nagle krewetki zamilkły, a z głośnika doszedł odgłos wyraźnego stukania, zupełnie jakby ktoś pukał ołówkiem w mikrofon. Z początku zoolog był przekonany, że to jakiś nie nagrany dotąd odgłos ryby czy innego zwierzaka, ale regularność i rytm stukania po chwili go zastanowiły; było to podobne do jakiegoś kodu. Zawołał więc radiooperatora statku, który stwierdził, że to formuła matematyczna nadawana alfabetem Morse’a. Stukanie ucichło tak nagle jak się pojawiło, za to z głośników dobiegł przenikliwy śmiech zniekształcony przez wodę. Załoga czym prędzej spuściła kamerę, ale spóźnili się o jakieś dziesięć sekund. Muł na dnie zaczął się właśnie wznosić jakby pod wpływem nagłych ruchów czegoś idącego czy pełzającego. Opadł dopiero po godzinie, ukazując dziwne, ale regularne ślady prowadzące w głąb oceanu.

- Co to była za formuła matematyczna? - spytał Denver.

- Równanie na określenie ciśnienia wody na głębokości, na której był mikrofon.

- A wynik?

- Prawie dwie i pół tony na cal kwadratowy.

W pomieszczeniu zapadła cisza przenikająca do szpiku kości. Pitt słyszał fale cicho pluszczące o kadłub.

- Macie tu kawę? - spytał.

Denver nie odpowiedział od razu, jego myśli nadał błądziły po tajemniczych głębiach oceanu. Odparł po chwili z widocznym wysiłkiem:

- Naturalnie. Na tym statku jest najlepsza obsługa kabinowa na świecie. - Zdjął z kuchenki stary, poczerniały czajnik i nalał smolistej płynu do powyginanych cynowych kubków. - Proszę bardzo, sir. Życzymy miłej podróży!

Zasiedli przy stole nawigacyjnym i ledwie spróbowali kawy, gdy otworzyły się drzwi i do kabiny wszedł Boland. Ubrany był w niezbyt czysty podkoszulek, powycierane dzinsy i rozdeptane buty. Pod pachą trzymał brezentowy worek z rzeczami Pitta. Podkoszulek dobrze ukazywał jego muskularne ramiona. Po raz pierwszy Dirk miał okazję dostrzec na jednym z nich tatuaż. Przedstawiał nóż przebijający skórę, z której kapłała krew. Pod rysunkiem widniał napis: Prędzej utracić życie niż honor. Dirk był zaskoczony, zwykle jedynie bardzo młodzi albo bardzo pijani żołnierze ulegają urokowi tatuażu. Boland nie mieścił się w żadnej z tych kategorii.

- Wyglądacie obaj jakbyście właśnie dostali po premii - rzekł nowo przybyły. - Co się dzieje?

- Właśnie rozwiązujemy zagadki wszechświata - odparł Denver. - Proszę, masz okazję spróbować mojego słynnego na cały świat naparu.

Podsunał mu świeżo napełniony kubek. Boland wziął go, ale zamiast wypić, wpatrywał się w Pitta z zamyślonym wyrazem twarzy. Dopiero gdy Dirk spojrział na niego, uśmiechnął się i uniósł kubek do ust.

- Jakies ostatnie życzenia od starego? - spytał.

- Nic się nie zmieniło od czasu waszej rozmowy. - Denver potrząsnął głową. - Przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa w tył zwrot i z powrotem do Pearl Harbor.

- Jeśli będziemy mieli szczęście - dokończył Boland. - Żaden z zaginionych okrętów nie miał czasu nadać SOS, nie mówiąc już o ucieczce.

- Pitt i helikopter są naszą polisą ubezpieczeniową.

- Potrzeba czasu na rozgrzanie silnika śmigłowca. - Boland był w zdecydowanie złym nastroju.

- Nie tego - sprzeciwił się Pitt. - Mogę wystartować w czterdzieści sekund po przekręceniu iskrownika. - Wstał i przeciągnął się, bez trudu dotykając metalowego sufitu. - Mam tylko pytanko - rzekł. - Udźwig helikoptera to piętnaście osób plus pilot. Albo Navy dała nam załogę karzełków, albo nie mamy na pokładzie kompletu.

- Według normalnych standardów nie mamy kompletu - odparł Denver z uśmiechem i mrugnął do Bolanda. - Nie możesz o tym wiedzieć, ale „Martha Ann” nie jest takim starym trampem, na jakiego wygląda i nie potrzebuje licznej załogi głównie dlatego, że jest wyposażona w najnowszy i wysoko zautomatyzowany system centralnej kontroli praktycznie wszystkich urządzeń potrzebnych do pływania. Właściwie do tego celu w ogóle nie potrzebuje ludzi.

- A ta rdza na kadłubie?

- Najpiękniejszy kamuflaż, jaki można było wymyśleć - przyznał z dumą Denver. - Sprytny środek chemiczny. Kładzie się go jak farbę, a wygląda jak rdza. W południe, z odległości stopy nie zauważysz różnicy.

- Po co ta cała maskarada? - zainteresował się Pitt.

- Bo ten statek ma swoje zadania, o których nie wszyscy powinni wiedzieć - odparł Boland, siląc się na skromność. - Nigdy byś tego nie zgadł, patrząc na nią, ale jest dosłownie wyposażona sprzętem do podmorskiego ratownictwa.

- Zamaskowany statek ratowniczy - powiedział wolno Pitt. - To całkiem nowy i niegłupi

pomysł.

- Maskarada przydaje się w sytuacjach, powiedzmy... delikatniejszej natury - uśmiechnął się Denver.

- Admirał Sandecker mówił mi o paru z nich. Teraz rozumiem, jak udało się wam tego dokonać.

- Nie ma dla nas rzeczy niemożliwych - roześmiał się Boland. - Podnieśliśmy „Andrea Dorię”, gdyby nam pozwolili.

- Przypuśćmy, że odnajdziemy „Starbucka”. Wówczas nawet przy całej automatyzacji nie zdołacie go podnieść, mając do dyspozycji tak nieliczną załogę - zauważył Pitt.

- To tylko przezorność - odparł Denver. - Admirał Hunter nalegał na szkieletową obsadę przy akcji poszukiwawczej, aby nie narażać większej liczby ludzi niż to niezbędne, w przypadku gdyby „Martha Ann” miała podzielić los poprzedników. Z drugiej strony, jeśli będziemy mieli szczęście i odnajdziemy „Starbucka”, a nie spotka nas nic złego, to ty przewieziesz tu helikopterem załogę ratowniczą i niezbędny ekwipunek.

- Sprytne - przyznał Dirk. - Choć spałbym spokojniej, mając uzbrojoną eskortę.

- Nie da się zrobić. - Denver smutno potrząsnął głową. - Ruski domyśliliby się celu naszej wyprawy, gdyby dowiedzieli się, że stary tramp płynie pod eskortą. Nie dość, że rano mielibyśmy na ogniu „Andrieja Wyborga”, to spalilibyśmy użyteczność „Marthy Ann”.

- „Andrieja Wyborga”? - Pitt pytająco uniósł brwi.

- Radziecki statek oceanograficzny zaklasyfikowany przez wywiad jako jednostka szpiegowska - wyjaśnił Boland. - Śledził poszukiwania „Starbucka” i od sześciu miesięcy kręci się po okolicy, szukając na własną rękę. Ryzyko jest spore, ale lepiej jest je podjąć niż mieć pewność utraty użyteczności tego starego pudła, a prawdopodobnie i samego pomysłu zakamuflowanego statku ratowniczego.

- Widzisz - dodał Denver - „Martha Ann” nie ma oficjalnie nic wspólnego z US Navy. Jest zarejestrowana jako statek handlowy będący własnością prywatnej amerykańskiej spółki i mamy zamiar utrzymać to tak długo, jak tylko się da.

- Czy marynarka nie jest trochę zaniepokojona faktem, że radziecki statek szpiegowski węszy tu samotnie?

- Nie jest sam. - Boland nagle spoważniał. - Mamy nadal cztery jednostki przeszukujące północny rejon. Obojętnie jak beznadziejnie sprawa by wyglądała, Navy nigdy nie rezygnuje, dopóki nie znajdzie śladów katastrofy lub wraku. Można to nazwać tradycją, ale gdy człowiek płynie po katastrofie statku, kurczowo trzymając się kawałka dechy, miła jest świadomość, że nic nie zostało

pominięte, by go uratować... - Wypowiedź przerwało ciche pukanie do drzwi. - Wejść! - ryknął.

W progu pojawił się młody chłopak ubrany w rzeźnicką czapkę i błękitny, poplamiony kombinezon.

- Proszę wybaczyć, sir. Główny mechanik melduje, że maszynownia jest w pełni gotowa, a bosman zawiadamia, że możemy w każdej chwili odcumować - zwrócił się do Bolanda, ignorując pozostałych.

- Dobrze. - Komandor spojrzął na zegarek. - Proszę im powiedzieć, że odpływamy za dziesięć minut.

- Aye, aye, sir. - Młodzieniec zsalutował i wyszedł.

- Nieźle! Jesteśmy gotowi czterdzieści minut przed czasem - uśmiechnął się Boland.

Pitt wstał, przeciągnął się i otworzył drzwi do sterówki. Powietrze było tu czyste i świeże.

- Przydzieliłeś Dirkowi kabinę? - zapytał Denver.

- Następna za moją jest zwykle wolna na wypadek wizyty jakiegoś VIP-a - uśmiechnął się złośliwie Boland. - W tym przypadku zrobimy wyjątek.

Dirk nie zareagował. Złośliwość tę puścił mimo uszu. Hunter dobrze to zaplanował, tworząc z nich trzyosobowy zespół. Ludzie o różnych temperamentach skazani na swoje towarzystwo i połączeni wspólnym celem, będą chcieli jak najszybciej go zrealizować, zamiast prowadzić spory. Drobnych tarć oczywiście nie da się uniknąć, ale nie zaszkodzi to efektywności zespołu. „Hunter to doświadczony, szczwany lis” - pomyślał Pitt. Podziwiał starego wilka morskiego za intuicję.

- Cóż, lepiej sobie pójdę - stwierdził z żalem Denver.

- Poślemy ci czasem widokówkę - pocieszył go Pitt.

- Zróbcie coś więcej - sprzeciwił się nieoczekiwanie Denver. - Za dwa tygodnie od dziś rezerwuję bar w hotelu Reef i biada temu, kto się tam nie pokaże. Paul, masz kod, będziemy was śledzili za pomocą satelity. Kiedy odnajdziecie „Starbucka”, nadaj na częstotliwości handlowej, że zatrzymaliście maszyny, żeby naprawić uszkodzony wał napędowy. Będziemy mieli waszą dokładną pozycję w ciągu sekundy. Życzę wam powodzenia!

Uściskał im dłonie i zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, wyszedł. Zszedłszy na nabrzeże, zapalił papierosa i obserwował, jak załoga wciąga trap i rzuca cumy. Maszyny ruszyły, burta statku powoli zaczęła się przesuwac. Gdy statek skierował się na pełne morze, odgłos śrub ucichł, a światła nawigacyjne roztopiły się w mroku. Denver wrzucił niedopałek do wody, wcisnął dłonie w kieszenie i ruszył wzdłuż nabrzeża na parking.

ROZDZIAŁ 8

Pitt ubrany już we własną koszulę, dżinsy i buty stał przy relingu, spokojnie obserwując ślad torowy statku ciągnący się na ponad ćwierć mili. Morze było spokojne, powietrze ciepłe, niebo czyste, a z północnego zachodu wiała orzeźwiająca bryza. Myślał o tym, jaką dziwną zbieraninę ludzi poznał w ciągu ostatnich dwóch dni. Wszyscy oni jakby się zmówili, żeby mu zepsuć wakacje: niezrównoważona panienska polująca na niego ze strzykawką, kierowca usiłujący go zabić, drański admirał, komandor porucznik z absurdalnym tatuażem i niewysoki adiutant, najsprytniejszy z nich wszystkich (albo sprawiający takie wrażenie). Pitt był z nimi dość silnie związany, choć nie wynikało to całkowicie z jego woli - łączyła ich tajemnica hawajskiego wiru.

W myślach natomiast prześladował go osobnik, którego nie spotkał jeszcze osobiście, a który, jak sądził, był motorem całej sprawy: olbrzym o złotych oczach. Dlaczego tyle lat temu szukał zaginionej wyspy Kanoli? Nie wydawał się naukowcem teoretykiem szukającym zaginionej cywilizacji czy starych legend. Co takiego było w Kanoli, że bardziej go zainteresowała niż Mu czy Atlantyda? Trójkąt bermudzki i hawajski wir były realne - świadczyły o tym udokumentowane zniknięcia statków i załóg. Wobec tego musiały mieć logiczne wytłumaczenie. Klucz do zagadki był z pewnością oczywisty, lecz jak dotąd nie sposób było go odnaleźć.

- Panie Pitt? - Młodzieniec w kombinezonie przerwał mu rozmyślania.

- O co chodzi? - spytał Dirk z uśmiechem.

Marynarz chciał zasalutować, lecz opuścił rękę. Był zakłopotany, nie wiedział, jak ma się zachować wobec cywila, zwłaszcza na okręcie należącym do US Navy.

- Komandor Boland prosi pana na mostek - wykrztusił.

- Dziękuję. Proszę mu powiedzieć, że już idę.

Nie spiesząc się, Pitt pomaszerował przez stalowy pokład ku schodkom prowadzącym na mostek, omijając przykryte brezentem luki. Pod stopami czuł stały rytm silników posuwających statek do przodu.

Boland stał przed sternikiem, spoglądając przez lornetkę prosto przed dziób. W pewnym momencie opuścił szkła, przetarł je brzegiem podkoszulka i ponownie podniósł do oczu.

- O co chodzi? - spytał Pitt, spoglądając w tym samym kierunku. Niczego nie dostrzegł.

- Myślałem, że chciałbyś wiedzieć, iż weszliśmy właśnie w rejon poszukiwań. - Boland odłożył lornetkę na przymocowaną do ściany szafkę i sięgnął po mikrofon. - Poruczniku Harper, tu kapitan. Maszyny stop, zaczynamy robotę.

Odłożył mikrofon i skinął na Pitta. Zeszli poziom niżej i ruszyli długim korytarzem, mijając zamknięte drzwi prowadzące do kabin. W pewnym momencie Boland przystanął i otworzył jedne z nich, wskazując Dirkowi, by wszedł.

- Serce poszukiwań - ogłosił z niejakim patosem. - Rodem z *Gwiezdnych wojen*. Miejsce, w którym cztery tony sprzętu elektronicznego, drwiąc sobie z ludzkiej inteligencji, dowodzą statkiem. Po kolei: stanowisko pomiaru prędkości dźwięku i wielkości ciśnienia, zapis z podaniem czasu na taśmie magnetycznej, protonowy miernik wychwytyjący każdą ilość żelaza na dnie, cztery monitory kamer podwodnych - objaśniał Boland tonem przewodnika muzealnego. - Zatrzymaliśmy się, aby opuścić czujniki i kamery, które będą holowane za statkiem. Zaczynamy właściwe poszukiwania.

Pomieszczenie miało około ośmiuset stóp kwadratowych i w większości zastawione było konsolami komputerowymi, monitorami i rzędami migających lampek. Pitt spojrzał na ekrany. Opuszczono właśnie kamery i na monitorach widać było przez chwilę powierzchnię morza, potem serię rozbryzgów i po chwili spokojny, zielonkawobłękitny podwodny świat. Kamery i monitory barwne dawały znacznie wyraźniejszy obraz niż zazwyczaj używane monitory czarno-białe.

- Dalej mamy zminiaturyzowany sonar podłączony do komputera i dający od razu dokładny obraz dna. System ma zasięg pół mili od sensorów, w związku z czym za jednym przejściem przeszukujemy pas o szerokości mili. Całość także jest holowana za statkiem, ale oddzielnie od kamer i pierwszego zestawu - wyjaśnił Boland, nie przedstawiając Pitta żadnemu z operatorów siedzących przy konsolach.

Nie robił tego ostentacyjnie, po prostu nie przyszło mu to do głowy. Najwyraźniej zawilóści stosunków międzyludzkich i zasady *savoir-vivre*'u były rzeczami, na które nie zwracał zbyt uwagi. „Ciekawe, jak udało mu się dojść do stopnia komandora porucznika?” - zastanawiał się Dirk.

- A ten tu drobiazg - w głosie Bolanda zabrzmiała duma - to serce całej tej plątaniny cudów techniki: system komputerowy Selco-Ramsay 8300. Długość i szerokość geograficzna, szybkość, kurs i pełny meldunek o stanie wszystkich urządzeń na pokładzie. Krótko mówiąc: podłączamy go teraz do systemu sterowania statkiem. Jest w pełni zaprogramowany na poszukiwanie USS „Starbuck” i dopóki go nie znajdziemy, ten zestaw krzemu i mikroprocesorów będzie kierował statkiem.

- Szczyt sterylności - mruknął Pitt.

- Słucham?

- Można się obejść bez ludzkich rąk.

Boland zmarszczył brwi z namysłem.

- Taak, można tak to ująć - stwierdził w końcu.

Pitt pochylił się nad ramieniem programisty i przyjrzał się wydrukowi.

- Sprytne - przyznał. - Cały system można przeprogramować z głównego komputera, który jest zapewne w bunkrze w Pearl Harbor albo w innym równie bezpiecznym miejscu. Przydatne, gdyby nas spotkało coś równie miłego jak załogę „Lillie Marlene”. Nas co prawda trafi szlag, ale statek posłusznie zawróci i popłynie do domu w stanie nie uszkodzonym. Ekonomiczne podejście do sprawy.

- Znasz się na tych rzeczach. - W głosie Bolanda była mieszanina uznania i podejrzliwości.

- Można powiedzieć, że miałem przelotnie styczność z tymi urządzeniami.

- Widziałeś już te wszystkie cuda?

- Przynajmniej na trzech jednostkach oceanograficznych NUMA. Wasze są bardziej wyspecjalizowane, co jest naturalne, gdyż głównym zadaniem tego statku jest ratownictwo podwodne. Nasze urządzenia, z uwagi na naukową naturę poszukiwań, które prowadzimy, są trochę nowsze.

- Moje uznanie i przeprosiny, nie doceniłem cię. - Boland podszedł do oficera wachtowego, zamienił z nim kilka słów i wrócił. - Chodź, postawię ci drinka.

- Czy regulamin marynarki na to pozwala? - spytał nieco złośliwie Pitt.

- Zapominasz, że teoretycznie to statek handlowy. - Boland uśmiechnął się przebiegle.

- Jestem zdecydowanie za teorią.

Ruszyli ku drzwiom, gdy wachtowy zameldował:

- Kamery i sensory na miejscu. Gotowe do akcji.

- Szybka robota, poruczniku. Proszę przekazać do maszynowni, że ruszamy - polecił Boland.

- Chwileczkę - wtrącił Pitt. - Pytam z czystej ciekawości: Na jakiej głębokości jest dno?

Boland spojrział na niego zdziwiony, ale bez słowa przeniósł wzrok na wachtowego.

- Poruczniku?

Oficer był już przy konsoli sonaru, czekając na wydruk.

- Pięć tysięcy sześćset siedemdziesiąt stóp, sir - powiedział.

- Czy jest w tym coś niezwykłego? - Pytanie Bolanda skierowane było do Pitta.

- Powinno być głębiej. Możemy sprawdzić na mapie?

- TU, sir. - Porucznik wskazał stół z blatem z mlecznego szkła, podświetlonym od spodu, na którym rozwijał właśnie mapę. - Dno morskie północnego Pacyfiku. Jest niezbyt dokładna, sir, bo było niewiele wypraw pomiarowych w tej części świata.

Boland zreflektował się wreszcie i dokonał prezentacji:

- Dirk Pitt, a to porucznik Stanley.

- Dobra, Stanley - uśmiechnął się Dirk, opierając łokcie na blacie. - Zobaczmy, co tu mamy. Jaka jest nasza pozycja?

- Gdzieś o włos stąd. - Stanley zrobił krzyżyk na mapie. - $32^{\circ}10'$ północnej i $151^{\circ}17'$ zachodniej.

- To znaczy, że jesteśmy nad strefą pęknięcia Fullertona - powiedział wolno Pitt.

- Brzmi jak kontuzja piłkarska. - Boland także pochylił się nad mapą.

- Strefa pęknięcia to szczelina w Ziemi, coś jakby szew umożliwiający ruchy tektoniczne podłoża. Takich szczelin są setki stąd aż do wybrzeży Kalifornii.

- Ma pan rację co do głębokości, według mapy dno powinno być na jakichś piętnastu tysiącach stóp. - Stanley podkreślił liczbę na mapie widniejącą najbliżej ich pozycji.

- Może jesteśmy w pobliżu jakiejś podwodnej góry nie zaznaczonej na mapie - rzekł niepewnie Dirk.

- Dno podnosi się z lewej burty. - Boland zamyślił się. - Dwieście pięćdziesiąt stóp na milę. Nie jest to aż tak dziwne, niewielkich rozmiarów góra może wywołać takie wznoszenie.

- Tylko że nie ma jej na mapie. - Dirk potrząsnął głową.

- Prawdopodobnie nie została jeszcze zaznaczona.

- Ale przy takim tempie wznoszenia szczyt nie może być daleko. To twój statek, Paul, ale myślę, że należałoby to sprawdzić. Kapsuła komunikacyjna została wysłana przez nieznaną osobę po zatopieniu okrętu, a to oznacza, że leży on na niewielkiej głębokości dostępnej dla człowieka bez żadnych problemów.

- To brzmi logicznie - Boland przetarł oczy - ale to nie jest jedyne nie oznaczone na mapie podwodne wzniesienie. Może ich tu być z pół setki.

- Nie możemy sobie pozwolić na zlekceważenie nawet jednego.

Boland przyglądał się w zamyśleniu mapie, po czym wyprostował się i oznajmił:

- Poruczniku, proszę zaprogramować kurs na wznoszące się dno i przejąć ster. Proszę też informować mnie o każdej nagłej zmianie głębokości; będę w swojej kabinie.

Kamery i czujniki sonaru holowane były na dwóch oddzielnych platformach. Komputer przejął prowadzenie statku i po dziesięciu minutach „Martha Ann” ruszyła, kierując się na wschód. Sternik oparty o reling palił papierosa, nie mając zajęcia - koło obracało się kierowane niewidzialną ręką komputera. Poza operatorami aparatury sondującej załoga praktycznie nie miała nic do roboty.

Pitt i Boland przez całe popołudnie przebywali w kabinie komandora, regularnie odbierając meldunki o wznoszeniu się dna. Pitt zakopał się w raportach i danych dotyczących „Starbucka”, Boland studiował plany podniesienia go z dna, jeśli „Martha Ann” będzie miała szczęście.

Dochodziła godzina 4.30. Załoga, z wyjątkiem operatorów sprzętu elektronicznego, rozmawiała o panienkach i seksie. Jedynie regularne meldunki Stanleya utrzymywały pozory normalności na pokładzie. Na statku panowała atmosfera napięcia i oczekiwania. Z rutynowymi poszukiwaniami wraku miało to niewiele wspólnego.

O godzinie 5.00 dobiegł z głośników głos Stanleya:

- Dno podniosło się o dziewięćset stóp na przestrzeni ostatniej pół mili!

Boland i Pitt wymienili spojrzenia i bez słowa pognali do Stanleya. Gdy wpadli do kabiny, porucznik był pochylony nad mapą.

- Nie do wiary, kapitanie. - W jego głosie nadal było niedowierzenie. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Jesteśmy o paręset mil od najbliższego lądu, a dno wzniosło się na tysiąc dwieście stóp od powierzchni. Nadal się zresztą podnosi.

- Niezły wynik - mruknął Pitt.

- To może być część zbocza Wysp Hawajskich - zaryzykował Boland.

- Jesteśmy za daleko, żeby mogło istnieć jakieś połączenie z Hawajami. To stoi samo, a nie w archipelagu - sprzeciwił się Pitt.

- Tysiąc sto stóp - obwieścił Stanley.

- To jedna stopa w pionie na dwie w poziomie. - Głos Dirka był nienaturalnie cichy.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to znajdziemy się na mieliźnie. - Boland odwrócił się nagle i polecił wachtowemu: - Odłączyć komputer, przejść na sterowanie ręczne.

- Jesteśmy na ręcznym, sir - zameldował po pięciu sekundach Stanley.

- Mostek? - Komandor miał już mikrofon w dłoni. - TU kapitan, co widać osiemset jardów przed dziobem?

- Nic, sir - odparł metalicznie głośnik. - Horyzont czysty.

- Jakies ślady piany lub podwodnych raf?

- Żadnych, sir.

- Spytaj go o kolor morza - wtrącił Pitt.

- Mostek, są jakieś zmiany w barwie wody?

- Jest bardziej zielone, sir. - Odpowiedź przyszła po krótkim wahaniu. - Około pięciuset jardów przed dziobem po prawej burcie.

- Osiemset i nadal się wznosi - zameldował Stanley.

- Sprawy się nieco komplikują - przyznał Pitt. - Spodziewałem się, że gdy słońce dociera do dna, kolor wody będzie jasnoblękitny. Zielon oznacza podwodną roślinność, a to dość dziwne.

- Wodorosty nie lubią koralowców? - spytał Boland.

- Owszem. Poza tym temperatura w tych częściach oceanu nie jest odpowiednia.

- Mam odczyt na magnetometrze, sir - odezwał się lokowaty blondynek siedzący przy jednej z konsolet. - Solidny odczyt, sir.

- Gdzie?

- Dwieście jardów, namiar dwieście osiemdziesiąt stopni.

- Może być jakieś złożo - stwierdził Boland.

- Drugi odczyt trzysta jardów, namiar trzysta piętnaście stopni... Jeszcze dwa... Cholera, ile tu tego?!

- Czyżby to była żyła złota? - uśmiechnął się Pitt.

- Maszyny stop! - ryknął do mikrofonu Boland.

- Wydruk obrazu dna jest doskonale wyraźny, sir. - Stanley był podniecony. - Czteryście pięćdziesiąt stóp i nadal się wznosi.

Pitt zerknął na monitory. Nie było na nich obrazu dna, gdyż widoczność ograniczona była do około stu stóp. Otarł czoło i kark chusteczką, zastanawiając się, dlaczego nagle zrobiło mu się duszno; kabina była klimatyzowana. Chustka była tak przemoczona, że składanie jej nie miało sensu. Wsunął ją do kieszeni i skoncentrował się na monitorze.

- Tu kapitan - rozległ się z głośników głos Bolanda. - Uzyskaliśmy kontakt przy pierwszym przejściu i wszystko wskazuje na to, że jesteśmy na cmentarzysku hawajskiego wiru. Zarządzam czerwony alarm. Chcę, byście zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa: jak dotąd nie wrócił stąd ani jeden statek. Mam zamiar zmienić tę statystykę.

Pitt słuchał go jednym uchem, wpatrując się w monitory, na których pojawiło się z początku niewyraźne, ale z każdą chwilą bliższe dno, gdy rozpęd statku posuwał ich do przodu. Obraz był wyraźny, gdyż wodę rozświetlały promienie słoneczne przekształcone przy zetknięciu z wodą w cienkie słupy złocistego światła przesuwające się niczym sceniczne reflektory. W obiektywach kamer pojawiły się podmorskie rośliny i wielobarwne, tropikalne ryby.

Boland był tymczasem przy stanowisku magnetometru.

- Kiedy będziemy nad jednym wrakiem, chcę mieć namiar na najbliższy, który jest w prostej linii - polecił operatorowi i zwrócił się do Stanleya: - Proszę skontaktować się z maszynownią i powiedzieć porucznikowi Harperowi, że ma iść małą naprzód najwolniej jak potrafi.

Napięcie w kabinie wzrastało z każdą chwilą. Minęły dwie minuty od dostrzeżenia dna, zdające się ludziom dwoma godzinami, i nadal nic nie było widać; nic z tego, na co czekali. Dno wraz z morską florą i fauną było doskonale widoczne. Powinno być gołe i pozbawione życia, które tymczasem kwitło tu w najlepsze. Nie było śladu podłoża koralowego, z którego dno powinno się składać. Zamiast koralu był piasek i skały ciągle zmieniające swoją konfigurację. Przypominało to podziwianie orientalnego ogrodu zatopionego pod powierzchnią morza i nadal bujnie się rozwijającego.

- Wrak na kursie - powiedział beznamiętnie długowłose młodzieniec obsługujący sonar.

- Przygotować sondaż komputerowy - polecił Boland. - Chcę wiedzieć, który to. Jeśli te cuda są tak dobre, jak mówią, to z danymi, które mają w pamięci i z taką jakością obrazu, jaką tu mamy, powinno udać się wyrwać morzu trochę tajemnic.

- Jest! - ucieszył się Stanley.

Wszyscy, którzy mogli, przywarli wzrokiem do ekranów, na których ukazały się pozostałości statku, potrzaskane i porośnięte grubą warstwą podmorskiej roślinności. Jednostka miała dwa maszty - na dziobie i na rufie - które teraz groteskowo i bezradnie sterczały pod dziwaczными kątami. Pojedynczy, pordzewiały komin był nie tknięty przez morskie życie. Pokład usłany był skręconymi i trudnymi do rozpoznania kawałkami metalu. Przez jeden z wybitych bulajów wypłynęło długie, zielonkawe ciało mureny kłapiącej złowróźnie paszczą. Po chwili ryba zniknęła w jakimś zakamarku.

- Jezu, to bydlę miało z dziesięć stóp! - westchnął Boland.

- Raczej osiem, biorąc pod uwagę powiększenie tworzone przez obiektyw - odparł Pitt.

- Może mam halucynacje - stwierdził samokrytycznie Stanley - ale w ładowni widzę resztki traktora!

Nagle rozległo się przenikliwe brzęczenie drukarki. Papier z wydrukiem zaczął składać się w koszyku. Gdy hałas ucichł, Boland wyrwał zapisaną kartkę i przeczytał na głos:

- Jednostka klasy Liberty, nazwa „Oceanie Star”, nośność pięć tysięcy sto trzydzieści pięć ton, ładunek: guma, maszyny rolnicze, uznana za zaginioną czternastego czerwca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku.

Operatorzy spoglądali na niego w zupełnej ciszy, której nikt nie śmiał przerwać. Wiedzieli, co to oznacza: odnaleźli pierwszą ofiarę hawajskiego wiru.

Pierwszy ocknął się Boland i sięgnął po mikrofon.

- Radio, tu kapitan. Na częstotliwości handlowej wysłać wiadomość numer szesnaście. Natychmiast!

- Nie sądzisz, że to trochę za wcześnie? - spytał Pitt. - To jeszcze nie „Starbuck”.

- Zgadza się, ale chcę, żeby stary znał naszą dokładną pozycję i wiedział, że coś tu jest. Ot, tak na wszelki wypadek.

- Spodziewasz się kłopotów?

- Można by to tak określić. Nie lubię niepotrzebnie ryzykować.

- Następny kontakt, namiar dwieście osiemdziesiąt stopni - oświadczył spokojnie operator sonaru.

Wrócili do ekranów, ale tym razem i napięcie, i emocje były znacznie mniejsze. Po chwili ukazał się kadłub kolejnej ofiary - był to tankowiec zaryty dziobem w dnie, z wysoko uniesioną rufą. Kamery ukazały masywny, owalny komin i wysoką nadbudówkę usytuowaną na rufie. Reszta pokładu pokryta była płataniną obrośniętych rur, zaworów i wentylatorów. Nawet linki odciągowe masztu pokrywały rozmaite formy życia. Pomiędzy nimi przemykały ławice różnobarwnych, egzotycznych ryb. Drukarka ponownie ożyła.

- Japoński tankowiec „Ishiyo Mam” - rozległ się chwilę później głos Bolanda. - Osiem tysięcy sto sześć ton, zaginiony z całą załogą czternastego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku.

- Zaczynam się czuć jak hiena cmentarna - mruknął Stanley.

W ciągu następnej godziny odkryto sześć kolejnych wraków - cztery frachtowce, duży szkuner i trawler oceaniczny. Napięcie wzrastało z każdym odnalezionym i zidentyfikowanym statkiem - ludzie

czuli się jak uczestnicy jakiegoś niesamowitego koszmaru. Gdy nadeszło najważniejsze odkrycie, to, na które podświadomie każdy się przygotowywał, byli zaskoczeni.

Operator sonaru nagle drgnął, poprawił słuchawki i wpatrzył się w ekran.

- Mam kontakt z okrętem podwodnym, namiar sto dziewięćdziesiąt stopni - oznajmił po chwili nieco drżącym głosem.

- Jesteś pewien? - spytał z naciskiem Boland.

- Mogę się założyć o następną wypłatę, sir. Wykrywałem już na tym sprzęcie okręty podwodne, nie może być mowy o pomyłce.

- Mostek! - Boland ponownie miał w dłoni mikrofon. - Na mój sygnał maszyny stop i rzucać kotwicę. Jasne?

- Aye, aye, sir - szczechnął głośnik.

- Jaka głębokość? - zapytał Pitt.

- Sto osiemdziesiąt stóp, sir.

Pitt i Boland wymienili spojrzenia, rozumiejąc się bez słów.

- Jeszcze jedna zagadka, co? - spytał cicho Dirk.

- Właśnie - zgodził się komandor. - Jeśli wiadomość była fałszywa, to dlaczego podano prawdziwą głębokość?

- Nasz geniusz doszedł widać do wniosku, że nikt nie uwierzy w taki odczyt, przepływając w pobliżu. Widzę tę głębokość na własne oczy, spodziewałem się jej, a mimo to nadal w nią nie wierzę.

- Mamy go już na ekranach - przerwał im Stanley. - To... to rzeczywiście okręt podwodny.

Monitory ukazały okręt podwodny powoli przesuwający się pod kadłubem ich statku. Był potężny - czarny kadłub miał prawie dwukrotną długość normalnych atomowych okrętów i inny kształt, bardziej zbliżony do kształtu konwencjonalnych jednostek podwodnych. Nie było to idealne cygaro charakteryzujące atomowy okręt podwodny. Klasyczny wysoki kiosk zastąpiony został niższym i bardziej opływowym, sprawiającym wrażenie przystosowania do dużych szybkości. Jedyne para brązowych śrub i stery na rufie wyglądały tak samo jak u innych okrętów. „Starbuck” spoczywał na piaszczystym dnie niczym prehistoryczny stwór w czasie popołudniowej drzemki. Wyglądał inaczej niż należało się spodziewać. Pitt poczuł, że jego ciało pokrywa gęsia skórka.

- Wypuścić marker - warknął Boland.

- Marker? - zdziwił się Pitt.

- Elektroniczne urządzenie nadające na niskiej częstotliwości. Gdybyśmy musieli stąd odpłynąć z powodu sztormu albo innych okoliczności, to zostawiamy wodoszczelny nadajnik leżący spokojnie na dnie i po powrocie bez problemów odnajdujemy wrak.

- Dziób właśnie minął wrak, sir - zameldował sonarzysta.

- Maszyny stop! - ryknął do mikrofonu Boland. - Kotwicę rzuć! Zobaczyłeś numer na kiosku? - zwrócił się do Pitta znacznie spokojniejszym głosem.

- Dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć - odparł lapidarnie Dirk.

- To „Starbuck” - przyznał z szacunkiem komandor. - Tak naprawdę, to nie sądziłem, że go kiedyś zobaczę na własne oczy.

- Albo to, co z niego zostało - dodał Stanley z nagle pobladłą twarzą. - Zimno mi się robi, gdy sobie pomyślę o tych biedakach pogrzebanych wewnątrz.

- Nie jest to miłe uczucie - przyznał Boland.

- To nie jest jedyne niemiłe uczucie - stwierdził Pitt. - Przyjrzyjcie mu się uważnie.

„Martha Ann” obracała się wokół łańcucha kotwicznego, wytracając prędkość, musieli więc odczekać chwilę, zanim „Starbuck” ponownie pojawił się w polu widzenia kamer. Gdy znalazł się w ogniskowej, obiektywy automatycznie skupiły się i wyostrzyły obraz, dając lekkie zbliżenie.

- Leży na piaszczystym dnie i wygląda normalnie - mruknął do siebie Boland, przyglądając się uważnie okrętowi. - Dziób nie jest zakopany, jak pisał Dupree, ale to i tak było łgarstwo. Poza tym nie widzę nic niezwykłego.

- Sherlockiem Holmesem to ty nie jesteś - skrzywił się Pitt. - Nic niezwykłego, powiadasz?

- Dziób jest nie uszkodzony, ale po pierwsze może być otwór w dolnej części, której nie możemy zobaczyć, a po drugie ustaliliśmy, że meldunek Dupree jest fałszywy. Poza tym okręt wygląda normalnie.

- Żeby wybić dziurę wystarczającą do szybkiego zatopienia okrętu tej wielkości, trzeba niezłego ładunku. Przy głębokości tysiąca stóp wystarczy jedno pęknięcie, ale na powierzchni to zupełnie inna sprawa. Taki ładunek spowodowałby siłę wybuchu, której efekty musiałyby być widoczne na górnych partiach kadłuba, a wokół powinna być masa szczątków. Tutaj nie ma nawet jednej śrubki na piasku. To ostateczny dowód, że raport jest fałszerstwem. Tylko że to nie koniec; jest bowiem kolejny problem: skąd tu się wziął piasek? Przepłynęliśmy spory kawał nad dnem i poza mniej lub bardziej poszarpanymi skałami i roślinnością nie było skrawka piasku. Tym problemem akurat mogą się spokojnie zająć przyrodnicy czy geolodzy, ciekawostką natomiast jest to, jakim

cudem „Starbuck” osiadł na jedynym w okolicy piaszczystym dnie.

- Przypadek - zasugerował niepewnie Boland.

- Raczej cud, ale pomińmy to na razie. Jest jeszcze jedna ciekawostka, najdziwniejsza ze wszystkich. Zatopione wraki to bardzo pouczające pomoce naukowe, zwłaszcza dla biologów. Jeżeli znana jest data zatonięcia statku, to można na tej podstawie ustalić szybkość wzrostu rozmaitych gatunków morskiej flory i fauny, które wybrały go na swój dom. I odwrotnie: na podstawie tego, co porasta wrak, można określić termin zatonięcia. „Starbuck” zatonął pół roku temu, a kadłub jest czyściutki jak w dniu wodowania. Nie dziwi cię to?

Ponownie wszyscy obecni skupili uwagę na monitorach. Boland i Stanley spoglądali na Pitta w milczeniu. Nie musieli patrzeć na ekrany, by wiedzieć, że ma rację.

- Sądząc z wyglądu, mogłoby się wydawać, że „Starbuck” zatonął nie dalej niż kilka dni temu - stwierdził Pitt.

- Chodź na pokład - mruknął Boland, pocierając w zamyśleniu czoło. - Musimy to przemyśleć!

Gdy znaleźli się na prawym skrzydle mostka, Boland długi czas wpatrywał się w morze. Zmrok miał zapaść za dwie godziny i błękit zaczynał już przechodzić w granat, gdyż promienie słoneczne padały pod innym kątem. Komandor wyglądał na zmęczonego, zdradzając napięcie, jakiemu podlegał przez kilka ostatnich dni, a zwłaszcza godzin. Gdy odezwał się, mówił cicho, a poszczególne zdania dzieliły spore przerwy.

- Otrzymaliśmy rozkaz odnalezienia „Starbucka”. Wykonaliśmy go. Teraz czeka nas podniesienie wraku na powierzchnię. Chcę, żebyś poleciał do Honolulu po pierwszą część ekipy ratowniczej.

- Nie sądzę, żeby to było rozsądne - odparł równie cicho Pitt.

- Nie ma powodów do paniki. „Martha Ann” ma aparaturę pozwalającą wykryć niebezpieczeństwo z każdego kierunku i z dużej odległości.

- Statek nie jest uzbrojony, a załoga nieliczna. Co ci da wykrycie niebezpieczeństwa, kiedy nie macie możliwości skutecznej obrony? Znaleźliśmy cmentarzysko, ale nie mamy pojęcia, kto lub co jest przyczyną tych katastrof.

- Jeśli to coś czy ten ktoś dotąd się nie pojawił, to teraz jest już za późno.

- Sam powiedziałeś, Paul, że jesteś odpowiedzialny i za statek, i za załogę. Jeżeli ja odlecę, to twoja polisa ubezpieczeniowa i ostatnia droga ucieczki znikną wraz ze mną.

- Dobrze, niech będzie. Co chcesz zrobić? - skapitulował Boland.

- Na pewno się domyślasz. Musimy zanurkować i sprawdzić, w jakim stanie jest „Starbuck”. Kamery i sensory mają swoje ograniczenia, więc inspekcja wykonana przez człowieka jest niezbędna. Wkrótce zapadnie zmrok. Wolałbym nie nurkować po ciemku.

- Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Trzy kwadranse wystarczą mi w zupełności.

- Tobie?

- Mnie i komuś z załogi. Mam nadzieję, że masz na pokładzie jakiegoś byłego podwodniaka?

- Nawigator, porucznik March, służył cztery lata na atomowych okrętach podwodnych i jest dobrym płetwonurkiem.

- Niech będzie. Biorę go.

- To nie jest dobry pomysł.

- O co chodzi? - zdziwił się Dirk.

- Nie bardzo mam ochotę posyłać cię na dół. Poza faktem, że jesteś naszą polisą ubezpieczeniową, gdyby ci się coś stało, admirał Sandecker dobrałby mi się do tyłka.

- Wątpię, żeby coś miało się stać.

- Skąd ta pewność?

- Sam powiedziałaś, że na pokładzie jest najlepszy zestaw detektorów, jaki wymyślił dotąd człowiek. Wykryły coś w pobliżu „Starbucka”? Nie. To gdzie ryzyko?

- Powiem Marchowi, że udajecie się na spacer - poddał się Boland. - Na śródokręciu w prawej burcie mamy właz dla płetwonurków, tuż powyżej linii wody. Tam się spotkacie. Tylko pamiętaj, że ma to być wyłącznie inspekcja wzrokowa! Jak go sobie obejrzyjecie, to natychmiast na górę. - Odwrócił się i wszedł do sterówki.

Pitt pozostał na skrzydle mostka, starając się opanować cisnący mu się na usta uśmiech. Przez chwilę czuł się trochę winny, ale szybko doszedł do porozumienia z własnym sumieniem. Jedyne co pozostało, to radość - gdyby Boland wiedział, co rzeczywiście miało stać się na dole...

ROZDZIAŁ 9

Uczucie towarzyszące nurkowaniu do zatopionego wraku jest trudne do opisania - jest to mieszanka podniecenia i strachu. Przez bardziej przesądnych nurków zostało ono opisane jako pływanie wśród kości Goliata. Serce zaczyna człowiekowi bić szybciej, a strach paraliżuje umysł. Być może powodem są romantyczne wizje duchów - brodatego kapitana na mostku, przeklinających palaczy ładujących węgiel do pieca czy wytatuowanego bosmana wracającego zygżakiem do forkasztelu po popijawie w portowej knajpie.

Pitt znał te odczucia z poprzednich nurkowań do wraków, ale tym razem było inaczej. Leżący na dnie „Starbuck” wyglądał zupełnie naturalnie; podwodny świat to nie miejsce dla nawodnych statków czy okrętów, ale naturalne środowisko dla jednostek jego klasy. Dirk miał wrażenie, że za chwilę zostaną opróżnione zbiorniki balastowe, a brązowe śruby ożyją, przemieszczając smukły, ciemny kształt ku nieznanemu celowi.

Wraz z Marchem powoli opłynęli kadłub, poruszając się zaledwie parę cali nad piaszczystym dnem. Wokół okrętu utworzyło się coś w rodzaju dziwacznej fosy wyłobionej w piachu. March zajął się fotografowaniem dna i kadłuba za pomocą przystosowanego do podwodnych zdjęć Nikkona i co chwilę rozświetlał okolicę błyskami flesza. Wokół panowała cisza i spokój zakłócanie tylko bąbelkami powietrza wylatującymi z ich akwalungów. Wabiły one ławice ryb, które kręciły się wokół jakby przyciągane przez magnes. Sporo z nich, pojedynczo lub ławicami, interesowało się też parą dziwnych dwunogich istot, które wkroczyły do ich świata. Ryby nie przejawiały jednak złych zamiarów. Nad nimi dostojnie przepłynął brązowawy rekin długości około sześciu stóp, ignorując obu płetwonurków. „Z pewnością żyje, opływając w dostatki jak dziecko mające na własność sklep z cukierkami” - pomyślał Pitt. Obfitość pożywienia była dookoła tak wielka, że dwie dwunogie istoty nie zainteresowały drapieżnika.

Dirk z trudem powstrzymał się od podziwiania scenerii - było za dużo do zrobienia, a za mało czasu. Silniej ujął aluminiową rurę w prawą dłoń i wrócił do rzeczywistości. March nazwał to urządzenie „Barf - magiczny smok”. Była to trzystopowa rura zakończona lufą podobną do igły; przypominała narzędzie używane w parkach przez dozorców do zbierania papierków z trawników. W rzeczywistości była to jak dotąd najskuteczniejsza z wymyślonych przez człowieka broni przeciwko rekinom. Różne kusze, odstraszające środki chemiczne, kije strzelające brenekami i harpuny miały różny stopień skuteczności w zależności od sytuacji i umiejętności człowieka. „Barf był najbezpieczniejszym i najskuteczniejszym zabójcą rekinów. Wersje cywilne, które można było kupić w sklepach z ekwipunkiem do nurkowania, miały mniejsze rozmiary i słabszy ładunek gazu niż wersja wojskowa, którą dysponował Pitt. Praktycznie była to strzelba, choć nie wyrzucała pocisków. Z wyglądu „Barf był całkowicie niegroźny. Zasada użycia była prosta: nurek zaatakowany czy zdenerwowany zbyt dużą nachalnością rekina wbijał ostrą i cienką lufę w jego ciało i naciskał umieszczony w rękojeści spust wyzwalający ładunek z dwutlenkiem węgla, który przedostawał się do ciała rekina. Efekt był podobny do nagłego napełnienia balonu: rekin nie ma kości, więc eksplozja wypychała przez paszczę na zewnątrz wszystkie jego organy wewnętrzne, nadymając je podobnie jak

resztę ciała. Jeżeli przy tym pękły, to rekin zdychał, jeżeli nie, to gaz powodował wypchnięcie ryby na powierzchnię, gdzie albo się dusiła, albo po ujściu gazu tonęła. Z powodu braku skrzeli bezruch w wodzie był jedyną rzeczą, która w morzu była dla rekina naprawdę śmiertelna. Unoszenie się z taką ilością gazu działającego jak pęcherze pławne i uniemożliwiającego poruszanie się unieszkodliwiało drapieżnika ostatecznie.

Lampa przestała błyskać i March dał Pittowi znak, że czas wracać. Powoli podpłynęli na poziom pokładu, gdzie korzystając z chwili przerwy, Dirk miał okazję spojrzeć w osłoniętą maską twarz towarzysza. Nie było żadnej wątpliwości: wyraz oczu zdradzał, że marzeniem porucznika był jak najszybszy powrót na statek. March wskazał dłonią aparat i wyciągnął rękę ku powierzchni. Sens wiadomości był jasny: skończył mu się film i chciał wracać. Pitt potrząsnął głową, odpiął od pasa plastikową tabliczkę i napisał na niej specjalnym tłustym ołówkiem: luk ratunkowy.

March przeczytał i wskazał palcem wodoszczelny zegarek. Pitt nie zareagował; doskonale wiedział, że zostało im powietrza na dwadzieścia minut. Ponownie podsunął mu pod oczy tabliczkę i złapał za ramię, wbijając palce w kombinezon. Tamten chyba zrozumiał; spojrzął w górę i zawahał się, wiedząc, że są obserwowani na monitorach. Wyraźnie grał na zwłokę.

Dirk zdał sobie z tego sprawę. Nie zwalniając uchwytu, drugą ręką przystawił mu do brzucha „Barfa”. Poskutkowało: porucznik z rezygnacją pokiwał głową i popłynął w kierunku dziobu. March był przestraszony, ale przynajmniej miał pewność, że wina za wszystko spadnie tylko na Pitta. Dirk popłynął tuż za nim. W ciągu kilkunastu sekund dotarli na miejsce i znieruchomieli, unosząc się nad pokładem. Krab wielkości półmiska, któremu przerwano spacer po przednim pokładzie, popędził truchtem, ześlizgnął się po zaokrągleniu kadłuba i spadł, lądując na piasku na wszystkich ośmiu odnóżach. March bał się - Pitt widział, jak wstrząsnęły nim dreszcze, gdy wpatrywał się we właz awaryjny, bez wątpienia wyobrażając sobie, co może zastać wewnątrz okrętu.

Pitt zmasał poprzednią wiadomość i napisał: otwórz. March przeczytał, opanował drżenie i powoli przyklęknął na pokładzie obok włazu. Ujął koło otwierające i zamykające klapę i napał na nie bez specjalnego entuzjazmu. Dirk widząc to, postukał lufą „Barfa” w stal. W ciszy i spokoju, jakie ich otaczały, uderzenie zabrzmiało niczym dzwon. March ponagłony do działania mocniej chwycił pokrętło, napiął mięśnie, aż żyły na szyi nabrzmiały mu z wysiłku. Koło nawet nie drgnęło. Porucznik spojrzął pytająco na Pitta, który pokazał mu wpiersz trzy palce, a potem właz, sygnalizując: do trzech razy sztuka. Przesunął się tak, że znalazł się naprzeciw niego i wsunął kolbę „Barfa” między szprychy, używając jej jako dźwigni. Dał znak Marchowi i napałi razem z całym sił. Po chwili koło drgnęło. Z każdym kolejnym ruchem obracało się łatwiej, aż w końcu March szarpnięciem otworzył klapę i spojrzął do wnętrza. Jednakowe ciśnienie w śluzie i na zewnątrz było złym znakiem. Pitt zrozumiał, że jego plan zaczyna się załamywać. Wytarł tabliczkę i napisał: umiesz to obsługiwać?

March skinął głową i ponownie zadrzał. Zebrał się jednak w sobie, odczepił swoją tabliczkę od pasa i napisał: nie ma sensu bez zasilania. Dirk odpisał: spróbujmy. Porucznik, wiedząc już, że opór nic nie da, przystanął na moment, by zebrać odwagę, a potem zniknął w ponurej ciemności śluzu. Pitt poczekał chwilę, by dać mu okazję do zorientowania się wewnątrz i nie zasłaniać słabego

światła wpadającego przez właz. March dał mu znak, trzymając dłonie na zaworach. Dirk opadł koło niego i zakręcił właz.

Znajdowali się w pomieszczeniu w kształcie walca wbudowanego w kadłub, które mogło pomieścić sześciu ludzi. Zostało tak zaprojektowane, by umożliwić załodze tonącego okrętu wejście do wnętrza, zamknięcie drzwi wodoszczelnych i zalanie luku poprzez wypuszczenie z niego powietrza. Gdy ciśnienie wody wewnątrz i na zewnątrz wyrównało się, otwierano właz zewnętrzny i marynarze znajdujący się w środku unosili się wraz z resztą powietrza ku powierzchni. Pitt i March odwrócili proces, wchodząc przez właz zewnętrzny do zalanego pomieszczenia. Teraz należało wypompować wodę i wejść do suchego - jak miał nadzieję Dirk - wnętrza okrętu.

Według Marcha było to szaleństwo - Pitt musiał być albo obłąkany, albo po prostu głupi. Znacznie prościej byłoby otworzyć wewnętrzne drzwi, zamiast szukać po ciemku odpowiednich urządzeń; wnętrze i tak było zalane wodą, więc po co sobie komplikować życie procedurą normalnie używaną do wchodzenia do zanurzonych, ale sprawnych okrętów?! Poza tym, po co w tej chwili w ogóle tam wchodzić? Jedyne co znajdują, to mroczne, pełne wody i rozkładających się zwłok kabiny. Jeśli się nie pośpieszą, zginą również; powietrze w butlach zaczynało się kończyć. Wzruszył ramionami i przekręcił zawór osuszający przedział z wody.

Rozległ się syk powietrza napływającego do wnętrza i poziom wody zaczął opadać. March był przekonany, że ma halucynacje: to co się działo, było niemożliwe. Wyczuł obniżanie się poziomu wody, choć w mroku tego nie widział. Czuł, że uniesiona ręka jest już nad wodą, a po chwili poczuł słabe fale uderzające o policzki. Gdyby nie zaciskał zębów na ustniku aparatu tlenowego, zapewne otworzyłby usta ze zdumienia. Po dłuższej chwili udało mu się przewyciężyć szok na tyle, by pomacać ścianę w miejscu, w którym powinien być wodoszczelny kontakt. Zanim go znalazł, otarł skórę na kostkach, ale w końcu przesunął osadzoną w gumie dźwigienkę. Śluzę ratunkową zalało jasne światło.

March zamrugał gwałtownie powiekami. Pitt wyglądał jak reklama atrakcji czekających na kandydatów do zawodu pletwonurka. Stał oparty o ścianę ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma w całkowicie zrelaksowanej pozycji, z maską przesuniętą na czoło, bez akwalungu. Przyglądał się porucznikowi z lekkim rozbawieniem w zielonych oczach i z uśmiechem w kącikach ust.

- Skąd wiedziałeś? - March wypluł ustnik.

- Rozsądne przypuszczenie - poinformował go obojętnie Pitt.

- Światło, pompa powietrzna. - March nadal był zaskoczony. - To znaczy, że reaktor nadal działa.

- Na to wychodzi. Proponuję sprawdzić.

- Dlaczego nie?

Lodowaty spokój Dirka zaczął powoli na niego działać. Starał się mówić obojętnie, choć nie

bardzo mu to wychodziło: z jego ust wydobył się cienki pisk.

Woda została wypompowana. March przyjrzał się drzwiom prowadzącym do wnętrza „Starbucka”, jakby prowadziły do piekła. Zdjęli płetwy i maski, porucznik pozbył się akwalungu i zajął się otwieraniem drzwi, przyklękając w wodzie, która pozostała na podłodze. Koło nie stawiało oporu - przy krawędzi pokrywy zapieniły się małe bąbelki, gdy z wnętrza okrętu zaczęło wydobywać się powietrze. Pochylił się i pociągnął nosem.

- Nadaje się do oddychania - uznał po chwili.

- No to wchodzimy.

Ciśnienie zdążyło się wyrównać i odrobina wody przeciekła pod drzwiami, gdy March z bijącym sercem i zlany lodowatym potem ostrożnie otworzył drzwi. Nikt i nic nie było w stanie go zmusić, by wszedł pierwszy, ale nie musiał się tym martwić - Pitt z „Barfem” w dłoni przemknął obok i schodząc po drabince, zniknął w dół.

Znalazł się w pustym, dobrze oświetlonym dziobowym przedziale torpedowym. Wszystko było starannie poukładane na swoich miejscach, jakby załoga wyszła na chwilę pograć w karty w messie. Koje były zasłane, miedziane plakietki przymocowane do wyrzutni torpedowych lśniły jak przed inspekcją, wentylator szumiał spokojnie, lecz jedynym przejawem ruchu był jego własny cień załamany na burcie. Wrócił pod drabinkę prowadzącą do luku awaryjnego i spojrzał w górę.

- Gospodarze gdzieś poszli, złaź! - zawołał.

Mógł sobie darować tę wypowiedź - March z aparatem fotograficznym w garści już schodził. Kiedy znalazł się na pokładzie, rozejrzał się jeszcze raz wystraszony. Lęk zmienił się błyskawicznie w zaskoczenie, gdy stwierdził, że Pitt mówił prawdę.

- Gdzie oni są?

- Poszukajmy. Zamierzasz w kogoś tym rzucać, czy zrobić mu zdjęcie, gdy będzie chciał ci przyłożyć? - Pitt zainteresował się aparatem.

- Zostało mi osiem klatek. - March w końcu się uśmiechnął. - Kapitan pewnie chciałby zobaczyć, jak tu wygląda. Jeżeli go znam, to nie będzie uszczęśliwiony tym, że tu weszliśmy.

- Nie przejmuj się Bolandem - uspokoił go Pitt. - Biorę go na siebie razem z odpowiedzialnością za to, co zrobiliśmy.

- Musieli widzieć na monitorach, jak wchodzimy.

- Najpierw to co najważniejsze. Prywatna wycieczka po wnętrzu USS „Starbuck” z porucznikiem Marchem jako pilotem. Mam nadzieję, że orientujesz się tutaj?

- Służyłem na jednostkach uderzeniowych, a „Starbuck” to cudo techniki, o jakim nikt z nas nie marzył pięć lat temu. Wątpię, czy znajdę najbliższą ubikację.

- Nonsens. Wszystkie okręty podwodne są podobne do siebie. Gdzie one prowadzą? - Pitt wskazał drzwi w przeciwną stronę.

- Powinny wychodzić na przejście biegnące obok silosów do maszyny.

- Sprawdzimy - mruknął Dirk, otwierając je i ostrożnie przekraczając stalowy próg liczący półtora stopy wysokości.

Znalazł się w pomieszczeniu o rozmiarach - jak się zdawało - jaskiń Carlsbadu: miało przynajmniej cztery pokłady wysokości i było labiryntem rur, systemów napędowych, wymienników ciepła, generatorów, kotłów i dwóch olbrzymich turbin. To była maszynownia. March minął go i jak zahipnotyzowany przesunął dłońmi po najbliższym urządzeniu.

- Mój Boże - westchnął. - Udało im się! Rzeczywiście połączyli maszynownię z pomieszczeniem reaktorów i umieścili to wszystko w części dziobowej.

- Myślałem, że reaktory muszą być w oddzielnym, dobrze ekranowanym i chronionym grubym pancernym pomieszczeniu z uwagi na radioaktywność.

- Poprawili dokładność wykonania i usprawnili procesy technologiczne. Teraz obsługa reaktorów przez ponad rok służby dostaje mniejszą dawkę promieniowania niż technik obsługujący aparat do zdjęć rentgenowskich w ciągu tygodnia.

March podszedł do urządzenia wyglądającego jak dwudziestostopowej wysokości bojler i przyjrzał mu się uważnie, po czym wzdłuż rur dotarł do głównej turbiny.

- Prawy reaktor wyłączony - oznajmił cicho, jakby byli w kościele. - Lewy działa.

- Jak długo może pracować bez awarii, jeżeli nikt go nie dogląda?

- Sześć miesięcy, być może rok. To fabrycznie nowe urządzenie, i to nowoczesne. Może działać i dłużej.

- Nie uważasz, że to wyjątkowo czysta maszynownia?

- Ktoś o nią dba, to pewne. - March rozejrzał się niepewnie.

- Lepiej ruszajmy dalej - rzucił krótko Pitt.

Po drabince dotarli do kolejnych drzwi prowadzących do messy załogi. Było to przestronne pomieszczenie w jasnych kolorach, z długimi stołami pokrytymi granatowym winylem. Messa bardziej przypominała bistro w Holiday Inn niż stołówkę okrętu. Piece w kuchni były zimne, ale wszystko było czyste i poustawiane w nienagannym porządku. Nie spostrzegł nawet okruszynki, nie

mówiąc już o brudnych talerzach. Pitt nie mógł powstrzymać uśmiechu, patrząc na trzydziestodwucalowy telewizor i potężną wieżę stereo, której nie powstydziłaby się hollywoodzka dyskoteka. Nagle znieruchomiał. Coś tu było nie tak, chociaż określenie było nieprecyzyjne, bo na tym okręcie wszystko było na opak. Problem tkwił gdzie indziej. W tym momencie go olśniło - mały fragmencik łamigłówki wsunął się na swoje miejsce.

- Papier! - powiedział głośno.

- Co takiego? - zdumiał się March, patrząc na niego zaskoczony.

- Ani śladu papieru - mruknął Dirk. - TU załoga spędza wolny czas, tak? To dlaczego nie ma tu ani kart, ani książek czy gazet, ani nawet serwetek. Nie ma też przypraw...

Nagle ruszył w stronę kuchni. Otworzył szafki przeznaczone na podręczny magazynek spożywczy. Były puste. Zatrzymał się przy kolejnej zawierającej sztucce i pokiwał głową, widząc plamki rdzy na łyżkach i nożach.

- I co? - spytał March, obserwując go przez ladę do wydawania posiłków.

- Cały przedział został zalany - powiedział powoli Pitt.

- Niemożliwe! Maszynownia...

- Nigdy nie została zamoczona - dokończył Dirk. - Reaktora nie da się wysuszyć jak prania, ale kuchnię czy jadalnię po zalaniu da się doprowadzić do porządku i stanu używalności.

Zamknął drzwi, zostawiając wszystko tak jak zastali. Pospieszyli długim korytarzem, mijając mesę podoficerską i kabiny mieszkalne, łącznie z kwaterą kapitana. Pitt pospiesznie ją przeszukał, ale nic nie znalazł; ani skrawka materiału, ani strzępka papieru. Całość robiła wrażenie szpitalnej izolatki. Nie mówiąc słowa, Dirk ruszył dalej korytarzem. Dotarł po chwili do kolejnych drzwi, za którymi, jak przypuszczał, znajdowało się stanowisko dowodzenia. Trzymając w pogotowiu „Barfa”, najciszej jak mógł przeszedł wzdłuż rzędów elektronicznego sprzętu. Pomieszczenie przypominało sterówkę ze *Star Trek*. Lustrował stalowe zawory, martwe ekrany radarów i sonarów, podświetlany stolik nawigacyjny i przezroczyste plansze do nanoszenia danych. Trudno było mu uwierzyć, że nie jest w centrum kierowania lotem NASA, lecz na pokładzie zaginionego okrętu podwodnego. Okręt przypominał śpiącego olbrzyma, lekko pomrukującego elektroniką i czekającego na polecenia człowieka, które zbudziłyby go z tego snu i ponownie popchnęły przez podwodne głębiny.

W końcu Pitt znalazł to, czego szukał - drzwi do kabiny radiowej. Tak jak oczekiwał, była gotowa do użytku i opuszczona. Wrażenie było upiorne: jakby operator wyszedł na śniadanie. Dirk otrząsnął się z niemilego wrażenia i otworzył najbliższą szufladę. Dobrze, stare zasady obowiązujące w US Navy! Jak zwykle była w niej laminowana instrukcja obsługi. Ustawił nadajnik na właściwą częstotliwość, włączył i polecił przyglądającemu się w milczeniu Marchowi:

- Znajdź sterowanie zewnętrzną anteną i wysuń ją na całą długość.

Zajął to porucznikowi około sześćdziesięciu sekund. Pitt ujął mikrofon, wiedząc, że powinien być doskonale słyszalny nie tylko w bunkrze w Pearl Harbor. Nadawał otwartym tekstem, na częstotliwości normalnej dla żeglugi. „Dzięki temu pewnie parę osób uwierzy w duchy” - pomyślał. Uśmiechnął się złośliwie i wcisnął guzik nadawania.

- Halo, „Martha Ann”, tu USS „Starbuck”. Powtarzam, tu USS „Starbuck”. Jak mnie słyszycie? Over.

Boland tymczasem nie próżnował. Ledwie Pitt wszedł na pokład okrętu, zamykając za sobą właz, komandor polecił przygotować się dwom najlepszym płetwonurkom, jacy pozostali na pokładzie. Mieli wziąć ze sobą dodatkowe butle z tlenem, by wymienić zużyte przez Marcha i Pitta. Sprawy zaczynały się komplikować. Obaj byli zbyt długo na wraku - musieli wpaść w pułapkę i mieć zablokowaną drogę odwrotu. Boland miał wielką ochotę skląć Pitta za zbędną brawurę.

- Nurkowie! - rzucił do mikrofonu. - Zostało wam mniej niż pięć minut na wydostanie ich, więc ruszcie łaskawie dupy i do roboty! - Rzucił mikrofon na podstawę i odwrócił się w kierunku monitorów pokazujących pusty pokład i zamknięty właz. - Ile jeszcze mają czasu? - spytał.

- Jeśli nie forsowali się zbyt, to około trzech minut - odparł Stanley, patrząc na zegarek chyba po raz piętnasty w ciągu ostatnich paru minut.

W kabinie panował nastrój przygnębienia. Wszyscy obecni zdawali sobie sprawę zarówno z beznadziejnej sytuacji tych, którzy byli na dole, jak i z własnej bezsilności. Na monitorach pojawili się następni płetwonurkowie zbliżający się szybko do „Starbucka”, gdy na korytarzu zabrzmiały czyjeś spieszne kroki. Trzasnęły drzwi i do kabiny wpadł zziębnięty bosman.

- Mamy ich! - ryknął, łapiąc oddech. - Mamy „Starbucka” na fonii!

- O czym ty bredzisz? - zdziwił się Boland. - Urznąłeś się czy co?

- Mamy łączność głosową ze „Starbuckiem” na częstotliwości handlowej, a poza tym jestem trzeźwy - odparł nieco już spokojniej bosman.

Radiooperator miał wrażenie, że bosman zaledwie wybiegł z kabiny, gdy na jego ramieniu spoczęła dłoń Bolanda.

- Niech pan wierzy lub nie, sir - oznajmił radzik nieco oszołomiony - ale major Pitt jest na fonii. Nadaje z wnętrza okrętu.

- Dawaj go! - Komandor nawet nie próbował ukryć podniecenia. Ani przez chwilę nie wątpił, że Pitt naprawdę połączył się z nimi za pomocą radiostacji wraku. Zaczynał wierzyć, że Dirk rzeczywiście zdolny jest do robienia rzeczy ogólnie uznanych za niemożliwe. - „Starbuck”! - rzucił do mikrofonu. - Tu „Martha Ann”. Over.

Wszyscy obecni wpatrywali się w głośnik, jakby spodziewali się, że Pitt z niego wyjdzie.

- TU „Starbuck”. Over.
- Pitt, to naprawdę ty? Over.
- Osobiście i jak najbardziej materialnie. Ominęła was przyjemność pogawędki z duchami.
- Jak wygląda sytuacja? W jakim jesteście stanie?
- Silni, zvarci, gotowi. Gdybyśmy mieli tu jeszcze z dziesięciu ludzi, moglibyśmy spokojnie popłynąć nim do domu.
- Załoga?
- Ani śladu. Jakby nigdy nie istnieli.

Boland nie odpowiedział natychmiast. Przetrawiał zasłyszana informację. Na próżno starał się wyobrazić sobie opuszczony okręt. Nie zdawał sobie przez kilka chwil sprawy z tego, gdzie jest i co go otacza. Nie zauważył, że połowa załogi opuściła swoje posterunki i tłoczy się w drzwiach i na korytarzu. Dopiero po dłuższym czasie uwierzył, że wszystko, co usłyszał od Pitta, jest prawdą.

- Powtórz ostatnią wypowiedź - rzucił przez ściśnięte gardło.

- Okręt jest całkowicie opuszczony, przynajmniej w części od dziobowego przedziału torpedowego do stanowiska dowodzenia na śródokręciu. Rufowych przedziałów jeszcze nie sprawdzaliśmy. Ktoś też płaci rachunki, bo mamy energię z prawego reaktora.

Tym razem Boland poczuł, że miękną mu kolana. Zawahał się, odchrząknął i wykrztusił:

- Dobrze. Wykonaliście już swoje zadanie. Wracajcie. Przy włączce czekają na was dwaj ludzie z zapasowymi butlami. Czy porucznik March jest w pobliżu?

- Nie. Poszedł sprawdzić, czy pociski Hyperion są nadal na miejscu i czy na rufie nie ma przecieku.

- Myślę, że zdajesz sobie sprawę, że jesteś doskonale odbierany w promieniu najbliższego tysiąca mil przez wszystkich, łącznie z radioamatorami?

- A kto uwierzy, że słyszy zatopiony pół roku temu okręt?

- Choćby nasi radzieccy przyjaciele. Proponuję zakończyć tę robotę. Gdy tylko March wróci, to zbierajcie się łaskawie i wracajcie na statek. Stary może zażądać pełnego raportu. To jest rozkaz!

Mówiąc to, prawie widział arogancki uśmiezek na twarzy Dirka.

- Tak jest, tatusiu. Sugeruję, żebyś się zajął barkiem. Będziemy na górze za... - Głos urwał się w połowie zdania.

Boland uniósł mikrofon, czując na plecach lodowaty pot.

- Nie słyszę cię, „Starbuck”. Powtórz ostatnią wiadomość. Z głośnika dochodził jedynie szum, który oznaczał, że połączenie nie zostało przerwane.

- Pitt, niech cię cholera weźmie! Dlaczego się, do diabła, nie odzywasz? - Boland poczuł się nagle bezsilny i pozbawiony nadziei.

Jedyną odpowiedzią była cisza.

ROZDZIAŁ 10

Pitt siedział przy radiu, wpatrując się w osłupieniu w wylupiastooką, brodatą istotę, która przed chwilą stanęła w drzwiach. Pojawienie się tego obdartego i cuchnącego osobnika tak go zaskoczyło, że przez chwilę nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa. Był przekonany, że ma halucynacje. Zamrugał gwałtownie, mając nadzieję, że przeżywa koszmar na jawie, ale postać nie zniknęła. Zamrugęła za to w odpowiedzi, co do reszty zbiło go z tropu. Potem w brodzie pojawiła się szczelina i chrapliwy głos spytał z wahaniem po angielsku:

- Kim jesteś? Nie jesteś jednym z nich.
- Co masz na myśli? - spytał Pitt, z trudem odzyskując mowę.
- Zabiliby cię, gdyby wiedzieli, że użyłeś radia. - Głos brzmiał obojętnie.
- Oni?

Dłoń Pitta powoli powędrowała do opartego o ścianę „Barfa” i zamknęła się na rękojeści, ale przybysz nie zwrócił na to uwagi.

- Nie należysz tu - poinformował Dirka. - Nie jesteś ubrany jak inni.

Mówiący ubrany był w resztki polowego munduru podoficera US Navy, ale bez stopnia czy naszywki z nazwiskiem. Oczy miały tępy i zamglony wyraz, a ciało było przeraźliwie chude i wyniszczone. Wyglądał niczym zapomniany więzień. Dirk zdecydował uderzyć w ciemno.

- Ty jesteś komandorem Dupree?
- Dupree? Nie, jestem Farris, starszy marynarz.
- Gdzie są inni? Dowódca, oficerowie, twoi koledzy?
- Nie wiem. Oni powiedzieli, że ich zabijają, jeśli dotknę radia.
- Czy ktoś jeszcze jest na pokładzie?
- Cały czas trzymają tu dwóch strażników.
- Gdzie? - Po raz pierwszy od wejścia do wnętrza okrętu Pitt poczuł strach.
- Mogą być gdziekolwiek.

- Jasna cholera! March! - Dirk zerwał się na równe nogi i szarpnięciem posadził Farris w fotelu. - Czeka tu na mnie. Rozumiesz, Farris? Siedź tu i nigdzie się nie ruszaj!

- Aye, aye, sir - odparł tępo Farris, kiwając potakująco.

Z „Barfem” w pogotowiu Pitt wypadł za drzwi i zaczął metodyczne poszukiwania, starając się połączyć trzy wykluczające się rzeczy: szybkość, dokładność i ciszę. Co kilka sekund przystawał nasłuchując, ale ciszy nie mącił nawet najlżejszy dźwięk. Nie było też śladu porucznika. Sprawdzając pomieszczenie po pomieszczeniu, Dirk dotarł do szpitala pokładowego i gabinetu lekarskiego. Stał tu stół operacyjny, szafki pełne starannie opisanych lekarstw i zestawów narzędzi chirurgicznych, aparat do zdjęć rentgenowskich, a nawet fotel dentystyczny. Było też sześć łóżek i nieruchoma, dziwnie skręcona postać leżąca pomiędzy dwoma z nich. Pitt przyklęknął zaskoczony.

March leżał na boku w kałuży krwi, w dziwnie skręconej pozycji. Nietrudno było dostrzec przyczynę zgonu: dwa małe, okrągłe otworki po kulach znaczyły jego pierś i plecy. Pociski musiały mieć utwardzony rdzeń i dużą prędkość początkową, by przejść przez ciało na wylot i zostawić przy tym tak małe rany wylotowe. Oczy porucznika były otwarte i szkliste. Pitt odruchowo łagodnym ruchem zamknął powieki leżącego, po czym obróciwszy się nagle, wpakował lufę „Barfa” w brzuch stojącego z tyłu mężczyzny i pociągnął za spust.

Pitt zgrał atak z ruchami cienia, który przesuwiał się po pokładzie i ścianie, od chwili gdy przyklęknął przy zabitym. Ciemny zarys na białych ścianach dostrzegł kątem oka prawie w tej samej chwili, gdy ten poruszył się po raz pierwszy. Kształt cienia zdradził też, że napastnik trzyma coś w ręce: pistolet albo pałkę. Gdyby Pitt spóźnił się o sekundę, byłby już martwy. Teraz spostrzegł, że przeciwnikiem jest wysoki, muskularny mężczyzna o jasnych włosach ubrany jedynie w zieloną przepaskę na biodrach. Twarz miał inteligentną, prawie przystojną, oczy błękitne. To było wszystko, co zdążył zapamiętać, zanim eksplodował ładunek dwutlenku węgla. Widok, który zobaczył potem, zapamiętał do końca życia.

Rozprężający się gaz zasyczał niczym parowy magiel, nadmuchując błyskawicznie korpus mężczyzny jak obrzydliwy balon. Brzuch i skóra pomiędzy żebrami napięły się, grożąc pęknięciem. Przerazenie na twarzy nieznajomego po sekundzie ustąpiło miejsca piętnu śmierci. Z uszu i nosa mężczyzny wystrzeliły gejzery szarozielonej substancji, opryskując pokład i ściany w promieniu sześciu stóp. Usta rozwarły się na całą szerokość, wyrzucając fontannę krwi i strzępy organów wewnętrznych. Spod powiek wystrzeliły gałki oczne, zwisając na wyrwanych częściowo mięśniach i nerwach niczym na sznurkach. Ręce rozpostarły się w nieudolnej parodii ukrzyżowania i cała zdeformowana nie do poznania postać podskoczyła w górę i upadła na plecy, z trzaskiem uderzając w płyty pokładu ponad dziesięć stóp dalej. Powoli zaczęła wracać do normalnych rozmiarów, gdy uchodził wypełniający ją gaz.

Pitt z trudem powstrzymał żołądek przed zwróceniem ostatniego posiłku. Widok był rzeczywiście jednym z najobrzydliwszych, jakie w życiu widział. Czym prędzej odwrócił się, podniósł ciało porucznika, położył je na łóżku i przykrył prześcieradłem. Chciało mu się płakać, po części z żalu, a po części z wściekłości. Śmierć Marcha była bowiem jego winą - powinien był przewidzieć obecność wartowników i odpowiednio zadziałać. On tymczasem jak ostatni dureń posłał porucznika na śmierć.

Wstał na drżących nogach, rozglądając się uważnie wokół. Żarty się skończyły. Był przeświadczony, że komandor Dupree i reszta załogi, poza Farrisem, byli martwi od dłuższego czasu. Spojrzał na zdeformowane ciało pod ścianą i dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że patrzy na pierwszy materialny dowód na to, iż za tajemnicą tego obszaru i zaginięć statków kryją się jednak jacyś ludzie.

Otrząsnął się z przygnębienia. Najwyższy czas zająć się drugim strażnikiem, zanim ten zabije Farrisa. Potrzeba skradania się i ciszy przestała istnieć - i tak nie zdoła dotrzeć do niego na odległość pchnięcia, a gdyby nawet mu się to udało, nic by nie zyskał: „Barf” był bronią jednorazowego użytku. Teraz był tylko zwykłą, ostro zakończoną, aluminiową rurą. W umyśle Pitta pojawiło się poczucie bezsilności, niemal rozpacz. Naraz przypomniał sobie o broni, z której zabito Marcha. Błyskawicznie przeszukał podłogę. Znalazł broń pod stołem operacyjnym. Była to najdziwniejsza broń palna, jaką w życiu widział. Bardziej przypominała rękawiczkę z wysuniętym palcem wskazującym niż standardowy pistolet. Każdy palec miał wewnątrz odpowiednie wyżłobienie, tak że całość leżała w dłoni jak ulał. Ów „palec wskazujący” był w istocie dwucalową lufą. Zamiast spustu pod opuszką palca wskazującego znajdował się mały przycisk; rozwiązanie niekonwencjonalne, ale bardzo skuteczne: broń była cały czas gotowa do natychmiastowego użytku. Nie tracił czasu na wypróbowanie zdobyczy - ciało Marcha stanowiło wystarczający dowód jej skutecznego działania. Pobiegł do kabiny radiowej, chwycił za rękę opierającego się Farrisa i pognali ku komorze ewakuacyjnej.

Prawie im się udało. Jeszcze dziesięć kroków przez maszynownię i przedział reaktorów, a dotarliby do drzwi przedziału torpedowego. Nagle Pitt zatrzymał się, stając twarzą w twarz z potężnie zbudowanym osobnikiem w zielonej przepasce na biodrach trzymającym w ręce taką samą dziwną broń jak Dirk. Tym razem szczęście było po stronie uciekających - zaskoczenie działało na ich korzyść. Pitt spodziewał się tej konfrontacji. Nie tracąc czasu na pytania „Kim pan jest?” czy „Co tutaj robisz?”, Pitt nacisnął guzik. Jego broń przemówiła pierwsza.

Rozległ się prawie nieuchwytny dla uszu syk. Pocisk trafił mężczyznę w sam środek czoła, odrzucając go na obudowę jednego z generatorów. Ciało odbiło się od przeszkody i z głuchym odgłosem upadło na pokład, twarzą w dół. Zanim przestało drgać, Dirk obszedł je ostrożnie i popychając przed sobą oniemiałego Farrisa, dotarł do drzwi prowadzących do dziobowego przedziału torpedowego.

Farris potknął się o próg i upadł, pociągając za sobą Pitta. Przy upadku Dirk zahaczył nogą o stalowy próg. Z bólu pociemniało mu w oczach. Upuścił broń i próbował wstać, ale nagle sparaliżował go strach. Uświadomił sobie, że gnając tu na oślep, popełnił jedną z większych, a być może ostatnią pomyłkę w swoim życiu. Nawet nie próbował odnaleźć broni; wiedział, że dla dwóch mężczyzn stojących przy drabinie po przeciwnej stronie pomieszczenia stanowi łatwy cel.

- Pitt? - spytał nagle niższy z nich.

Z najwyższym zdumieniem i ulgą rozpoznał głos sternika z „Marthy Ann”.

- Skąd się tu wzięliście? - spytał.

- Komandor Boland wysłał nas z dodatkowymi butlami. Ponieważ nie wychodziliście, weszliśmy do środka. Nie spodziewałem się, że okręt jest suchy.

Pitt powoli zaczął odzyskiwać równowagę.

- Nie mamy za wiele czasu - mruknął. - Możecie zalać ten przedział?

Spojrzeli na niego w najwyższym zdumieniu. Pierwszy odzyskał głos sternik; towarzyszący mu marynarz gapił się na Pitta z rozdziawionymi ustami.

- Zalać...?

- Chcę zalać ten przedział, żeby nikt nie mógł pływać tym okrętem ani podnieść go z dna przynajmniej przez najbliższy tydzień.

- Nie mogę czegoś takiego... - jęknął sternik.

- Nie mamy czasu. - Głos Pitta nagle złagodniał. - March nie żyje i my też zginiemy, jeżeli się nie pospieszymy.

- Porucznik March nie żyje? Nic nie rozumiem! Po co zatapiać...

- To bez znaczenia. - Dirk patrzył mu prosto w oczy. - Biorę na siebie odpowiedzialność.

Naraz przypomniało mu się, że tę samą prostą formułkę wypowiedział niedawno do Marcha i że kosztowało to życie młodego oficera.

- Kto to? - odezwał się milczący dotąd towarzysz sternika, wskazując siedzącego na podłodze Farrisa, który wpatrywał się przed siebie pustym wzrokiem.

- Ostatni ocalały członek załogi „Starbucka”. Musimy go wydostać na powierzchnię, potrzebuje natychmiastowej opieki medycznej - wyjaśnił Pitt.

Jeżeli marynarz był zaskoczony spotkaniem kogoś, kto powinien być martwy od paru miesięcy, to ukrył to wrażenie doskonale. Wskazał głową krwawiącą nogę Dirka.

- Wygląda na to, że lekarz przydałby się nie tylko jemu - stwierdził.

Pitt stracił czucie w nodze i dopiero po tej uwadze zauważył, że jest rozcięta i krwawi. Rozcięcie było płytkie, ale spore.

- Przeżyję - mruknął, po czym polecił sternikowi: - Trzeba zatopić ten przedział!

- Niech będzie - skapitulował sternik - ale tylko przy moim oficjalnym proteście...

- Protestuj sobie - zgodził się Pitt. - Możesz to zrobić?

- Cokolwiek zrobimy, dobra ekipa ratownicza zdoła wypompować wodę i usunąć uszkodzenia w parę godzin. Komora ratunkowa to jedyne dojście do wnętrza od strony dziobu. Najlepszym rozwiązaniem byłoby zablokowanie zaworów alarmowych, żeby nie można było wypompować stąd wody, otworzenie drzwi torpedowych wewnętrznych i zewnętrznych i również zablokowanie ich, umożliwiając w ten sposób stały dopływ wody do pomieszczenia oraz odłączenie pompy z tego przedziału. W ten sposób nie da się skorzystać z reaktora jako źródła energii i musieliby użyć zewnętrznego źródła zasilania. Odkrycie wszystkiego, co zrobimy, zajęłoby im półtora dnia. Do tego czasu trzeba by doliczyć dwie godziny na naprawę, wypompowanie wody i ponowną hermetyzację przedziału. Wobec tego proponuję, żebyśmy zaczęli od uszczelnienia drzwi do maszynowni.

- Jest jeszcze jeden sposób, żeby zyskać kilka godzin - powiedział wolno sternik.

- Jaki?

- Wyłączyć reaktor.

- Nie - sprzeciwił się zdecydowanie Pitt. - Kiedy będziemy stąd odpływali, wątpliwe jest, by stać nas było na luksus kilkugodzinnego rozgrzewania reaktora.

Sternik przyjrzał mu się zrezygnowany.

- Niech Bóg ma nas w swej opiece, jeśli coś pan spieprzy, sir - stwierdził, a następnie polecił swemu towarzyszowi: - Odłącz pompy i otwórz wewnętrzne drzwi torpedowe. Ja się zajmę drzwiami zewnętrznymi i zaworami. Będzie, jak pan chce, sir, ale jeśli pan się myli, to nie wypłacimy się z tego do śmierci.

Ostatnie słowa skierowane były do Pitta, który uśmiechnął się wesoło w odpowiedzi.

- Przy odrobinie szczęścia możecie za to dostać medal - stwierdził.

- Bardzo w to wątpię, sir. Naprawdę bardzo - mruknął sternik.

Boland umiał dobierać sobie ludzi; obaj nowo przybyli zabrali się do pracy ze spokojem i sprawnością pary mechaników na torze Indianapolis w czasie wyścigów. Sternik wyszedł na zewnątrz. Pittowi wydawało się, że ledwie zdążył założyć sobie prowizoryczny opatrunek z kawałka koca zabranego z jednego z łóżek, gdy sternik zastukał w kadłub, meldując o wykonaniu zadania. Pitt zaciągnął Farrisa do komory ewakuacyjnej, zakładając mu po drodze akwalung i maskę. Marynarz w tym czasie otwierał wszelkie możliwe zawory. Gdy ciśnienie zewnętrzne i wewnętrzne prawie się wyrównało, zostawił jedynie kieszeń powietrzną na dwie stopy od sufitu i zanurkował, by otworzyć wewnętrzne drzwi wyrzutni. Przy różnicy ciśnień byłoby to dość skomplikowanym przedsięwzięciem. Przez jedno z drzwi wpłynęła błękitna ryba papuzia.

- Dopilnuję, żeby się nie zgubił, sir - zaproponował marynarz, wskazując Farrisa i chwytając

go oburącz wpół klasycznym chwytem ratowniczym.

Dirk skinął głową i zajął się własnym akwalungiem, wymieniając butle. Gdy był gotów, stuknął trzonkiem noża we właz. Sternik otworzył go z zewnątrz. Teoretycznie wszyscy trzej powinni podążyć w górę w pęcherzu powietrza uwolnionym z okrętu. Stało się jednak inaczej. Przewód powietrzny Pitta zahaczył się o wewnętrzne koło otwierające właz i zanim Dirk zdołał go odplątać, pozostali, łącznie ze sternikiem, byli już daleko. Nie zauważyli, że został na dole.

Uwolnienie się z pułapki nie było rzeczą trudną czy długotrwałą, natomiast gdy wydostał się na zewnątrz, spotkała go większa przykrość: osiemnastostopowy *Sphyrna Levini* znany jako rekin młot. Jeden z nielicznych rekinów, które atakują ludzi. W pierwszej chwili Pitt sądził, że szary kształt odpłynie do góry, ignorując go. Szeroki łeb jednak odwrócił się ku niemu, ukazując otwartą paszczę pełną trójkątnych, ostrych jak brzytwy zębów. Przez głowę Pitta przemknęły niezbyt optymistyczne obrazy. „Barf” był bezużyteczny i został na pokładzie „Starbucka”, a jedyną bronią, którą miał, był pistolet-rękawica, który dowiódł już swej skuteczności wobec ludzi. Praktyka wykazała już niejednokrotnie, że zabić człowieka jest stosunkowo łatwo. Zupełnie inaczej rzecz się miała z ważącą dwa tysiące funtów żywą maszyną do zabijania, mającą grubą skórę i niesamowitą wprost wytrzymałość na uszkodzenia. Należało bezbłędnie trafić w któryś z organów wewnętrznych. Rekina przywabiła krew płynąca z rany na nodze. Nie było jej dużo, ale przy tak fenomenalnym węchu - wystarczająco. Pitt jak zaczarowany obserwował rekina zataczającego wokół niego coraz ciaśniejsze kręgi niczym Indianie wokół pionierskich wozów i obserwującego go beznamiętnie wielkim okiem, umieszczonym z boku szerokiego pyska.

Gdy kolejne koło stało się tak małe, że rekin prawie otarł się o niego, Pitt trzepnął go z całych sił lewą ręką w wyloty zużytej wody, tuż za łbem. Gest był nieomal komiczny, ale rekin zaskoczony nagłym kontaktem, skręcił w miejscu i oddalił się. Obaj płynęli przez cały czas w górę. Gdy rekin powrócił, do powierzchni pozostało jeszcze trzydzieści stóp. Dirk starał się trzymać go cały czas w zasięgu wzroku, przez co wolno, ale nieustannie kręcił się wokół własnej osi. Tym razem rekin nie zamierzał się bawić. Pitt znając zwyczaje tych drapieżników, wiedział, że ludojad rozpoczął atak. Pozostała mu ostatnia szansa. Starannie wycelował broń i czekał na zbliżającą się śmierć. Gdy rekin był około trzy stopy od niego, nacisnął guzik i posłał pocisk dokładnie w lewe oko bestii.

Drapieżnik skręcił w miejscu, bijąc wściekle ogonem. Dirk ledwie go uniknął, odepchnięty potężnym zawirowaniem wody. Wywinał kozła przez plecy i poczuł się przez chwilę jak w podwodnym wirze. Nie namyślając się, wyteżył wszystkie siły i ruszył w górę, nie spuszczać wzroku z szalejącego rekina. Musiał również uważać, by przy próbie wynurzenia nie uderzyć głową w stępkę. Jakiś cień przesłonił światło - sternik był z powrotem w wodzie, przywołując go gestami. Dirk nie potrzebował żadnej zachęty. Dzielącą ich odległość pokonał w dziesięć sekund, obserwując rekina, który nagle się uspokoił, błysnął wściekle zdrowym okiem i odpłynął, niknąc błyskawicznie z pola widzenia. Wstrząśnięty i zmęczony Pitt z wdzięcznością pozwolił się wyciągnąć pomocnym dłoniom na pokład. Zdjęto mu maskę, akwalung i płetwy. Spojrzał w górę. Stał tam Boland, obserwując go uważnie.

- Gdzie March? - spytał lodowato komandor.

- Nie żyje.

- Cóż, zdarza się - mruknął Boland.

Pitt od dłuższego czasu wpatrywał się z obojętnym wyrazem twarzy w trzymane w dłoni naczynie. Zaczerwienione oczy wyrażały jednak to, co czuł: zmęczenie i smutek. Tropikalne słońce, niknąc za horyzontem, rzucało przez iluminator złocistoczerwone promienie, które malowniczo zabarwiały kostkę lodu pływającą w szkockiej whisky. Zmęczonym gestem przesunął szkłem po czole. Właśnie skończył zdawać Bolandowi szczegółową relację z wydarzeń pod wodą i miał już wszystkiego serdecznie dość. Zamiast odprężenia i zadowolenia, że najgorsze jest już poza nim, miał przecucie, iż było to dopiero preludium do znacznie groźniejszych wydarzeń.

- Przestań się obwiniać o jego śmierć - powtórzył Boland. - Gdybyście mieli wypadek, gdyby coś się zawaliło, jak to się zdarza na wrakach, i on by przy tym zginął, to wówczas byłaby to twoja wina, bo sam go tam zaciągnąłeś. Ale skąd miałeś wiedzieć, że po pokładzie spaceruje para morderców? I to jeszcze bezmyślnych; powinni go złapać i wypytać, a nie zabijać bez słowa.

- Przestań, Paul. Zmusiłem chłopaka, żeby wszedł do środka. Gdybym się tak nie spieszył, by udowodnić swoje racje, to żyłby.

- Racja, ale za cenę jednego życia dowiedzieliśmy się rzeczy tak ważnych, że utrata jednego człowieka jest w porównaniu z tym niewielką stratą. Gdybym musiał poświęcić całą załogę, by umożliwić „Starbuckowi” powrót do Pearl Harbor, nie zawahałbym się ani chwili. Mam na myśli również ciebie i mnie - oznajmił spokojnie Boland, dolewając whisky do swej opróżnionej szklanki.

- Doceniam szczerze zamiary - mruknął Pitt.

- Staram się być miły z powodu twoich dobrych kontaktów z admirałem. Poza tym uważam, że jesteś wyjątkowo sprytnym manipulatorem. Mogę się założyć, że ten z pozoru głupi pomysł zatopienia przedziału torpedowego kryje w sobie kolejny makiaweliczny pomysł. O co tym razem chodzi?

- Proste. Uszkodziłem okręt, by przez kilka dni zatrzymać go na miejscu.

- Mów dalej - zachęcił Boland. Nie uśmiechał się już.

Pitt uporządkował myśli i wyjaśnił:

- Zaczynając od końca: na pokładzie było dwóch uzbrojonych wartowników i Farris, widziałeś, w jakim stanie. „Starbuck” był doskonałym więzieniem, bo nie było dokąd z niego uciekać. Strażnicy zmieniali się i choć nie wiem, gdzie jest ich baza, to z pewnością nie przebywali długo na pokładzie. Sądzę, że około dwunastu godzin, maksimum dwadzieścia cztery.

- Skąd ta pewność?

- Sprawdziłem podręczne magazyny w kuchni i w messie oficerskiej; w żadnym nie było śladu

żywności. Strażnicy nie wyglądali na zagłodzonych, a Farris, pomimo stanu, w jakim jest, też coś musiał jeść przez te sześć miesięcy. Albo gdzieś w pobliżu jest nie rejestrowany bar McDonalda, albo strażnicy wracali na lunch do domu. Oczywiście obstawiam to drugie. A to znaczy, że reszta ich koleżków czai się teraz niedaleko, czekając na sprzyjający moment, by zawładnąć „Marthą Ann”. Jeżeli znikniemy tak jak inne statki, to Navy może praktycznie się pożegnać ze „Starbuckiem”. Jeżeli przeżyjemy, to mogą próbować przy pierwszej okazji przenieść go gdzie indziej. Przy zatopionym przedziale torpedowym stracą na to sporo czasu, jak zapewniał mnie twój sternik. Istnieje więc szansa, że Navy zdoła tu dotrzeć i zająć się podniesieniem „Starbucka” lub też doprowadzeniem go do stanu używalności na dole. Wybór należy do nich.

- W ciągu trzech godzin możemy tu ściągnąć drogą powietrzną całą załogę ratunkową.

- Za późno. Od momentu rzucenia kotwicy żyjemy na kredyt. To co przydarzyło się reszcie tych leżących na dnie wraków, z dużym prawdopodobieństwem może spotkać i nas.

- Pomysł wydaje mi się mało realny - mruknął sceptycznie Boland. - Radar melduje, że w promieniu pięciuset mil nie ma żadnej jednostki ani lądu. Sonar nie wykrywa nawet na maksymalnym zasięgu żadnego okrętu podwodnego. To skąd, u diabła, miałoby przyjść to zagrożenie?

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie - parsknął Pitt - to natychmiast zażądałbym podwyżki. I wiesz, dostałbym ją bez gadania.

- Jeśli nie masz nic bardziej konkretnego, to poczekamy do rana i zabierzemy się za podnoszenie „Starbucka” - oznajmił Boland, przyglądając mu się uważnie.

- Pobożne życzenie - zauważył cierpko Dirk. - Do świtu „Martha Ann” będzie leżała na dnie obok „Starbucka”.

- Zapominasz, że mogę wezwać pomoc z Honolulu, kiedy tylko zechcę.

- Naprawdę? - zdziwił się Pitt, a Boland spojrzał na niego przenikliwie. - Hunter potwierdził twoje meldunki?

- W jaki sposób? Przecież nadawaliśmy zakodowane meldunki na ogólnie dostępnym kanale. Nie mógł odpowiedzieć, nie demaskując wszystkiego.

- A nie wydaje ci się dziwne, że nadal milczy? Sam powiedziałaś, że mój meldunek słyszeli wszyscy wokół, a on nie był kodowany. Hunter powinien natychmiast wejść na fonię, domagając się szczegółów. Skoro słyszał mnie każdy w promieniu tysiąca mil, to dlaczego nie było ani jednego odzewu, nawet w formie opieprzenia za głupie dowcipy? Coś mi się wydaje, że żadna z tych wiadomości nie dotarła do adresata, nawet twoja informacja o spalonym wale.

Tym razem trafił. Boland uniósł brwi i wcisnął przycisk interkomu stojącego na biurku.

- Radio? Tu kapitan. Dajcie mi łączność z Pearl Harbor, kod numer sześć. Proszę się zgłosić,

jak tylko potwierdzą nawiązanie łączności.

- Kod numer sześć. Aye, aye, sir - powtórzył głośnik.

- Skąd ci przyszło do głowy, że jesteśmy zagłuszani? - spytał Boland.

- Z wyjątkiem „Lillie Marlene” żadna jednostka nie zdołała przesłać nawet SOS, w tym także „Starbuck”. Dowodzi to ponad wszelką wątpliwość, że nasi tajemniczy przyjaciele nie chcą zostać odkryci przez resztę świata. Jeśli chodzi o zagłuszanie, to możemy się założyć, że ma miejsce, bo tylko to logicznie wyjaśnia brak sygnałów SOS. Oni nadawali, i to pewnie czasami nawet dłuższe i dokładniejsze depeche, tylko żadna nie dotarła do radiostacji służby ratowniczej na Oahu. To także wyjaśnia fałszywe pozycje nadawane przez Dupree przez ostatnie kilka godzin przed zniknięciem. Na jednej z wysp Archipelagu Hawajskiego nasi przyjaciele mają potężny nadajnik. Musi być na lądzie, bo do zagłuszania sygnałów statków potrzebna jest spora antena.

- Radio do kapitana - zachrypiał głośnik.

- Jestem. Dajcie łączność.

- Nie mamy, sir. Potwierdzili, ale nie w kodzie numer sześć. Cztery razy wysyłaliśmy ten sam sygnał i cztery razy prosili o wiadomość bez kodu. Nic z tego nie rozumiem, sir. Sygnał na częstotliwości handlowej przechodzi bez przeszkód, a z kodowanym są problemy. Ktoś stara się być cwany, taka jest moja opinia, sir.

- Nie próbujcie dalej - polecił Boland i wyłączył interkom.

Żaden z nich nie odezwał się ani słowem - nie było po co. Obaj wiedzieli, że nawiązanie łączności nie jest ważne; ważne było, że połączyli się nie z tymi, co trzeba.

- Nie jest dobrze - oznajmił w końcu Boland.

- To nam przynajmniej wyjaśnia jedną sprawę. Ale pozostają inne: na przykład, co stało się pół roku temu z załogą „Starbucka”? Albo dlaczego nie użyto w jakikolwiek sposób okrętu, skoro zadano sobie tyle trudu, by utrzymać go w idealnym stanie?

- Możemy spokojnie skreślić z listy Rosjan czy inne mocarstwo. Takie postępowanie nie ma sensu z ich punktu widzenia, a poza tym nie zdołaliby tego utrzymać tak długo w sekrecie.

- Może to brzmi głupio, ale nie sądzę, by opanowanie „Starbucka” było operacją zaplanowaną i przygotowaną - stwierdził Pitt.

- To brzmi głupio, ale coś w tym jest. Choć z drugiej strony porwanie atomowego okrętu podwodnego na pełnym morzu nie jest taką prostą sprawą.

- Ktoś doszedł w tym do perfekcji. Kadłub wewnątrz i na zewnątrz nie nosi najmniejszych

śladów zniszczeń, a to mówi samo za siebie.

- Jest parę problemów: przy tak rozwiniętych systemach wykrywających, w które jest wyposażony „Starbuck”, wejście na pokład po cichu jest niemożliwe. Ma tak zainstalowane alarmy, że otwarcie zewnętrznego wjazdu do komory ewakuacyjnej powinno umarłego postawić na nogi. A nic poza rybą nie jest w stanie w ogóle zbliżyć się do niego na bliższą odległość.

- Chciałbym ci zwrócić uwagę, że nikt nie projektuje okrętów podwodnych z myślą o odparciu abordażu, zwłaszcza pod powierzchnią.

Zanim Boland zdążył odpowiedzieć, głośnik ponownie ożył:

- Kapitanie, tu mostek.

- Boland. O co chodzi?

- Mógłby pan tu przyjść, sir? Jest coś, co powinien pan zobaczyć.

- Co mianowicie?

- Cóż, sir... to brzmi dziwnie...

- Dalej, wykrztuś to z siebie, człowieku!

- Mgła, kapitanie. Z morza unosi się mgła pokrywająca powierzchnię niczym na starych filmach z Frankensteinem. To nierealne, sir. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Zaraz tam będę. - Boland wyłączył interkom i spojrzał ponuro na Pitta. - Co o tym sądzisz?

- Sądzę - mruknął cicho Dirk - że zabawa się zaczęła.

ROZDZIAŁ 11

Biały, gęsty opar unosił się nad samą powierzchnią wody, kręcąc się w powiewach lekkiej bryzy, ograniczając widoczność i otaczając ich ze wszystkich stron. Wachtowi na skrzydłach mostka wyteżali oczy, ale nie widzieli niczego oprócz mgły. Wszyscy czuli się nieswojo, a strach stawał się coraz silniejszy. Strach przed czymś co było tam, ale czego nie dało się ani dostrzec, ani dotknąć, ani też zrozumieć. Światło zachodzącego słońca przedostające się przez biały całun miało dziwny, pomarańczowo-szary poblask zwiększający wrażenie niesamowitości.

Boland otarł pot z czoła, spojrzął przez okno sterówki i powiedział, siląc się na spokój:

- Wygląda całkiem naturalnie, choć ma większą niż zazwyczaj gęstość.

- Poza kolorem w tej mgle nie ma nic normalnego - warknął Pitt, patrząc na ledwo widoczny dziób statku. - Wysoka temperatura, pora dnia i wiejąca z szybkością trzech węzłów bryza to nie są naturalne warunki do powstania mgły.

Przechylił się nad Bolandem, przyglądając się uważnie ekranowi radaru przez ponad minutę i co chwilę sprawdzając czas na zegarku. Po zakończeniu obserwacji oznajmił:

- Nie wykazuje żadnych śladów przemieszczania się czy rozpraszania. Wiatr jej zupełnie nie poruszył i mocno wątpię, czy matka natura może mieć w swoich zasobach coś tak dziwnego.

Wyszli na skrzydło mostka, ich sylwetki tworzyły dwa cieniste kontury podświetlone specyficznym światłem dochodzącym przez mgłę. Statek kołysał się lekko na słabej fali i zdawało się, jakby czas przestał płynąć, jakby znajdowali się gdzieś poza czasem i przestrzenią. Pitt pociągnął nosem. Początkowo nie mógł się zorientować, co właściwie zwróciło jego uwagę, ale po chwili czuł wyraźnie panujący wokół aromat. Przypomniał sobie w końcu, co to jest.

- Eukaliptus!

- Na środku oceanu? - zdumiał się Boland.

- Nie czujesz zapachu eukaliptusa?

- Coś tu rzeczywiście czuć - zgodził się po namyśle Boland - ale nie mam pojęcia co.

- Gdzie dorastałeś? - Głos Pitta wydał się zaskakująco głośny w otaczającej ich ciszy.

- W Minnesocie. Dlaczego pytasz?

- Wobec tego masz prawo nie wiedzieć. Jezu, od lat nie czułem tego zapachu! Eukaliptusy są dość pospolite w Australii i południowej Kalifornii; mają specyficzny aromat i można z nich otrzymać olejek stosowany do inhalacji.

- To co mówisz, ma niewiele sensu - zwrócił uwagę Boland.

- To prawda. Nie zmienia to jednak faktu, że ta mgła pachnie eukaliptusami.

Boland zacisnął pięści i spytał, nie patrząc na niego:

- Co proponujesz?

- Mówiąc krótko: zmiatać stąd i to jak najszybciej.

- Z ust mi to wyjąłeś. - Komandor uśmiechnął się, wrócił do sterówki i chwycił mikrofon. - Maszynownia, kiedy możemy ruszać?

- Kiedy pan rozkaże, sir - zadudnił głośnik.

- To ruszamy natychmiast! - polecił Boland, po czym zwrócił się do mającego wachtę porucznika: - Wybierać kotwicę!

- Aye, aye, sir.

- Operacyjny? Tu kapitan. Macie jakiś kontakt?

- Tu Stanley, sir. Wszystko w normie, ekrany czyste poza ławicą ryb, o jakieś sto jardów od sterburty.

- Spytaj go, ile i jakie duże. - Pitt wszedł za nim do sterówki. Ostatnia wiadomość wyraźnie go zaniepokoiła.

Boland skinął głową i przekazał Stanleyowi pytanie.

- Około dwustu sztuk na głębokości pięćdziesięciu, sześćdziesięciu stóp.

- Wielkość, człowieku! - warknął Boland. - Jakiej są wielkości?!

- Pięć do siedmiu stóp, sir.

Pitt przeniósł wzrok na Bolanda i oznajmił poważnym tonem:

- To nie są ryby. To ludzie.

Minęło kilka sekund, zanim Boland uprzytomnił sobie znaczenie tych słów.

- Ludzie? - powtórzył. - Jak mają zamiar nas zaatakować? Burta ma dwadzieścia stóp wysokości.

- Możesz być pewny, że mają sposób. I że to im się uda, już nieraz im się udało.

- Gówno! - zaklął komandor, waląc pięścią w ścianę sterówki; sekundę później jego głos rozległ się we wszystkich pomieszczeniach: - Poruczniku Riley! Wydać natychmiast broń całej załozce. Będziemy mieli za chwilę nieproszonych gości.

- Przy tej liczbie atakujących kilka pistoletów nie rozwiązuje sprawy - zauważył Dirk. - Jeżeli przejdą przez reling, to co twoja piętnastka poradzi przeciwko dwóm setkom? A przejdą, bo nie zdołamy upilnować całej długości obu burt, dzioba i rufy.

- Zatrzymamy ich!

- Bardzo w to wątpię. Lepiej przygotuj ludzi do opuszczenia statku.

- Nie. - W głosie Bolanda było zdecydowanie. - Ta zardzewiała krypa może na to nie wygląda, ale jest własnością US Navy i nie mam zamiaru jej poddać bez walki. Powiedz admirałowi, co się wydarzyło i przekaz mu... - Słowom towarzyszyło wyciągnięcie prawej ręki, którą Pitt zupełnie zignorował.

- Sam mu powiedz. Nie ruszę się stąd bez załogi i bez ciebie.

- Powodzenia! - uśmiechnął się Boland.

- Do zobaczenia na pokładzie startowym - odparł Pitt poważnie, po czym odwrócił się i wyszedł.

Fotel pilota był mokry, gdy Pitt się w nim usadowił. Mgła otulała wszystko wilgotną zasłoną i skraplała się na winylowej powierzchni. Ignorując ją, zabrał się za sprawdzanie maszyny i przygotowanie jej do lotu. Wokół panowała cisza - wyglądało zupełnie tak, jakby ktoś okrył statek szczelną zasłoną, rozpościerając ją do wysokości wierzchołków masztów. Światła pociemniały, uczucie duszności było bardzo uciążliwe. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystko wokół zniknęło - morze, niebo i wszystko, co jeszcze niedawno ich otaczało. Świat ograniczył się do około dwustu stóp kwadratowych, które dało się dostrzec z okien sterówki.

Pitt włączył zasilanie pomocnicze i wcisnął guzik startu. Turbina zaskoczyła, kręcąc się na jałowym biegu, dopóki pierwszy obłoczek dymu z rur wydechowych nie potwierdził rozgrzania silników i osiągnięcia normalnych obrotów. Trwało to krótko, ale był to najgorszy moment - gdyby silnik nie zaskoczył... Przerzucił dźwignię i potężne łopaty wirnika drgnęły najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż z charakterystycznym poświstem zaczęły równomiernie mleć mgłę.

Słońce całkowicie pograżyło się za linią horyzontu. Resztki światła zniknęły. Gdy instrumenty na tablicy rozdzielczej wróciły do normalnego położenia, Pitt sięgnął na fotel drugiego pilota po zawinięty w ręcznik pistolet i zajął się przerabianiem Mausera na karabin maszynowy. Starannie dołączył futerał jako kolbę, załadował magazynek, przestawił selektor ognia na ciągły i wprowadził nabój do komory. Z bronią w ręce wysiadł z kabiny i spojrzał w otaczający go mrok rozświetlony upiornie rozproszonym blaskiem okrętowych lamp, w którym trudno było cokolwiek dokładnie zobaczyć.

Helikopter był nieco wyżej niż reszta pokładu. Pitt przyklęknął przy burcie maszyny i znieruchomiał, spoglądając w mgłę. Nie musiał długo czekać. Po około minucie nad relingiem zmaterializowały się dwie postacie i ruszyły ku wibrującemu helikopterowi. Pitt odczekał, aż dojrzał je wystarczająco wyraźnie, by mieć pewność, że to nie jacyś zabłąkani członkowie załogi i nacisnął spust. Postacie zwały się na pokład, równocześnie upuszczając znane mu już pistolety-rękawiczki. Błyskawicznie obrócił się wokół własnej osi, obserwując otoczenie, ale w zasięgu wzroku nie było nikogo. Obejrzał spokojnie niedoszłych zamachowców. Ciała były skręcone i bezwładne, każde miało w klatce piersiowej trzy otwory świadczące o celności broni i strzelca. Zielone przepaski i broń, którą mieli, były identyczne jak te używane przez wartowników na okręcie podwodnym. Jediną różnicę stanowiły niewielkie plastikowe pudełka przyłączone do ciał. Zanim zdołał dokładniej je obejrzeć, jego uwagę zwrócił ruch przy relingu; kolejny napastnik wszedł na pokład. Pitt przesunął kciukiem selektor na ogień pojedynczy i nacisnął spust. Postać zniknęła jak zdmuchnięta, a po sekundzie rozległ się plusk. Dirk ostrożnie podczołgał się do burty i prawie potknął się o to, czego szukał - o reling zaczepiony był grapnel oklejony grubą warstwą gąbki, do którego przyczepiona była lina znikająca za burtą. W ten prosty sposób pokonanie pionowej burty statku nie było dla napastników specjalnie trudne. Wymagało tylko trochę wprawy i krzepy w rękach. Umożliwiało ciche i nie zauważone przez załogę dostanie się pierwszej grupy na pokład i rozprawienie się z wachtowymi. Mgła była doskonałą osłoną. Efekty tych praktyk leżały pod nimi - prawie pół setki wraków i blisko tysiąc zabitych.

Tok myśli przerwała mu dochodząca ze śródokręcia kanonada, w której wyraźnie słychać było ciężki huk czterdziestek piątek i znacznie ostrzejsze trzaski M-16. Krzyki trafionych wypełniły mgłę wraz z głośnymi komendami. Powstało takie pandemonium, że trudno było się połapać w rozwoju wydarzeń.

W pobliżu helikoptera nadal nic się nie działo. Spokój zmaćniała zabłąkana kula, która odbiła się rykoszetem od jednej z łopat śmigła i zniknęła w morzu. Uświadomiło to Pittowi kolejne niebezpieczeństwo, o którym wcześniej nie pomyślał - wystarczy jedna kula w wirnik lub we wlot powietrza i wszyscy zginą; nie będą w stanie odlecieć. Trzy postacie wdrapały się na lądowisko. Pitt w ostatniej chwili dostrzegł, że mają ubrania - musieli należeć do załogi statku. Szkliste oczy i pot zlewający twarze był najlepszym dowodem przeżyć ostatnich kilkunastu minut.

- Witamy na pokładzie lotu do Dirty Sally's Bar. Dalej, chłopcy, do środka!

Mówiąc nie odwracał się ani na moment, przez cały czas wpatrując się w mgłę. Po ponad minucie zamajaczyła kolejna postać. Młody marynarz gnał poganiany strachem, poślizgnął się na wilgotnym pokładzie i gdyby nie wyciągnięte na czas ramię Pitta, przejechałby pod relingiem wprost do morza.

- Spokojnie - poradził Dirk. - Do domu daleko, zmęczyłbyś się wpław.

- Przepraszam, sir... ale człowiek nie widzi tych skurwieli... Są wokół, ale nie ma się szansy normalnej walki.

Dirk pchnął go lekko w stronę pracującego na wolnych obrotach helikoptera i wyłożył słuch. Odgłosy walki znacznie osłabły, za to w ich kierunku zbliżał się tupot kilku par butów. Z mgły wyłoniło się czterech kolejnych członków załogi; jeden z nich na linie owiązanej wokół pasa prowadził Farrisa, który całkowicie ignorował toczącą się wokół walkę. Spoglądał prosto przed siebie z pustym i obojętnym wyrazem oczu.

- Wsadźcie go na fotel drugiego pilota i porządnie przypnijcie pasami, żeby nie mógł się ruszyć - polecił sternikowi Pitt i ponownie skoncentrował uwagę na mgle od strony dziobu.

Strzelanina i krzyki umilkły i wyraźnie dały się słyszeć ciężkie kroki zmierzające w stronę lądowiska.

- Pitt, jesteś tam?! - ryknęło z mgły.

- Podchodźcie, ale żadnych gwałtownych ruchów.

- Nie mam zamiaru, niosę rannego.

Z oparów wyłonił się porucznik Harper ważący prawie dwieście funtów, niosąc przewieszzonego przez ramię marynarza w zakrwawionym kombinezonie. Chłopak miał nie więcej niż dziewiętnaście lat, bladą jak ściana twarz. Z rany w nodze kapłała krew. Pitt chwycił wyciągniętą ku niemu masywną dłoń Harpera i pomógł obu wdrapać się na lądowisko.

- Ilu jeszcze jest za wami?

- Nikogo.

- Boland?

- Cała banda tych nagusów zaatakowała jego i Stanleya tuż przed mostkiem. - Głos Harpera brzmiał przeproszająco. - Obawiam się, że ich dostali.

- Wsadź dzieciaka do maszyny i zatamuj upływ krwi, bo się wykończy - polecił Dirk. - I ustaw ludzi wokół helikoptera z rozkazem strzelania do każdego, kto nie ma spodni i koszuli. Prawie każdy ma broń, nie powinno to być problemem. Sprawdź, czy nie ma gdzieś w pobliżu rannych i zbieramy się stąd.

- Tylko uważaj na siebie! Jesteś jedynym pilotem wśród nas.

Pitt, nie czekając na odpowiedź, zeskoczył na pokład i ruszył biegiem w stronę mostka. Zwolnił po trzecim poślizgnięciu się na mokrym pokładzie, które niemal skończyło się upadkiem. Nagle spostrzegł grupę ludzi biegnących w jego stronę. Otworzył ogień, bijąc krótkimi, mierzonymi seriami. Przeskoczył zabitych, zaplątał się w linę i runął na pokład, raniąc się w pierś o jakieś żelastwo, na szczęście niegroźne. Przez chwilę leżał nieruchomo, łapiąc oddech i nasłuchując. Wokół panowała cisza - żadnych strzałów, jęków czy nawoływań. Mogło to oznaczać, że ci z załogi, którzy nie dotarli

do helikoptera, byli już martwi.

Podniósł się na czworaki i skulony posuwał się wzdłuż burty, kryjąc się za łodziami ratunkowymi. Jedną ręką macał drogę przed sobą, w drugiej ścisnął gotowego do strzału Mausera. W pewnej chwili trafił dłonią na coś śliskiego i lepkiego. Krew. Po paru jardach ślad doprowadził go do ciała porucznika Stanleya. Martwego ciała. Pitt poczuł ogarniającą go wściekłość, która jednak nie zaćmiła zdrowego rozsądku. Dla Stanleya nie mógł już nic zrobić, ale pozostał jeszcze Boland... Ruszył przed siebie, co chwilę zatrzymując się, by nasłuchiwać. Po chwili z przodu dobiegł stłumiony jęk. Prawie zderzył się z nim, tak złudna była ocena odległości w tej przeklętej mgle. Boland czołgał się. Ramię miał przebite na wylot czterostopowym harpunem, który nadal tkwił w ranie. Głowa zwisała mu na zakrwawioną pierś, ale nie ustawał w wysiłkach. Wokół niego stało trzech napastników obserwujących go z dużym zainteresowaniem. Gdy wysiłki pełzającego słabły, jeden z nich kopał w drzewce harpuna, uśmiechając się za każdym razem, gdy z zaciśniętych ust ranego wydobywał się stłumiony jęk.

Dirk poczuł, jak eksploduje nagromadzona w nim wściekłość. Przystawiając selektor na ogień pojedynczy, podniósł się na nogi. Spokojnie wszedł między zaskoczonych jego pojawieniem się napastników i starannie wybierając cele, otworzył ogień. Uśmiechnięty sadysta dostał pocisk między nogi, pozostali dwaj w brzuch. Gdy z mgły wyłonił się kolejny napastnik, Dirk przestawił selektor na ogień ciągły i puścił w kierunku mężczyzny krótką serię. Biegący zwałił się na towarzyszy z piersią rozszarpaną kulami i znieruchomiał.

Boland podniósł na Pitta nieprzytomny wzrok; twarz miał wykrzywioną bólem.

- Wróciłeś?

- Powiedziałem ci, że sam przekażesz Hunterowi radosne nowiny - uśmiechnął się Pitt. - Weź się w garść. Muszę ci wyjąć tę włócznię. - Wsunął Mausera za pasek, a potem przeciągnął ostrożnie Bolanda pod ścianę i ułożył w wygodniejszej pozycji, cały czas wypatrując kolejnych napastników. W pobliżu nie było nikogo. Złapał oburącz drzewce tuż za grotem i oznajmił: - Liczę do trzech. Czy Bolanda pełne były bólu, ale zdołał się uśmiechnąć.

- Tylko się pospiesz, sadysto.

- Raz. - Pitt poprawił uchwyt i oparł stopę na piersi siedzącego. - Dwa. - Naprężył mięśnie i szarpnął z całej siły.

Zakrwawiony harpun wysunął się z ramienia komandora. Boland jęknął i zwinął się wpół. Potem opadł na plecy i spojrzał na Pitta szklistym wzrokiem.

- Ty sukinsynu - powiedział, przyglądając mu się półprzytomnie. - Nie powiedziałeś „trzy”. - Po czym zemdłał.

Pitt cisnął za burtę ociekający krwią harpun, uniósł bezwładne ciało Bolanda i zarzucił je sobie na ramię. Ruszył najszybciej jak tylko potrafił w kierunku helikoptera. Dwukrotnie musiał się

zatrzymywać, słysząc przed sobą jakieś podejrzane odgłosy. Zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji byłoby mu bardzo trudno podjąć walkę; a jeśli nie dotrze do maszyny, to zginą wszyscy pozostali przy życiu członkowie załogi „Marthy Ann”. W końcu dysząc z wysiłku, dotarł do lądowiska.

- To ja, Pitt - wycharczał.

Harper chwycił Bolanda wpół niczym lalkę i zaniósł nieprzytomnego dowódcę do maszyny. Pitt wdrapał się na górę, przyłożył kolbę Mausera do ramienia i długą serią opróżnił magazynek w kłębiącą się na dziobie mgłę. Gdy umilkły strzały, wszedł do kabiny helikoptera, położył broń za fotel pilota i ujął stery z dziwną pewnością, że po raz kolejny mu się udało. Nie tracąc czasu na zapinanie pasów, przesunął manetkę gazu i gdy wirniki zwiększyły obroty, powoli uniósł maszynę. Lądowisko pozostało w dole, znikając we mgle, a helikopter wznosił się pionowo w szarej zawieszynie. Minęła długa chwila, zanim ujrzał nad sobą gwiazdy, a pod spodem ocean oświetlony blaskiem księżyca.

Turbina zwiększyła obroty, helikopter nabrał wysokości i ustawił się na kurs prowadzący do odległych Wysp Hawajskich.

ROZDZIAŁ 12

Henry Fujima był ostatnim z wymierającego rodu rybaków japońsko-hawajskiego pochodzenia. Stanowił czwarte pokolenie zajmujące się tak jak jego pradziad, dziadek i ojciec, połowem tuńczyków z pokładu sampana. Podobnie jak rybacy z Gloucester w Maine, dwa razy w tygodniu wypływał na kruchej łódce na ocean, kierując się instynktem i umiejętnościami, które odziedziczył po przodkach. Rutyna ta nie zmieniała się od czterdziestu lat, choć flota ręcznie zbudowanych sampanów, którą Hawaje znały od dawna, przestała istnieć. Konkurencja, którą stanowiły międzynarodowe korporacje rybackie, wykruszyła ją wolno, lecz nieubłaganie i teraz tylko Henry zarzucał bambusową wędkę na odwiecznym łowisku.

Stał na tylnym pomoście niewielkiej łodzi, pewnie wspierając boscie stopy o drewniany pokład przesiąknięty tłuszczem tysięcy ryb i zarzucając w łagodne fale. Rozmyślał o dawnych czasach, gdy łowił ryby wraz z ojcem. To były dobre czasy kojarzące się z zapachem węgla drzewnego i śmiechem, gdy z pokładu na pokład podawano butelki z sake w czasie nocnego postoju, kiedy to wiązano łodzi burta w burtę. Przymknął powieki, przywołując twarze od dawna nieżyjących towarzyszy i słysząc głosy, które już od dawna się nie odzywały. Gdy otworzył oczy, ujrzał na horyzoncie majaczący kształt, który zwrócił jego uwagę. Kształt ten szybko zmienił się w statek, w starego i pordzewiałego trampa płynącego całą naprzód prosto na niego. Statek płynął bardzo szybko - Henry nigdy dotąd nie widział frachtowca tej wielkości, który tak szybko pruł fale. Trudno jest ocenić szybkość statku, gdy płynie on prosto na obserwatora, ale sądząc po odkosach białej piany, które sięgały prawie kluz kotwicznych, statek robił około dwudziestu pięciu węzłów.

Nagle Henry zamarł - statek trzymał idealnie prosty kurs, a na jego przedłużeniu był on i jego sampan. Fujima czym prędzej przywiązał koszulę do wędki i zaczął nią rozpaczliwie machać, ale ku swemu przerażeniu zobaczył, że dziób ani na cal nie zbacza z kursu, wyrastając nad nim niczym góra nad karzełkiem. Wrzasnął co sił w płucach. Nikt nie pojawił się na nadburciu, a mostek zdawał się zupełnie pusty. Henry stanął nieruchomo, patrząc bezradnie i z niedowierzaniem, jak wielki skorodowany statek uderza dziobem w burtę sampana, zmieniając go w drzazgi. Znalazł się pod wodą. Po chwili poczuł, jak coś rozcięło mu skórę na plecach. Desperackim wysiłkiem ledwie udało mu się ujść wściekle obracającym się śrubom. Wypłynął, wypływając wodę i walcząc o oddech wśród wzburzonego morza. Udało mu się utrzymać głowę na powierzchni i powoli wyrównać oddech. Morze zaczynało się uspokajać. Przetarł oczy i oszczędnymi ruchami utrzymywał się na wodzie.

Nic na świecie nie da się porównać z paraliżującym strachem, który ogarnia człowieka, gdy widzi, jak jego jedyna nadzieja ratunku odpływa w dal i nikt na pokładzie nie zdaje sobie sprawy z rozgrywającej się w pobliżu tragedii. Mimo to Henry Fujima nie czuł strachu przed śmiercią, która była tym razem nieuchronna. Z typową orientálną obojętnością zaakceptował swoje przeznaczenie. Dla niego, żyjącego z morza, śmierć w nim była ostateczną nagrodą, podobnie jak dla starego weterana śmierć na polu bitwy. Wkrótce pojawią się rekiny zwabione zapachem krwi, ale nie czuł przygnębienia czy strachu. Ogarnął go dziwny spokój, obserwując rufę statku z napisem „Martha

Ann” coraz bardziej oddalającego się na południe.

Było już po dziesiątej rano, gdy Pitt w końcu dotarł do swojego pokoju. Był zmęczony, oczy go piekły, a powieki opadały. Lekko kulał, ale noga została opatrzona, tym razem fachowo i poza pewną sztywnością nie odczuwał bólu. Dużo wysiłku kosztowało go, by nie zasnąć pod prysznicem. Miał jedynie ochotę spać i zapomnieć o wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Ignorując rozkazy wysadzenia załogi w Pearl Harbor lub na lotnisku Hickam, posadził maszynę na trawniku nie dalej niż dwieście stóp od wejścia na oddział powypadkowy Tripler Military Hospital, wielkiej betonowej budowli stojącej na wzgórzu górującym nad południowym wybrzeżem Oahu. Począł, aż Boland i ranny młodzieniec zostaną dowiezieni na blok operacyjny i dopiero wtedy pozwolił jednemu z lekarzy zaszyć sobie ranę na nodze i założyć opatrunek. Następnie cicho wymknął się bocznym wyjściem, złapał taksówkę i przespał całą drogę do hotelu.

Z prawdziwą ulgą wyszedł spod prysznicu i padł na łóżko. Spał już w chwili, gdy jego głowa dotknęła poduszki.

Nie minęło pół godziny, gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Z początku było to odległe echo gdzieś na krańcu świadomości, które starał się zignorować, ale ten ktoś dobijał się tak natarczywie, że w końcu zrezygnowany wstał, przeszedł zygzakiem przez pokój i otworzył drzwi.

W przerażonych kobietach jest dziwny rodzaj piękna, zupełnie jakby ożywiały je wówczas dawno zapomniany zwierzęcy instynkt reagujący na zagrożenie wzmożoną aktywnością hormonów. Kobieta stojąca w drzwiach miała na sobie krótkie muumuu w czerwone i żółte kwiaty, które ledwie zakrywało jej uda. Szeroko otwarte oczy były pełne przerażenia.

Pitt przez chwilę stał nieruchomo, lecz zaraz się cofnął i gestem zaprosił dziewczynę do środka. Adrienne Hunter przemknęła obok, zatrzasnęła drzwi i rzuciła mu się w objęcia. Drżała i gwałtownymi haustami łapała powietrze.

- Co się stało, na litość boską? - wykrztusił zaskoczony.

- Zabili go! - wychlipała.

Odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion i spojrzał w zapłakane oczy.

- O czym ty mówisz?

Słowa popłynęły niczym powódź:

- Leżałam w łóżku z... z przyjacielem, a oni weszli przez taras. Było ich trzech, wślizgnęli się tak cicho, że nie wiedzieliśmy, iż są w pokoju, dopóki nie było za późno. Próbował z nimi walczyć, ale mieli takie zabawne, małe pistolety, które nie robią hałasu, i go zastrzelili. Boże! Strzelali do niego chyba z tuzin razy i jego krew była na ścianach... wszędzie. To było okropne. - Zaczęła drżeć. Pitt delikatnie poprowadził ją do sofy. Po pewnym czasie uspokoiła się nieco i podjęła opowieść: -

Zaczęłam krzyczeć i zamknęłam się w szafie ściennej, a oni stali przed drzwiami i się śmiali. Myśleli, że jestem w pułapce, ale ta szafa stoi we wnęce, w której dawniej były drzwi do gościnnej sypialni i jest podwójna, bo z tamtej sypialni też można wyjąć rzeczy. Złapałam pierwszą z brzegu suknię i uciekłam przez okno. Nie chciałam iść na policję. Bałam się. Próbowałam zadzwonić do ojca, ale w biurze powiedzieli, że nie wiedzą, gdzie jest. Ogarnęła mnie panika i nie miałam gdzie iść, i... przybiegłam tu. - Podniosła się, odgarniając włosy z czoła. - To zupełnie jak koszmar - szepnęła. - Wstrętny, obrzydliwy koszmar. Dlaczego oni to zrobili? Powiedz mi, dlaczego?

- Po kolei - powiedział miękko. - Idź do łazienki i zrób porządek z makijażem. A potem powiesz mi, kim byli ci faceci i kogo zabili.

Odsunęła się od niego.

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Zaczynaj myśleć - warknął. - Masz w mieszkaniu nieboszczyka. Jak ci się wydaje, jak długo zdołasz to utrzymać w tajemnicy?

- Ja... nie wiem.

- Najgłupszemu z tutejszych policjantów identyfikacja zajmie około kwadransa. To po co grasz bohaterkę? To jakaś lokalna gruba ryba, z żoną i sześciorgiem dzieci, co?

- Gorzej. To przyjaciel taty.

- Nazwisko! - Tym razem było to żądanie.

Na jej twarzy odmalował się wyraz rezygnacji.

- Kapitan Orl Cinana - wymamrotała. - Oficer flagowy ojca.

Pitt zachował obojętny wyraz twarzy, choć sytuacja była gorsza niż podejrzewał. Wskazał na drzwi łazienki i rzekł krótko:

- Marsz!

Już w drzwiach odwróciła się z bezradnym wyrazem twarzy małej dziewczynki, po czym zamknęła drzwi. Poczekał, aż uruchomiła prysznic i sięgnął po telefon. Miał zdecydowanie więcej szczęścia niż Adrienne, gdyż ledwie podał telefonistce nazwisko, na linii rozległ się wściekły głos Huntera:

- Co to za kretyńskie pomysły, żeby się nie odmeldować po wykonaniu zadania!

- Byłem wykończony, admirale. I tak nie byłoby ze mnie pożytku. Musiałem się umyć i przespać parę godzin. To jednak stało się niemożliwe, i to dzięki pańskiej córce.

Nastąpiła przerwa, po czym Hunter odezwał się innym tonem:

- Moja córka? Adrienne jest z panem?

- Ma trupa w mieszkaniu. Nie mogła się do pana dodzwonić, więc przysłała tutaj.

Kolejna, tym razem trwająca dwie sekundy przerwa, po czym znacznie poważniejszy ton:

- Proszę podać mi szczegóły.

- Z tego, co zdołałem się od niej dowiedzieć, a nie było tego dużo, bo jest w szoku, wygląda na to, że nasi przyjaciele weszli przez taras do jej pokoju i zastrzelili faceta. Adrienne uciekła przez podwójną szafę między sypialniami.

- Jest ranna?

- Nie.

- Przypuszczam, że policja już o tym wie?

- Na szczęście nie zadzwoniła do nich. Sądzę, że trup nadal krwawi w dywan, a mieszkanie wygląda jak po rzezi.

- Dzięki Bogu! Zaraz pošlę tam naszych ludzi z wywiadu. - W tle rozległa się seria warkliwych komend i Dirk wyobraził sobie grupkę oficerów rozbiegających się, by je wykonać. - Zidentyfikowała oficera?

Pitt wziął głębszy oddech i powiedział:

- Kapitan Orl Cinana.

Musiał przyznać, że Hunter ma klasę. Cisza trwała krótką chwilę, po czym admirał zapytał równie spokojnym jak zazwyczaj tonem:

- Jak szybko możecie oboje tu dotrzeć?

- Nie wcześniej niż za pół godziny. Mój wóz jest nadal na parkingu portowym i będziemy musieli wziąć taksówkę.

- Lepiej zostańcie na miejscu. Wygląda na to, że tych morderców jest wielu. Zaraz wyślę wam obstawę i wtedy przyjedziecie tu wszyscy.

- Zgoda. Poczekamy na nich, nie ruszając się z miejsca.

- Jeszcze jedno: jak długo zna pan moją córkę?

- Poznaliśmy się przypadkiem na przyjęciu wieczorem tego dnia, gdy znalazłem kapsułę komunikacyjną „Starbucka”. - Okłamywanie kobiety było znacznie łatwiejsze niż okłamywanie mężczyzny. - Słyszała, jak wymieniłem pańskie nazwisko i przedstawiła się. Powiedziałem jej, iż mieszkam w Moana Towers. Musiała to zapamiętać i w panice tu przybiegła.

- Pojęcia nie mam, jak udało jej się tak spieprzyć własne życie - mruknął Hunter. - Tak naprawdę to porządna dziewczyna.

Pitt wybrał dyplomatyczne milczenie, nie bardzo wiedząc, jak poinformować ojca, że ukochana córeczka jest nimfomanką, która przez osiemnaście godzin na dobę jest albo pijana, albo naćpana.

- Jak tylko zjawi się ochrona, ruszamy do pana. - To było wszystko, co zdołał wykrztusić, po czym natychmiast odłożył słuchawkę.

Czekał, popijając whisky, która smakowała jak płyn do mycia naczyń.

Przybyli dziesięć minut później. Nie byli to jednak ci, których się spodziewał i nie przyjechali po to, by ich eskortować do kwatery admirała Huntera w Pearl Harbor. Przybyli, aby uprowadzić Adrienne i zabić Pitta. Zaskoczenie było całkowite, gdyż uwaga Dirka skierowana była w niewłaściwą stronę: częściowo na Adrienne skuloną i śpiącą na sofie jak niemowlę, a częściowo na drzwi. Poczul na karku nagły powiew, ale nic już nie zdążył zrobić.

Pięciu napastników spuściło się z dachu po linach i bezgłośnie weszło do apartamentu przez balkon. Do salonu wtargnęli przez sypialnię, mierząc ze znanych mu już pistoletów-rękawic w śpiącą dziewczynę.

- Poruszysz się, a ona umrze - oznajmił stojący pośrodku grupy olbrzymi mężczyzna z błyszczącymi, złotymi oczami.

Pitt po pierwszym zaskoczeniu nie czuł absolutnie nic i nie był w stanie myśleć. Dopiero po chwili nadeszła przykra świadomość, że stojący przed nim olbrzym od tygodnia manipulował jego poczynaniami. To on właśnie prześladował go w snach, to on odkrył tajemnicę Kanoli w archiwach muzeum i to on stworzył hawajski wir.

Olbrzym podszedł bliżej. Wyglądał zdrowo i niezwykle młodo jak na człowieka zbliżającego się do siedemdziesiątki. Był w doskonałej formie, zupełnie jakby czas nie miał na jego ciało żadnego wpływu. Skóra gładka, bez zmarszczek, mięśnie bez śladu zwiotczenia. Ubrany był w plażowy strój, a przez ramię przerzucił sobie kąpielowy ręcznik. Pozostali mieli na sobie szorty i hawajskie koszule, czyli normalny, „obowiązujący” na Hawajach strój. Mężczyzna miał pociągłą twarz i strzechę srebrzystych, nie uczesanych włosów. W niczym nie przypominał potwora z kosmosu, choć jego gabaryty mogły to sugerować. Oczy spoglądały z hipnotycznym blaskiem z wysokości sześciu stóp i ośmiu cali, z przyjaznym nastawieniem głodnej barakudy.

Uśmiechnął się samymi ustami i skłonił uprzejmie.

- Dirk Pitt z NUMA. - Głos miał spokojny i głęboki, bez śladów złości czy groźby. - To prawdziwa przyjemność móc w końcu poznać pana osobiście. Przez lata śledziłem z zainteresowaniem i rozbawieniem pańskie osiągnięcia i odkrycia.

- Czuję się zaszczycony, że udało mi się pana rozbawić.

- Odpowiedź godna człowieka odważnego. Przyznaję, że nie oczekiwałem innej reakcji. - Olbrzym skinął głową i dwóch jego ludzi przygwoździło Dirka do krzesła. - Przepraszam za niewygody, panie Pitt, ale sprawa od początku była niewygodna... choć jednocześnie ogromnie ważna. Nieszczęśliwie się złożyło, że byłem zmuszony wciągnąć pana do mojej strategii. Miałem zamiar skorzystać z pańskich usług wyłącznie jako posłańca, nie mogłem przewidzieć pańskiego zaangażowania w tę sprawę.

- Całkiem przekonywająco zaaranżowany przypadek. Jak długo mnie pan śledził, czekając na okazję, by podrzucić kapsułę? I dlaczego ja? W końcu każdy mógł ją wyłowić i zanieść Hunterowi.

- Wrażenie, majorze. Wrażenie i wiarygodność. Pan ma wpływowych przyjaciół i krewnych w stolicy, a pana osiągnięcia w NUMA są godne pozazdroszczenia. Wiedziałem, że będzie dużo wątpliwości co do autentyczności wiadomości, jak i jej zgodności z realiami. Liczyłem na to, że reputacja posłańca przekona niedowiarków. - Uśmiechnął się, przesuwając dłonią po włosach. - Co okazało się niestety błędnym wyborem, gdyż w końcu to pan przekonał admirała Huntera, że wiadomość jest sfalszowana.

- Rzeczywiście szkoda - odparł ironicznie Pitt. - Pana informator niewiele przeoczył - strzelił w ciemno.

- Owszem, był bardzo dobrze poinformowany.

Zapadła cisza. Dirk zerknął na ciągle śpiącą Adrienne. „To się nazywa zdrowy sen - pomyślał. - Jeśli będzie miała szczęście, prześpi całą tę nieprzyjemną sytuację”. Po chwili przeniósł spojrzenie na olbrzyma.

- Nie sądzę, żeby był pan tak miły i przedstawił się, prawda? - spytał.

- To bez znaczenia. Moje nazwisko nie będzie panu potrzebne.

- Jeżeli zamierza mnie pan zabić, to uważam, że zwykła przyzwoitość nakazuje powiadomić ofiarę, dzięki komu ma powiększyć grono aniołków.

Mężczyzna chwilę rozważał te słowa, po czym skinął głową i powiedział po prostu:

- Delphi.

- To wszystko?

- Delphi wystarczy.

- Nie wygląda pan na Greka. - Dłonie Dirka były związane za oparciem, więc wzruszenie ramionami niezbyt mu wyszło.

Reszta napastników wyglądała przeciętnie: średniego wzrostu i wagi, opaleni, o twarzach pozbawionych wyrazu. Zginęliby w każdym tłumie bez zwracania na siebie uwagi. Słuchali poleceń szefa bez wahania i bez pytań. Dirk nie miał żadnych złudzeń - na polecenie Delphiego zabiliby również bez słowa.

- Stworzył pan bezwzględna i skuteczną organizację ukrytą pod płaszczykiem jednej z zagadek tego stulecia. Ma pan sporo marynarzy na sumieniu. Po co?

- Przykro mi, panie Pitt, ale to nie jest film czy szmatławy kryminał, w którym morderca wyjaśnia wszystko głównemu bohaterowi, zanim zdecyduje, jak go zabić. Nie będzie budowania napięcia, wyjaśnień i innego marnowania czasu. Swoje motywy mógłbym dyskutować z Lavellą czy Roblemannem, ale nie z głępszymi od nich.

- Jak pan zamierza się mnie pozbyć?

- Wypadek. Ponieważ kocha pan wodę, to powinien pan utonąć, prawda? Szkoda że nie w morzu, lecz w wannie, ale cóż...

- Czy nie będzie to trochę podejrzanę?

- Ależ skąd, zapewniam, że wręcz przeciwnie: bardzo przekonujące, choć też bardzo prozaiczne. Policja dojdzie do wniosku, że golił się pan w kąpielni; na szczęście używa pan elektrycznej maszynki do golenia, więc nie wzbudzi to podejrzeń. Nie pan pierwszy i nie ostatni, choć to istotnie głupota. Maszynka wyslizgnęła się z mokrej dłoni, wpadła do wody, a wstrząs, jaki to wywołało, pozbawił pana przytomności. Zsunął się pan pod wodę i utonął. Zostanie to zakwalifikowane jako wypadek, a pańskie nazwisko ozdobi jedną z klepsydr w wielu gazetach tego pięknego kraju. Stanie się pan wspomnieniem.

- Szczerze mówiąc, zaskakuje mnie wysiłek, jaki pan w to wkłada.

- Należy się człowiekowi, który był niebezpiecznie blisko zniszczenia przedsięwzięcia doskonale pomyślanego i funkcjonującego bez problemów przez ponad trzydzieści lat.

- Tylko bez wazeliny - warknął nagle poirytowany Pitt. - A co z Adrienne? W orzeczeniu koronera może zabawnie wyglądać, że utopiła się przy goleniu.

- Proszę się uspokoić. Panna Hunter przeżyje. Ba, nie ma prawa spaść jej włos z głowy, gdyż weźmiemy ją jako zakładniczkę. Admirał Hunter poważnie się zastanowi, zanim ponownie zabierze się za wyjaśnianie tajemnic hawajskiego wiru.

- Przez mniej niż dwie sekundy. Według niego obowiązek jest zawsze przed rodziną. Traci pan niepotrzebnie czas. Niech pan ją puści. Trzymając ją, nic pan nie zyska.

- Jestem raczej zdyscyplinowaną osobą, panie Pitt. Kiedy raz coś zaplanuję, to nie odstąpię od tego, dopóki nie osiągnę zadowalających rezultatów. Moje cele są proste: chcę być wolny od niszczących pomysłów komunistów i imperialistycznych zapędów Ameryki. W końcu doprowadzą one do zniszczenia cywilizacji, a ja mam zamiar przetrwać.

Czas. To było w tej chwili dla Pitta najważniejsze - zyskać na czasie. Ludzie Huntera byli w drodze; jeżeli zdoła skłonić tamtego, by gadał wystarczająco długo, to miał szansę. Niewielką, ale miał. Nadzieja zastąpiła strach, jego umysł zaczął działać jasno i sprawnie. Musiał zająć Delphiego rozmową jeszcze przez dłuższą chwilę.

- Jest pan szalony - stwierdził spokojnie. - W imię przetrwania od wielu lat popełnia pan masowe morderstwa. Proszę uprzejmie oszczędzić mi starych, wyświechtanych frazesów o komunizmie i imperializmie. Jest pan anachronizmem i niczym więcej. Pański gatunek wyszedł z mody razem z towarzyszem Marksem. Siedzi pan w podziemiu przez pół wieku i nie jest pan na bieżąco.

Po raz pierwszy udało mu się naruszyć maskę, którą była twarz Delphiego. Mężczyzna zaczerwienił się, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- Filozoficzne rozważania dobre są dla ignorantów, majorze. A za kilka minut pański punkt widzenia, który przyznaję, jest chwilami denerwujący, przestanie obiektywnie istnieć.

Na dany znak jeden ze strażników zniknął w łazience, skąd wkrótce dotarł szum wody płynącej do wanny. Pitt poruszył rękami, ale niewiele to dało - więzy były ciasne. Musiał je zakładać fachowiec, bo nie dały się poluznić. Nie były jednak na tyle ciasne, by wrzynać się w skórę i pozostawić podejrzane pręgi na nadgarstkach.

Nagle zeszywniał - otoczył go słodki choć słaby zapach plumerii. Szóstym zmysłem wyczuł, że w pokoju znalazł się jeszcze ktoś: Summer.

Delphi wskazał na śpiącą Adrienne. Drugi z jego ludzi wyjął z kieszeni niewielkie etui, a z niego strzykawkę. Zdjął osłonę, uniósł brzeg sukienki i bez ceregieli wbił igłę w krągły pośladek. Dziewczyna drgnęła, westchnęła, zmarszczyła brwi i po paru sekundach uspokojona zasnęła ponownie. Pomocnik Delphiego sprawnie złożył instrumenty, schował etui i wziął nieprzytomną dziewczynę w ramiona, czekając na rozkazy.

- Obawiam się, że musimy się pożegnać, panie Pitt.

- Odchodzi pan przed finałem?

- Niestety, niewiele będzie do oglądania i przyznam, że niezbyt mnie to interesuje.

- Nie zdoła jej pan wynieść z hotelu.

- Mamy wóz w podziemnym garażu. Jest to dość dyskretny sposób wchodzenia czy wychodzenia, z którego, jak wiem, pan również korzystał - odparł spokojnie olbrzym i skinął na mężczyznę trzymającego Adrienne. Gdy Delphi był już w progu, Pitt wrzasnął: - Ostatnie pytanie, nie może mi pan tego odmówić! Olbrzym zawahał się, po czym z niechęcią odwrócił się i spojrzał pytająco na Dirka.

- Dziewczyna, która nazywa się Summer. Kim ona jest?

Delphi uśmiechnął się złośliwie.

- Moją córką, majorze. Żegnam.

- Proszę pozdrowić ode mnie Kanoli - odparł Dirk, zagrywając swoją ostatnią kartę.

Rysy Delphiego stężały. Przez chwilę jakby wahał się, ale po sekundzie wzruszył ramionami i wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą.

Pitt poczuł ogarniające go zwątpienie i rezygnację. Nie udało mu się zatrzymać Delphiego, nie udało mu się zapobiec porwaniu Adrienne i zapewne nie uda mu się zapobiec własnej śmierci. Nie mógł już nic zrobić. Bezsilność doprowadzała go do rozpacz. Z łazienki wyszedł właśnie jeden z napastników, skinął głową drugiemu. Drugi strażnik odłożył broń i podszedł do Pitta, starając się zachować obojętny wyraz twarzy.

Dirk dostrzegł zbliżającą się pięść nieco zbyt późno, by całkowicie się uchylić. Zdołał jedynie skłonić głowę na piersi, dzięki czemu cios, który miał trafić go w szczękę, wylądował na czubku głowy, przewracając go razem z krzesłem. Upadł, pociągając za sobą zasłonę oddzielającą pokój od dużego, wychodzącego na balkon okna. Z trudem powstrzymał ogarniającą go falę ciemności. Pokój powoli przestał wirować, a kontury przedmiotów znów nabrały ostrości. Pitt zauważył, że napastnik klęczy na dywanie i jęczy głośno, trzymając się za nadgarstek. Ze złośliwą satysfakcją Dirk stwierdził, że ból rosnącego na głowie guza musi być niczym w porównaniu z bólem złamanej kości i powykręcanych stawów strażnika.

Znieruchomiał, czując z tyłu dłoń dotykającą jego związanych rąk. Poczuł, że czyjaś ręka rozcina więzy, ale nie zmienił położenia ramion. Aromat plumerii owiał go niczym ciepła bryza. Naraz poczuł w prawej dłoni rękojeść noża. Lekko poruszył dłońmi, sprawdzając, czy nie zdrętwiały lub zeszywniały. Na szczęście były w pełni sprawne.

Strażnik przestał jęczeć i zaczął na kolanach przesuwać się w jego kierunku. Jego współnik w łazience nie zdawał sobie sprawy z zaistniałej sytuacji, gdyż szum wody zagłuszał wszystkie odgłosy. Twarz klęczącego wykrzywiła wściekłość zmieszana z bólem. Dotarł do krzesła i ujął leżącą na nim broń. Natychmiast wymierzył w Pitta, ostrożnie wkładając złamaną rękę za koszulę. Nienawiść, która nim owładnęła, była tak silna, że kazała zapomnieć mu o poleceniach szefa o upozorowaniu przypadkowej śmierci Dirka. Pitt oblał się zimnym potem. Strażnik był zbyt daleko, by ryzykować

rzut nożem. Broń mogła być źle wyważona, a chybienie celu oznaczało pozbycie się tej niespodziewanej szansy. Odległość nie stanowiła natomiast problemu dla pocisku, który dotarłby do celu, zanim on zdołałby wykonać ruch. Przeciwnik tymczasem nie spuszczał z niego wzroku, pełną wcięż na kolanach. Dirk zmusił się do spokojnego oczekiwania, mając nadzieję, że strażnik przysunie się na tyle blisko, by atak miał szansę dosięgnąć celu. Potrzebował odległości nie większej niż trzy stopy, bo pierwsze uderzenie musiało być skuteczne. Na drugie nie będzie ani czasu, ani okazji.

Odległość powoli malała. Strażnik wciąż przesuwiał pistolet: to mierzył w głowę, to w serce, a czasami, ze złośliwym uśmieszkiem, w krocze. Dla Pitta był to trening cierpliwości. Strażnik był już prawie w jego zasięgu i Dirk zmusił się do odczekania jeszcze paru chwil. To, że napastnik naciśnie guzik przy pierwszym jego ruchu, było pewne. Najskuteczniejszą bronią Pitta było zaskoczenie; nadal trzymał ręce tak, jakby były związane, sprawiając wrażenie bezbronnej i przerażonej ofiary.

Mężczyzna przybliżył się jeszcze o pół stopy i wtedy Pitt skoczył. Lewą ręką uderzył w dłoń trzymającą pistolet, wytrącając go z linii strzału i ignorując syk pocisku, który przemknął mu koło ucha. Prawą zatoczył krótki łuk. Ostrze rozcięło gardło klęczącego, dławiąc agonalny krzyk głośnym syknięciem powietrza uchodzącego przez rozciętą tchawicę. Sekundę później na dywan chlusnęła fontanna krwi, rozpryskując się na ściany, na Pitta i na wszystko wokół. Oczy strażnika rozszerzyły się, ciało drgnęło i osunęło się powoli na podłogę.

Przez moment Pitt stał sparaliżowany widokiem martwego mężczyzny. Wreszcie podniósł z podłogi broń zabitego i pospiesznie ruszył w stronę łazienki, z której dochodziło brzęczenie maszynki do golenia. Drugi strażnik przygotowywał narzędzie egzekucji. Dirk posuwając się wzdłuż ściany, nie spuszczał wzroku z drzwi do łazienki.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Pitt zaskoczony tym niespodziewanym dźwiękiem znieruchomiał. Strażnik wbiegł do pokoju. Spostrzegłszy zwłoki towarzysza leżące w kałuży krwi, zamarł na chwilę. Broń trzymał w opuszczonej ręce. Spojrzał na Dirka w niemym osłupieniu.

- Rzuć broń i nie ruszaj się! - polecił Pitt.

Przez chwilę strażnik stał nieruchomo, zastanawiając się, co zrobić. Pukanie powtórzyło się, tym razem bardziej natarczywie. To pobudziło go do działania: skoczył w bok, unosząc broń. Kula wystrzelona przez Pitta trafiła go prosto w serce. Runął bezwładnie na podłogę i znieruchomiał.

Pitt pozostał na miejscu, nie ruszając się i słuchając uderzeń w drzwi. Czegoś brakowało, o czymś zapomniał, ale umysł nie pracował sprawnie. Ostatnie parę minut dawało znać o sobie... Nagle przyszło olśnienie.

Summer!

Dwoma skokami dotarł do okna i rozsunął zasłony. Nie było za nimi nic prócz okna. Gorączkowo przeszukał pokój i sypialnię - nic. Balkon! Musiała tu dostać się w ten sam sposób co oni. Balkon był pusty, ale przywiązana do balustrady lina wyjaśniała wszystko. „Uciekła tą samą

drogą, co przedtem” - pomyślał.

Na jednym z wyplatanych foteli stojących w rogu balkonu zobaczył mały kwiatek - plumerię o białych płatkach wewnątrz zabarwionych na żółto. Oglądał go pod światło niczym rzadki okaz motyla. Córka Delphiego? Ciekawe, jak to możliwe.

Stał na balkonie z kwiatem w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Patrzył na błyszczącą, pomarszczoną błękitną powierzchnię oceanu. W tym czasie ludzie Huntera wyłamali drzwi i wpadli do apartamentu.

ROZDZIAŁ 13

- Panie Pitt... - Atrakcyjna, młoda kobieta w mundurze WAVE zawahała się. - Admirał oczekuje pana.

Pitt spojrział na nią uważnie, przyjrzał się następnie pozostałym kobietom w takich samych uniformach siedzącym bez ruchu na swoich stanowiskach w bunkrze. Dostrzegł w ich oczach rodzaj podziwu zazwyczaj rezerwowany dla gwiazd filmowych. Poczł czysto egoistyczne samozadowolenie.

- Wszyscy jesteśmy dumni, że jest pan z nami. - Panienska spuściła oczy i zarumieniła się. - To, czego pan dokonał...

- Jak stary przyjął porwanie córki? - przerwał, za wszelką cenę starając się zmienić temat.

- To twardy chłop - odparła po prostu.

- Jest u siebie?

- Nie, sir. Oczekują pana w sali konferencyjnej. Pokażę drogę.

Podążył więc za nią, nie zadając więcej pytań. Okazało się, że w ścianie bunkra było wejście prowadzące do krótkiego korytarzyka z parą drzwi po każdej stronie. Dziewczyna zapukała do pierwszych po prawej, uchyliła je, zapowiedziała Pitta i gdy wszedł, zamknęła je cicho za nim.

W pomieszczeniu były cztery osoby. Dwie z nich znał. Hunter podszedł żwawym krokiem i uściśnął mu dłoń. Wyglądał starzej i sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

- Dzięki Bogu, że jest pan bezpieczny - oznajmił ciepło. Pitt był zaskoczony, słowa admirała były szczere. - Jak noga?

- Przeżyję. - Spojrzał Hunterowi w oczy i powiedział cicho: - Przykro mi z powodu kapitana Cinany... i Adrienne. To była moja wina. Gdybym pomyślał zamiast czekać...

- Nonsens! Tego nie można było przewidzieć. Dostał pan dwóch z tych drani. To musiała być niezła walka.

Zanim Pitt zdołał odpowiedzieć, jego prawica znalazła się w uścisku Denvera.

- Dobrze cię znów widzieć - rzekł komandor, klepiąc go w plecy. - Wyglądasz jak zwykle buńczucznie i niebezpiecznie, ale do tego już przywykłem.

- Wyglądam raczej jak psu z gardła wyjęty - mruknął Pitt. - Trzydzieści minut snu na dobę nie służy mojej delikatnej naturze.

- Przykro mi z tego powodu, ale zaczyna nam brakować czasu - wtrącił Hunter. - Jeśli naprawdę szybko nie podniesiemy „Starbucka”, to możemy go na dobre spisać na straty. Za ten czas, którym dysponujemy, należą się panu podziękowania. Zatopienie dziobowego przedziału torpedowego było genialnym posunięciem.

- Sternik „Marthy Ann” był pewien, że skończymy, płacąc z pensji za uszkodzenia - odparł Pitt.

Hunter uśmiechnął się kącikiem ust.

- Proszę usiąść, ale najpierw chciałbym, aby poznał pan doktora Elmera Chryslera, szefa działu badań Tripler Hospital.

Pitt podał dłoń niskiemu i drobnemu mężczyźnie, który uściśnął mu rękę z siłą obcęgów. Doktor był ogolony na zero i nosił gigantyczne okulary w rogowej oprawie, zza których spoglądały przenikliwe oczy. Uśmiechał się szeroko.

- A to doktor Raymond York, szef Departamentu Geologii Morskiej w Eaton School of Oceanography - dodał Hunter.

York nie wyglądał na geologa. Przypominał raczej kierowcę ciężarówki albo flisaka. Był wysoki oraz szeroki w barach. Pitt ledwo powstrzymał uśmiech, wymieniając potężny uścisk dłoni.

Hunter wskazał na krzesło i rzekł:

- Chcielibyśmy usłyszeć od pana historię utraty statku i walki w hotelu.

Dirk odprężył się i spróbował zmusić umysł do logicznego uporządkowania wydarzeń i do przedstawienia ich z pewnej perspektywy. Wiedział doskonale, że obserwują go uważnie i że zależy im na najdrobniejszych nawet szczegółach, które zdoła sobie przypomnieć.

- Nie spiesz się i nie denerwuj, gdy będziemy ci przerywać pytaniami - dodał Denver.

Pitt skinął głową i zaczął powoli:

- Myślę, że tak naprawdę to się zaczęło, w chwili gdy odkryliśmy nagle wznoszące się dno i to w miejscu, w którym mapy zupełnie tego nie wykazywały.

Dalej poszło już gładko. Gdy mówił, obaj naukowcy robili notatki, a Denver obsługiwał magnetofon. Pytania padały rzadko i starał się na nie odpowiedzieć najlepiej jak umiał, co nie zawsze się udawało. Jediną rzeczą, którą pominął, był udział Summer w porannej walce. Zełgał, że zanim został związany, zdołał ukryć nóż, który stale nosił przy sobie. Nie wzbudziło to niczyich podejrzeń.

- Co panowie sądzicie o tym typku Delphim? - spytał Hunter, zdejmując celofan z kolejnej paczki papierosów. - Jak dotąd kontakt majora był jedynym, który mieliśmy z osobnikami

odpowiedzialnymi za całe to zamieszanie.

- Mógłby pan opisać go jeszcze raz, najdokładniej jak pan potrafi? - spytał Pitta Chrysler, pochylając się nad notesem.

- Prawie sześć stóp i osiem cali wzrostu, proporcjonalnej budowy ciała, pociągła twarz, siwe włosy o odcieniu srebrzystym, no i żółte oczy, najbardziej zwracające uwagę w całej postaci.

- Żółte? - Chrysler zmarszczył brwi.

- Tak, żółte. Można powiedzieć, że prawie złote.

- Niemożliwe - sprzeciwił się lekarz. - Albinos mógłby mieć oczy czerwone o lekko pomarańczowym odcieniu. Niektóre choroby mogą odbarwić je na zielonkawożółto, ale czysta żółć, a tym bardziej złoto, nie występuje w przyrodzie. Po prostu tęcza nie zawiera takiego pigmentu.

York przysłuchiwał się w milczeniu, bawiąc się wyjętą z kieszeni fajką.

- Najdziwniejsze w tym wszystkim jest - odezwał się, gdy zapadła cisza - że rzeczywiście był ktoś taki. Olbrzym o żółtych oczach.

- Wyrocznia Jedności Psychiczej - szepnął Chrysler. - Oczywiście! Doktor Frederick Moran.

- Nie przypominam sobie tego nazwiska - wtrącił Hunter.

- Moran był jednym z największych antropologów tego stulecia, do chwili gdy został opanowany wizją całkowitego wyniszczenia gatunku ludzkiego w wyniku rozwoju cywilizacji zmierzającej według niego do nieuchronnej zagłady. Prawdopodobnie przy użyciu broni nuklearnej.

- Doskonały, ale egocentryczny umysł - przytaknął York. - Zniknął na morzu około trzydziestu lat temu.

- Wyrocznia delfijska - stwierdził Pitt, nie kierując tych słów do nikogo z obecnych.

Jedynie Denver zrozumiał, o co mu chodzi.

- Naturalnie! Imię Delphi pochodzi od wyroczni w starożytnej Grecji.

- Niemożliwe - sprzeciwił się Chrysler. - Ten człowiek nie żyje.

- Naprawdę? - spytał Pitt. - A może on odnalazł swoje Kanoli?

- To brzmi jak hawajskie Shangrila - uśmiechnął się Hunter.

- Może i jest. - Dirk w skrócie opisał ostatnie spotkanie z George'em Papaaloo.

- Nadal trudno mi uwierzyć, by ktoś taki jak Moran po prostu zniknął dobrowolnie na taki szmat czasu i nagle pojawił się ponownie jako morderca i porywacz - stwierdził York.

- Czy ten Delphi powiedział coś, co pomogłoby go zidentyfikować? - spytał Chrysler.

- Stwierdził, że moja inteligencja znacznie ustępuje inteligencji reprezentowanej przez Lavelle i Roblemanna, choć nie wiem, kim byli ci dżentelmeni - rzekł Pitt.

Chrysler i York spojrzeli wymownie na siebie.

- Przedziwne - odezwał się po chwili geolog. - Lavella był fizykiem specjalizującym się w hydrologii.

- A Roblemann znanym chirurgiem. - W oczach Chryslera nagle zabłysło zrozumienie. - Zanim zmarł, eksperymentował nad mechanicznymi skrzelami dla ludzi. - Zamilkł, wstał i podszedł do stojącego w kącie pojemnika. Nalał sobie kubek wody i wypił duszkiem, po czym wracając na miejsce, dodał: - Jak prawdopodobnie wszyscy obecni wiedzą, podstawowym celem każdego systemu oddechowego jest uzyskanie tlenu niezbędnego dla życia organizmu i wydalanie trującego dwutlenku węgla. Tak u zwierząt, jak i u ludzi płuca wiszą swobodnie wewnątrz klatki piersiowej i muszą być napełniane powietrzem i wypróżniane. Kiedy powietrze jest już w płucach, tlen jest wychwytywany przez pęcherzyki płucne i dostaje się do krwiobiegu. U ryb cały proces polega na pobieraniu zawartego w wodzie tlenu, który zostaje zatrzymany w skrzelach składających się z wielu drobnutkich włókienek. Tam też wydalany jest dwutlenek węgla. Urządzenie, które Roblemann jakoby stworzył, było kombinacją skrzeli i płuc, chirurgicznie przyczepioną do piersi i połączoną z organizmem wewnętrznymi liniami przesyłowymi tlenu.

- Brzmi niewiarygodnie - zauważył Hunter sceptycznie.

- Owszem - zgodził się Dirk. - Ale to wyjaśnia, dlaczego żaden z napastników nie miał akwalungu i dlaczego aparatura wykrywająca traktowała ich jak ryby: byli prawie całkowicie zbudowani z białka, bez śladów metalu.

- Urządzenie to pozwalało ponoć człowiekowi przebywać pod wodą około trzydziestu minut - dokończył Chrysler.

- Może to nie jest dobre na długi czas, ale i tak jest o niebo lepsze od targania butli na plecach, tak jak to dziś robimy - mruknął Denver.

- Wiecie, panowie, co się stało z tymi dwoma osobnikami? - spytał Hunter.

- Zmarli dawno temu. - Chrysler wzruszył obojętnie ramionami.

- Archiwum? Tu Hunter - powiedział admirał do interkomu. - Chcę wszystko, co macie na temat śmierci naukowców o nazwiskach Roblemann i Lavella. Podajcie do sali konferencyjnej, jak tylko ustalicie. - Wyłączył interkom i spojrział pytająco na Yorka. - No to jest jakiś punkt zaczepienia.

Doktorze York, co pan może powiedzieć o obszarze hawajskiego wiru jako geolog marynista?

York wyjął z walizeczki kilka map, które starannie rozłożył przed sobą, zanim zabrał głos.

- Przesłuchanie ocalałych operatorów z „Marthy Ann” i komandora Bolanda przebywającego aktualnie w szpitalu oraz majora Pitta, nasuwa mi tylko jeden wniosek. Hawajski wir to nic innego jak dotychczas nie odkryta podwodna góra.

- Jak to możliwe, że dotąd nie została odkryta? - spytał Denver.

- Nie jest to takie niezwykle, gdy weźmie się pod uwagę, że góry na lądzie odkrywano do połowy lat czterdziestych naszego wieku, a dziewięćdziesiąt osiem procent dna morskiego nadal czeka na porządne skatalogowanie - odparł geolog.

- Czy większość podwodnych gór i wzniesień to nie pozostałości wulkanów? - spytał Pitt.

York nabił fajkę.

- Górę można opisać jako izolowane wzniesienie dna, okrągłego kształtu, z dość stromymi brzegami i ograniczonym obszarem szczytu. Natomiast jeśli chodzi o pańskie pytanie, to istotnie większość jest pochodzenia wulkanicznego, ale doradzałbym ostrożność przy formułowaniu wniosków do chwili przeprowadzenia specjalistycznych badań tego konkretnego wzniesienia. - Ubił starannie tytoń i zapalił, otaczając się kłębamii wonnego dymu. - Jeżeli założymy, że legenda o Kanoli zawiera ziarno prawdy i że wyspa wraz z mieszkańcami zapadła się pod powierzchnię morza w wyniku katastrofy, to skłaniałbym się raczej do teorii, że spowodowane to zostało trzęsieniem ziemi, a nie aktywnością wulkaniczną. Jak widać na mapie, to wzniesienie leży w obrębie strefy pęknięcia Fullertona i jest bardzo prawdopodobne, że duża aktywność sejsmiczna mogła spowodować najpierw wypiętrzenie, a potem opadnięcie szczytu o kilkaset stóp. Okres przerwy mógł wynosić i tysiąc lat. Po czym przy następnych ruchach mógł się ponownie podnieść. - Przez chwilę wpatrywał się zamyślony w ścianę, jakby na niej rozgrywał się proces, o którym właśnie opowiadał. - Informacja o stopniu nachylenia zbocza i niższej temperaturze wody wokół szczytu także potwierdza tę teorię - kontynuował. - Zimna, pochodząca z głębin woda często bowiem zostaje wypchnięta o tysiące stóp w górę, w wyniku ulatniania się gazów ze szczelin w dnie. To z kolei tłumaczyłoby nieobecność koralowców, które nie mogą egzystować w temperaturze niższej niż siedemdziesiąt stopni.

Hunter przez chwilę wpatrywał się w opadły z papierosa popiół. Zmiotł go dłonią z blatu i spytał:

- Ponieważ napastnicy, którzy weszli na pokład „Marthy Ann” musieli mieć jakąś bazę, a z całą pewnością nie był to statek czy okręt nawodny bądź podwodny, czy możliwe jest, aby bazą tą był pobliski szczyt?

- Nie rozumiem - odparł York zaskoczony.

- Sonar wykrył tylko zatopione wraki, radar nie wykrył nic. Pozostawia to tylko dwie możliwości: baza jest albo to wzniesienie, albo wykopany w dnie system jaskiń.

- Byłbym za systemem jaskiń - wtrącił Pitt. - Zaatakowało nas prawie dwustu ludzi. Zapewnienie dla takiej liczby osób stałego miejsca do życia wymagałoby sporego podwodnego miasta, które łatwo dałoby się wykryć. Natomiast jaskinie wcale nie muszą być wryte w dnie, mogą mieścić się we wnętrzu wzniesienia.

- No to sprawa jasna - mruknął Hunter.

Chrysler, od dłuższej chwili opierający brodę na złączonych dłoniach i w milczeniu przysłuchujący się dyskusji, spytał nagle:

- Mówił pan, majorze, że gdy mgła otoczyła statek, poczuł pan woń eukaliptusa?

- Zgadza się.

- Ciekawe - mruknął Chrysler. - Może to brzmieć zaskakująco, ale to również potwierdza teorię jaskiń w zboczu góry.

- Dlaczego? - zdumiał się Hunter.

- Olejek eukaliptusowy od wielu lat używany jest w Australii do oczyszczania powietrza w kopalniach. Wiadomo też, że zmniejsza on wilgotność w zamkniętych pomieszczeniach.

Rozległ się brzęczyk interkomu. Hunter podniósł słuchawkę i słuchał nie przerywając. Na jego twarzy malował się wyraz satysfakcji.

- Lavella i Roblemann zaginęli wraz ze statkiem badawczym „Explorer” - oznajmił - wycarterowanym przez Pisces Metals Company na wyprawę zajmującą się geologią dna na dużych głębokościach pod kątem ewentualnej działalności wydobywczej. „Explorer” odpłynął z Wysp Hawajskich...

- Około trzydziestu lat temu - wpadł mu w słowo Denver, podnosząc wzrok znad rozłożonych przed nim wydruków. - Był pierwszą oficjalną ofiarą hawajskiego wiru.

- Założę się, że na pokładzie był też doktor Frederick Moran - szepnął Pitt.

- Najprawdopodobniej będący szefem wyprawy - uzupełnił Chrysler.

- Elementy układanki zaczynają do siebie pasować - zauważył York, odchylając się z krzesłem i spoglądając w sufit. - Wiele wysp, na których żyli krajowcy, jest dosłownie podziurawionych przez jaskinie, korytarze, świątynie i tym podobne. Kopano je głównie w celach religijnych. Jeżeli wzgórze owo było wulkanem i zatoneło w wyniku erupcji, to naturalnie nic by po nich nie zostało. Ale jeżeli jest to pozostałość wyspy, która osunęła się pod wodę w wyniku przesunięć skorupy ziemskiej, to

prawdopodobnie większość jaskiń pozostała nienaruszona.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zniecierpliwiał się Hunter.

- Lavella był hydrologiem, a jest to, proszę panów, nauka zajmująca się zachowaniem wód cyrkulujących na lądzie, w powietrzu i pod powierzchnią. Mówiąc krótko, Lavella był jednym z niewielu ludzi, którzy trzydzieści lat temu byli w stanie zaprojektować działający system zdolny wypompować do sucha wodę z podwodnego kompleksu jaskiń.

Hunter wpatrywał się uparcie w naukowca, ale ten nie powiedział nic więcej. Admirał zabębnił palcami w blat i wstał.

- Doktorze York, doktorze Chrysler, bardzo nam panowie pomogliście. US Navy jest dłużnikiem panów... Teraz natomiast, jeśli moglibyście nam wybaczyć...

Obaj cywile wymienili z oficerami pożegnalne uściski dłoni i wyszli. Pitt podszedł do wielkiej mapy wiszącej na przeciwległej ścianie. Mimo ciągłych zmian pozycji, ścierpł od siedzenia na drewnianym krześle. Ostatnie parę minut spędził z niemiłym uczuciem siedzenia na szpilkach.

- W końcu wiemy, z kim mamy do czynienia - rzekł Denver.

- Zastanawiam się - odparł Pitt, wpatrując się w czerwone kółko zakreślone prawie na środku mapy. - Zastanawiam się, czy tak naprawdę kiedykolwiek będziemy to wiedzieli.

Cztery godziny później Pitt wyrwał się z okowów snu i otworzył oczy. Jego wzrok napotkał parę zgrabnych, damskich nóg znajdujących się na wprost jego twarzy. Nogi były opalone i odziane w nylonowe pończochy, co natychmiast sprawdził, przesuwając po nich dłonią. Ziewnął potężnie i przeciągnął się.

- Proszę przestać! - pisnął poirytowany, damski głos. Dziewczyna w mundurze WAVE była zgrabna, młoda i zaskoczona.

- Przepraszam, musiałem się jeszcze nie obudzić - odparł z uśmiechem.

Zarumieniła się, odruchowo poprawiając spódniczkę i wbijając wzrok w podłogę.

- Nie chciałam pana budzić. Myślałam, że pan już wstał i przyniosłam kawę. - Zrobiła łobuzerską minę. - Ale widzę, że nie potrzebuje pan niczego na rozbudzenie.

- Pani jest najlepszym środkiem pobudzającym dla kogoś będącego w tak kiepskiej formie jak ja.

- Naprawdę? A na jaką to chorobę pan cierpi?

- Och, na sporo, ale można zacząć od niewyżycia.

Rzuciła mu prowokacyjne spojrzenie i odparła:

- Przykro mi, ale admirał Hunter nie toleruje wykorzystywania swego gabinetu do prywatnych celów. Lepiej mu powiem, że doszedł pan do siebie.

Z przyjemnością obserwował jej figurę, gdy szła w kierunku wyjścia. Usiadł na sofie, która służyła mu za łóżko. Przy okazji rozejrzał się, sprawdzając, co się zmieniło w pokoju przez ostatnie cztery godziny. Widać było, że Hunter nie próżnował: popielniczka była pełna po brzegi, a biurko i podłoga wokół niego zasłane były papierami i mapami. Odruchowo sięgnął po papierosy, ale kieszenie były puste. Wzruszył więc z rezygnacją ramionami i chwycił kubek z kawą. Była gorąca i gorzka. Gdy wszedł Hunter, Pitt był już zupełnie rozbudzony.

- Przepraszam za nagłe zakończenie drzemki, ale sporo się w tym czasie wydarzyło - oznajmił admirał.

- Jak na przykład to, że znaleźliście nadajnik.

- Jak na dopiero obudzonego, to przejawia pan zadziwiającą spostrzegawczość - szepnął Hunter, unosząc brwi.

- Logiczne rozumowanie, nic więcej.

- Samolot rozpoznawczy znalazł go po dwóch godzinach. Trzystustopowa antena nie jest łatwa do ukrycia.

- Gdzie on jest?

- Na wyspie Maui, na terenie starych obiektów wojskowych z okresu drugiej wojny. Zostały zbudowane w odległym zakątku wybrzeża jako centrala sterowania ogniem artylerii brzegowej i po wojnie opuszczone. Sprawdziliśmy i okazało się, że kilkanaście lat temu te obiekty zostały sprzedane...

- Pisces Metals Company - dokończył Pitt.

- Kolejny logiczny wniosek? - skrzywił się z uśmiechem admirał.

Dirk skinął głową.

- Wie pan, że „Martha Ann” powinna dopływać właśnie do portu? - Tym razem Hunter nie powstrzymał się od złośliwego uśmiechu, widząc zaskoczenie rozmówcy.

- Jak to możliwe, że napastnicy nie zdołali zniszczyć mechanizmu autopilota? Czasu przecież mieli dość - zdziwił się Pitt.

- Teoretycznie. W praktyce włączyłem go, podając kurs na Honolulu, zaraz po pańskim pierwszym meldunku z helikoptera. Zniszczenie tego systemu nie jest proste; najpierw trzeba

wiedzieć, gdzie on jest, a potem trzeba się doń dostać. To nie przecięcie kilku kabli czy rozbicie jakiegoś obwodu scalonego. „Martha Ann” została bowiem zaprojektowana właśnie na taką ewentualność. Biorąc pod uwagę to, czym się zajmujemy, szansę, że ktoś będzie chciał przechwycić statek, są spore. Maszynownia i kabina nawigacyjna zostają automatycznie odcięte drzwiami, które podobnie jak reszta ścian wykonane są ze specjalnego stopu. Żeby się przez nie przebić, potrzeba minimum dziesięciu godzin. Komputer kierujący sterem usytuowany jest tuż przy nim, tak że unieruchomienie klasycznego systemu sterowania nic nie da. Zanim intruzi uporają się z zabezpieczeniami, statek zdoła dotrzeć na wody międzynarodowe, gdzie czeka już na niego komitet powitalny US Navy. Dziś o świcie sprawdzono statek, zrobili to ludzie z SEAL dostarczeni helikopterami. Następnie tą samą drogą dotarła załoga. Przy okazji uratowaliśmy starego rybaka. Pierwsza maszyna dotarła akurat wówczas, gdy statek taranował sampana. Zdążyli na chwilę przed rekinami.

- A co ze „Starbuckiem”?

- Spisany na straty. - Hunter starał się, by jego głos brzmiał obojętnie, ale nie bardzo mu się to udało. - W Pentagonie zdecydowano, że szkoda ludzi, a ryzyko uruchomienia którejś z rakiet na jego pokładzie jest zbyt duże. Wybrano całkowite zniszczenie: jutro o piątej rano fregata USS „Monitor” odpali raketę klasy Hyperion dokładnie tam, gdzie wznosi się ten podwodny szczyt odkryty przez pana. Resztki wydobędziemy, gdy wszystko się uspokoï.

- Marnotrawstwo - sapnął Pitt.

- Zgadzam się całkowicie. Zaproponowałem atak SEAL i odbicie okrętu, ale przegłosowano mnie. Wyznają widać zasadę, że lepiej przesadzać niż żałować i boją się, że Delphi zdoła złamać zabezpieczenie odpalania pocisków. Gdyby tak się stało, to mógłby zniszczyć, co mu się podoba prawie na całej kuli ziemskiej.

- Cholernie skomplikowana procedura. Musiałby nie tylko znaleźć sekwencję startu, ale również przeprogramować dane celu, aby zaatakować cokolwiek poza terenem Rosji.

- Bardziej boją się, że dowie się, jak to robić niż że rzeczywiście wyśle gdzieś raketę - dodał Hunter.

- Nie zgadzam się z tym tokiem rozumowania. Miał je do dyspozycji nie niepokojony przez nikogo przez sześć miesięcy. Gdyby wiedział, jak to zrobić, to nie wierzę, by nie skorzystał z okazji do małego szantażu atomowego. To najlepszy dowód, że nie złamał żadnego z zabezpieczeń.

- Ma pan prawdopodobnie rację, ale mam konkretne rozkazy i nic nie mogę na to poradzić.

Pitt spojrzał na niego przeciągle.

- Czy Pentagon wie o porwaniu Adrienne?

- Nie widzę sensu mieszać spraw prywatnych ze służbowymi - odparł ciężko admirał.

- Jeżeli jest wraz z Delphim na tej podwodnej wyspie i uda się ją odnaleźć przed piątą rano...

- Wiem, o czym pan myśli: złapać go i po kłopotcie. Pomysł dobry, ale bez szans na sukces. Niestety, zapewne oboje są tam, gdzie pan myśli.

- Nie ma pan pewności?

- Pewności nie mam, ale wszystko na to wskazuje. Sprawdziliśmy wszystkie samoloty na wyspie i znaleźliśmy wodnopłatowiec zarejestrowany na firmę Pisces Metals Company. Otoczono miejsce jego cumowania, ale o dwie godziny za późno. Świadkowie widzieli olbrzyma i ciemnowłosą dziewczynę wsiadających do niego przed startem. Zdjęcia z satelity zwiadowczego ukazują maszynę w pobliżu pozycji „Starbucks”. Na następnych, wykonanych w czasie kolejnej sesji fotograficznej, nigdzie go nie ma.

- Więc chyba rzeczywiście są tam oboje - przyznał Pitt.

Hunter przytaknął ruchem głowy, nie odzywając się.

- Zniszczenie okrętu i bazy we wnętrzu góry jest poważnym błędem - stwierdził Dirk, siadając przy biurku. - Praktycznie nie wiemy niczego konkretnego ani o Delphim, ani o tym całym przedsięwzięciu. Wszystko to tylko domysły. Logiczne i uzasadnione, ale tylko domysły. Może mieć inne bazy rozsiane po świecie, może być przykrywką dla działań obcego rządu, może mieć załogę „Starbucks” jako zakładników. Jest zbyt wiele wątpliwości i pytań bez odpowiedzi, by tak po prostu ryzykować wysadzenie wszystkiego w diabły. Proszę mi podać jeden rozsądny powód, dla którego mamy tu tkwić jak para durniów i pozwolić, by banda przemądrzalców siedząca sobie siedem tysięcy mil stąd, dyktowała, co mamy robić i to na podstawie analiz komputerowych czy tego, co dowiedzieli się od nas. Z góry uprzedzam, że rozkaz nie jest dla mnie żadnym rozsądnym powodem. Powinniśmy...

- Wystarczy! - Głos admirała nagle stwardniał. - Wykonam rozkazy i radzę panu uczynić to również.

- Nie wykonam. - Głos Pitta był cichy, ale nie pozostawiający cienia wątpliwości. - Odmawiam biernego uczestnictwa w popełnieniu głupoty, podczas gdy mogę zrobić coś, by do tego nie dopuścić.

W swojej trzydziestoletniej karierze w US Navy Hunter nie spotkał podwładnego w stopniu oficerskim, który spokojnie i z logicznym uzasadnieniem odmówiłby wykonania rozkazu i prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, jak ma zareagować.

- Każę pana zamknąć, aż pan nie otrzeźwieje. - Było to jedyne, co mu przyszło do głowy.

- Niech pan spróbuje - poradził mu zimno Pitt. - Rację mam ja, a to co pan powiedział, nie jest żadnym argumentem. Jeżeli zniszczymy Delphiego czy Morana, czy jak go tam nazwać, a w okolicy zaginie kolejny statek, to znów zaczniemy się zastanawiać i nigdy nie będziemy mieli pewności. A

jeżeli zaginie ich parę, to będziemy musieli wszystko zaczynać od początku, nie mając żadnego punktu zaczepienia poza nie dającą spokoju pewnością, że popełniliśmy błąd.

Hunter spoglądał na niego, jakby śnił. Dwadzieścia lat temu mógłby się znaleźć na miejscu Pitta, stawiając karierę za pewność, że ma rację. Poddawanie okrętu bez walki było czymś zupełnie sprzecznym z tradycjami Navy, które wpajano mu od pierwszego dnia w Akademii, a przecież nigdy nie musiał się zastanawiać, czy wykonać jakiś rozkaz. Wykonywał je zawsze, choć kilka razy zastanawiał się potem, czy nie lepiej byłoby odmówić ich wypełnienia. Teraz istniała szansa... niewielka i prawie beznadziejna, ale istniała. I wtedy przypomniała mu się ponownie opinia Sandeckera o siedzącym naprzeciwko mężczyźnie i zdecydował się.

- Dobrze, majorze - oświadczył z determinacją w głosie, powstając z fotela. - Niech będzie, jak pan chce. To nas może drogo kosztować, ale konsekwencjami służbowymi zajmiemy się później. Tylko lepiej by było, gdyby pański plan okazał się dobry.

Pitt odprężył się.

- Należy przed piątą rano wykonać dwie rzeczy: umieścić na pokładzie „Starbucka” szkieletową załogę zdolną go doprowadzić na czas do stanu używalności oraz wysłać oddział marines, żeby zakończyli działalność radiostacji na wyspie.

- Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Mamy mniej niż piętnaście godzin.

Przez długą chwilę Dirk milczał. Gdy odezwał się, głos miał obojętny i pewny, a w twarzy nie drgnął mu ani jeden mięsień.

- Jest sposób. Będzie kosztował parę groszy, ale ma więcej niż pięćdziesiąt procent szans na powodzenie.

Po czym zaczął wyjaśniać szczegóły. Gdy skończył, Hunter nadal pełen wątpliwości udzielił niechętnie zgody, wiedząc, że pozwala na szaleństwo. Poza tym był przekonany, że nie usłyszał pełnej wersji planu.

ROZDZIAŁ 14

Przestarzały samolot Douglas C-54 stał na początku pasa startowego skierowany nosem ku wstędze czarnego asfaltu obramowanej lampami pozycyjnymi. Skrzydła i kadłub wibrowały w takt pracy czterech silników, których śmigła cięły powietrze cichej i spokojnej nocy. Nagle stary samolot drgnął i nabierając szybkości, zaczął kołować po asfalcie, błyskając odbiciem lamp w aluminiowym poszyciu. Rozbieg był długi, ale w końcu maszyna oderwała się od ziemi i weszła w łagodny zakręt wokół Diamond Head, kierując się na północ.

Siedzący w kokpicie Pitt zmniejszył obroty silników, sprawdził przyrządy i zadowolony pokiwał głową: maszyna była stara, ale doskonale utrzymana i nie powinna sprawić kłopotów.

- Miałem cię zapytać, asie przestworzy, czy kiedykolwiek wodowałeś na pełnym morzu nie przystosowanym do tego celu samolotem? - doleciało z fotela drugiego pilota, gdzie spoczywał krępy mężczyzna z potężną klatką piersiową i szerokimi barami.

- Ostatnio? Nie przypominam sobie.

Mężczyzna wbił dłonie w czarne, kręcone włosy i jęknął:

- Boże, dlaczego znowu dałem się zrobić w balona? - Po czym nagle uspokoił się i błyskając białą wspaniałego użębienia, rzucił w stronę Pitta: - Przypuszczam, że to dlatego, że mam tak miękkie serce i wszyscy to wykorzystują.

- Nie wciskaj mi kitu - warknął Dirk. - Znam cię od przedszkola i wiem, że wcale tak nie jest.

Al Giordino opadł w fotel z urażoną miną.

- Naprawdę? A co z tymi paroma tygodniami, kiedy tyrałem jak głupi osioł, sprzedając kwiatki na ulicy, żeby zaprosić na tańce w szkole tę uroczą blondynkę?

- Właśnie, co?

- Jezu, to jest tupet... Właśnie, co? - sparodiował głos Pitta. - Łachudra! Kiedy przyszliśmy na zabawę, powiedziałaś jej, że mam syfa i przez resztę wieczoru nie chciała nawet na mnie spojrzeć!

- A tak, pamiętam - zachichotał Pitt. - Nawet nalegała, żebym ją odprowadził do domu. Wspaniałe ciało i bardzo towarzyska. Naprawdę szkoda, że się nie dogadaliście.

Twarz Giordino wyrażała osłupienie.

- Szarmancka łajza! - sapnął. - Przez ciebie siedzę w tej trumnie, robiąc wycieczkę w jedną stronę do piekła, i jeszcze się ze mnie nabijasz?

Roześmiali się. Poświata rzucana przez podświetlone instrumenty nadawała ich twarzom niesamowity wyraz. Obaj znali się od dawna i od dawna się przyjaźnili. Kończyli te same szkoły w tym samym roku i często umawiali się z tymi samymi dziewczynami. Al był niewysoki - pięć stóp i cztery cale, o oliwkowej cerze odziedziczonej, podobnie jak czarne kędziory, po włoskich przodkach. Stanowili dokładne przeciwieństwo tak w wyglądzie, jak i w usposobieniu, lecz doskonale do siebie pasowali. Był to zresztą główny powód, dla którego Pitt, gdy zgodził się na pracę w NUMA, zastrzegł sobie, że Al będzie jego zastępcą. Ich eskapady, które częstokroć przyprawiały admirała Sandeckera o ból głowy, były słynne zarówno w firmie, jak i poza nią.

- Czy dowódca lotniska Hickam nie będzie trochę poirytowany, gdy stwierdzi, że rąbnęliśmy jego osobistą maszynę dyspozycyjną? - zainteresował się Giordino.

- Zwariuje ze szczęścia. Ledwie rozbijemy ten zabytek, czym prędzej wystąpi oficjalnie o przydział nowego odrzutowca transportowego.

Al gwizdnął, a po chwili jęknął marzycielsko:

- Mieć własny samolot... Taki na przykład B-17 z królewskim łóżem i barem na całą ścianę.

- I pewnie pokryłbyś znaki US Air Force króliczkami z „Playboya”?

- Niegłupi pomysł - ucieszył się Al. - W nagrodę pozwalałbym ci od czasu do czasu go pożyczać. Naturalnie za niewielką opłatą.

Pitt zrezygnował z dalszej dyskusji. Spojrzał przez boczne okno na widniejące w dole morze. Waśnie mijali jakiś frachtowiec płynący na północny wschód ku San Francisco. Na czarnej jak atrament tafli oceanu nie było widać pieniących się fal. Spokojne morze było najlepsze do wodowania, ale też bardzo utrudniało właściwą ocenę wysokości.

- Daleko jeszcze do twojej nowej zabawki? - spytał Al.

- Pięćset mil.

- Przy tempie, do jakiego zmuszasz tego dziadka, to będziemy tam za niecałe dwie godziny. - Giordino oparł stopy o deskę rozdzielczą, usiłując się wygodniej usadowić. - Mamy stałą wysokość dwunastu tysięcy stóp. Kiedy chcesz zacząć zniżanie?

- Za mniej więcej godzinę i czterdzieści minut. Założę się, że mają radar i nie chciałbym zrezygnować z niespodzianki, którą powinna stanowić nasza obecność.

Giordino gwizdnął przeciągle.

- Wychodzi na to, że powinniśmy trafić przy pierwszym podejściu - mruknął.

- Amen. Bo drugiego może nie być.

- Może się uda, jeśli ten podwodny nadajnik nie przestanie działać. - Al pochylił się, patrząc uważnie na jeden z zegarów na tablicy.

Pitt przyjrzał mu się również. Był to radionamiernik nastawiony na częstotliwość nadajnika, który Boland zostawił przy wraku. Poprawił lekko kurs, by igła uspokoiła się dokładnie w oznaczonym miejscu i poinformował towarzysza:

- Sygnał powinien być tym mocniejszy, im bliżej będziemy.

- Ty się martw, żeby posadzić nas nie dalej jak pięćset jardów od niego, a Selma Snoop już nas poprowadzi dalej. - Giordino poklepał czule niewielkie, błękitne pudełeczko w wodoszczelnym opakowaniu; była to bateryjna wersja radionamiernika przymocowana do skórzanego paska.

- Sprawdziłeś ją chociaż?

- Działa - zapewnił cierpliwie Al. - Już ci mówiłem, posadź nas pięćset jardów od nadajnika, a ja doprowadzę wycieczkę do „Starbucka”.

Pitt uśmiechnął się uspokojony. Pomimo niefrasobliwej pozy Al był perfekcjonistą. Dał mu znak i zdjął dłonie ze sterów, które Giordino przejął w milczeniu. Dirk nieco zesztywniały wstał z fotela i wszedł do kabiny pasażerskiej.

W pluszowym komforcie osobistego samolotu generała dowodzącego główną bazą lotnictwa na Hawajach siedziało dwudziestu mężczyzn. Była to najprawdopodobniej najbardziej zrezygnowana dwudziestka w promieniu kilkuset mil. Co prawda wszyscy zgłosili się na ochotnika pociągnięci wizją przygody, ale było to na ziemi, a nie dwanaście tysięcy stóp nad wodą. Ubrani byli w gumowe kombinezony płetwonurków i rozpięli suwaki prawie do pępka, by umożliwić dostęp świeżego powietrza. Pocenie się w tym stroju, co wiedział z własnego doświadczenia, nie należało do przyjemności. Za fotelami spoczywały rozmaitego kształtu pakunki przywiązane do kółek w podłodze, a na samym końcu leżały dobrze osłonięte i przymocowane akwalungi.

Blondyn o skandynawskich rysach siedzący najbliżej drzwi do kabiny pilotów, spojrzał na Pitta i uśmiechnął się smutno.

- Czyste szaleństwo. - Komandor porucznik Samuel Crowhaven sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. - Taka obiecująca kariera na okrętach podwodnych wyrzucona w diabły z powodu katastrofy lotniczej na środku oceanu.

- To naprawdę nie takie trudne - uspokoił go Pitt. - Trochę trudniejsze od parkowania po pijanemu we własnym garażu, ale tylko trochę. Nie ma sensu dramatyzować.

Zaskoczony Crowhaven zmarszczył brwi.

- Trochę trudniejsze... Pan chyba żartuje!

- Posadzenie tego pudła na wodzie to moja sprawa, zgoda? Na pańskim miejscu niepokoiłbym się tym, co będzie później.

- Ja tam jestem zwykłym inżynierem w stopniu oficera - odparł niewzruszenie komandor. - I nie zamierzam się bawić w komandosa. To nie moja branża.

- Przyrzekłem posadzić was bezpiecznie, a Al obiecał doprowadzić was do okrętu. - Głos Pitta był cichy, ale wyraźny. - Dalej to już wasz cyrk i wasze małpy.

- Jest pan pewien, że okręt jest suchy?

- Już to przerabialiśmy, ale powtórzę, by pana uspokoić. Gdy go opuszczałem, był suchy, poza przednim przedziałem torpedowym.

- Jeśli nikt tam nie grzebał, będę w stanie wypompować wodę z tego przedziału i uruchomić okręt w ciągu czterech godzin.

- Ma pan na to cztery i pół godziny, co zostawia tylko pół godziny marginesu.

- Niewiele, ale powinno starczyć. To i tak nie zmienia faktu, że jest to czyste szaleństwo.

- Zdaje pan sobie naturalnie sprawę, że możecie być zmuszeni, by wywalczyć sobie drogę do wnętrza okrętu?

- Już powiedziałem, że nie jestem komandosem. Dlatego zaprosiłem do współpracy zawodowców. - Crowhaven wskazał kciukiem za siebie na ostatni rząd foteli. - Wszyscy mi zawsze mówili, że nie ma to jak ludzie z SEAL.

Pitt spojrział na pięciu mężczyzn wskazanych przez podwodniaka - pełen zespół oddziałów uderzeniowych US Navy. Ich wygląd wzbudzał szacunek, w przeciwieństwie do reszty byli spokojni. Siedzieli odprężeni, a dwóch nawet spało. Widać było, że mieli stalowe nerwy. Przeszli szkolenie do walki w każdych warunkach i zazwyczaj przy przewadze przeciwnika.

- A pozostali? - Pitt przeniósł wzrok na Crowhavena.

- Podwodniacy. Niewielu jak na okręt tej wielkości, ale jeśli ktoś zdoła doprowadzić „Starbucka” do Pearl Harbor, to właśnie oni. Oczywiście przy założeniu, że przynajmniej jeden reaktor jest na chodzie. Jeśli musielibyśmy zaczynać od uruchomienia reaktora, to nie ma żadnej możliwości, żeby zdążyć na czas.

- Jeden działa - uspokoił go Pitt, nadrabiając miną.

W rzeczywistości nie było sposobu przewidzieć ani stanu, w jakim w tej chwili był „Starbuck”, ani tego, czy reaktor nadal funkcjonował. Istniała nawet poważna wątpliwość, czy okręt nadal jest na miejscu, chociaż prawdopodobieństwo, że tamci zdołali go gdzieś przesunąć, było

niewielkie. Jedyne co mogli zrobić, to czekać i mieć nadzieję.

- Gdybyście mieli problemy i nie zdołali go ruszyć do czwartej trzydziści, to zbierajcie się w diabły. Lepiej popływać trochę, zanim helikoptery was znajdą niż siedzieć w puszcze, z której niewiele zostanie - przypomniał.

- Nie jestem bohaterem - uspokoił go podwodniak. - Nie musi się pan martwić o to, czy będę dbał o własną skórę.

Pitt poklepał go po ramieniu i wrócił do kokpitu.

Admirał Hunter po raz dwudziesty w ciągu ostatniej godziny spojrzął na zegarek i nerwowo zduśli niedopałek w wypełnionej do połowy popielniczce. Wstał i nerwowo podszedł do mapy rozwieszanej na jednej ze ścian głównej sali bunkra, po czym odwrócił się do Denvera siedzącego w niedbalej pozie z nogami na oparciu krzesła. Komandor ani na moment nie zwiódł Huntera obojętnym wyrazem twarzy, admirał wiedział, że Denver jest równie zdenerwowany jak on sam. Gdy w głośniku rozległ się głos Pitta, komandor poderwał się na nogi.

- Tatusiu, tu Dzieciak, słyszycie mnie? Over.

Hunter i Denver pochyłili się nad radiotelegrafistą niczym para wygłodniałych sępów.

- Tu Tatuś. Słyszę cię doskonale. Over.

- Zbliżam się do flagi, załoga gotowa. Over.

Znaczyło to, że lecą już na minimalnym pułapie i zaczynają ostatni etap lotu przed wodowaniem w pobliżu pozycji „Starbucka”.

- Do zobaczenia w... - głos zamilkł w pół zdania.

- Dzieciak, tu Tatuś. Odezwij się. Over. - Hunter wyrwał operatorowi mikrofon.

W głośniku panowała cisza. Dopiero po dłuższej przerwie odezwał się znacznie silniejszy i nieco zniekształcony głos:

- Tatusiu, przepraszam za przerwę. Jakie są polecenia? Over.

Hunter i Denver spojrzeli na siebie i nagle pobladli.

- Polecenia? - powtórzył wolno Hunter. - Oczekujesz na polecenia?

- Tak, proszę podawać. Over.

Wolno, jakby w transie, admirał odłożył mikrofon i wyłączył nadajnik.

- Jezu, mają nas - stwierdził mechanicznie.

- To nie był Pitt - rzekł zmienionym głosem Denver. - Radiostacja Delphiego musiała namierzyć transmisję. Zagłuszyli Pitta i władowali się na naszą częstotliwość.

Hunter powoli opadł na fotel.

- Nigdy nie powinienem był się zgodzić na ten wariacki plan - westchnął. - Teraz nie ma sposobu, żeby Crowhaven zdołał się z nami skontaktować z pokładu „Starbucka”.

- Może nadawać kodem przez komputer szyfrujący - podsunął Denver.

- Nie może - zirytował się admirał. - Zapomniał pan, że dopiero po tym rejsie mieli zainstalować go na „Starbucku”. Mogą używać tylko radia i dopóki komandosi nie załatwią tego nadajnika, to Delphi może słuchać i włączać się w każdą transmisję. Nawet jeśli nie zdaje sobie sprawy z tego, co planujemy, to będzie wiedział wszystko, zaledwie Crowhaven zacznie nadawać...

- I zaatakuje okręt albo rozwali go na kawałki - zakończył Denver.

- Niech ich Bóg ma w opiece. - Głos Huntera był ledwie słyszalny. - Bo to jedyne, na co mogą liczyć.

Pitt wściekłym ruchem zerwał słuchawki i rzucił je na podłogę.

- Skurwiel nas zagłuszył - warknął. - Jeżeli Delphi domyśli się, co jest grane, to zorganizuje nam tak gorące powitanie, że lepiej nie myśleć.

- To cudowne uczucie wiedzieć, że ma się takich przyjaciół jak ty - stwierdził Giordino.

- Szczęściarz. - Na twarzy Pitta nie było tym razem uśmiechu. - Myślę, że Hunter modli się teraz, żebyśmy przerwali misję.

- Nic z tych rzeczy - sprzeciwił się zupełnie poważnie Al. - Przeceniacie tego żółtookiego kłowna. Założę się o skrzynkę porządnego trunku, że załatwimy, co mamy załatwić i znikniemy, zanim mu do głowy przyjdzie, że miał przyjemność z dwoma największymi złodziejami okrętów podwodnych na Pacyfiku.

- Skoro tak twierdzisz...

- Pomyśl logicznie: nikt zdrowy na umyśle nie wpadłby na pomysł, by dobrowolnie rozbijać całkiem dobry samolot, wodując na pełnym morzu i to w środku nocy... Naturalnie poza tobą, ale to przypadek kliniczny. Delphi myśli pewnie, że jesteśmy kolejnym lotem zwiadowczym i do rana niczego nie będzie podejrzewał.

- Lubię cię za ten nieustający optymizm.

- Mama zawsze mówiła, że to u nas rodzinne.

- A co z naszymi pasażerami?

- Nikt ich tu nie prosił, to raz. Teraz pewnie spisują testamenty, to dwa. A trzy, to dlaczego chcesz sprawić im zawód?

- Niech będzie, lecimy dalej. - Dirk popukał w wysokościomierz, którego strzałka płasko leżała na poziomie ziemi. Strzałka nie drgnęła, włączył więc reflektor lądowiskowy. W jego świetle, o kilkanaście stóp poniżej, widać było powierzchnię morza przesuwaną się z prędkością dwustu siedemdziesięciu mil na godzinę. Pitt wzruszył ramionami, założył inne słuchawki i przysłuchiwał się uważnie. - Sygnały z markerów zbliżają się do maksymalnego poziomu - oznajmił. - Lepiej zajmijmy się przygotowaniami do lądowania, a raczej wodowania.

Giordino westchnął, leniwie odpiął pasy i podszedł do stanowiska mechanika pokładowego. Wziął z półki listę i podał Dirkowi.

- Poczytaj, a ja sprawdzę.

Lista składała się z zestawu czynności, które należało wykonać i spisu wskaźników, które należało sprawdzić przed zakończeniem lotu. Pitt odczytywał kolejne pozycje:

- Poziom mieszanki?

- W normie.

- Zawór zbiornika skrzydłowego i dopalacze?

- Zamknięty i wyłączone.

- To wszystko. - Pitt wyrzucił listę przez ramię, a gdy spadła z szelestem na podłogę, dodał: - Nikt już nie będzie jej potrzebował.

Giordino pochylił się nad przyrządami i wyjrzał przez szybę.

- Gwiazdy przed dziobem na horyzoncie gasną - prawie krzyczał, by Dirk zdołał go usłyszeć przez słuchawki.

- Mgła. - Pitt skinął głową.

Parę minut później zobaczyli na horyzoncie siną smugę. Pitt zmniejszył szybkość do stu dwudziestu mil.

- I oto magiczna chwila - szepnął, spoglądając przelotnie na Ala. Na twarzy Giordino nie było śladu strachu.

Są ludzie, których w chwilach niebezpieczeństwa trzeba prowadzić za rękę. Innych poraża groza, jeśli nie słyszą słów otuchy lub rozkazu. Giordino nie był żadnym z nich. Razem z Pittem pasowali do siebie jak dwa trybiki tej samej maszyny i każdy instynktownie zdawał sobie sprawę z zamiarów drugiego.

- Wsuń kłapy o czterdzieści stopni i idź do kabiny pasażerskiej. Zachowuj się jak znudzony konduktor w autobusie, może ich to uspokoi.

- Postaram się o najlepsze ziewnięcie, jakie mam w repertuarze. - Al przesunął dźwignie kłap i wstał. - Tymczasem, do zobaczenia po kąpielu.

Wiał boczny wiatr, który Pitt musiał skompensować przyrządami. W świetle reflektorów widać było przybliżającą się powierzchnię morza. Lepiej byłoby wodować bez tej iluminacji, ale było to zbyt ryzykowne. Pozostały jeszcze trzy mile. Musiał posadzić maszynę dokładnie przed mgłą i pozycją markera, by wytraciła rozpęd dokładnie nad celem, a nie poza nim. Zredukował szybkość do stu pięciu mil na godzinę.

- Spokojnie, tylko mnie teraz nie zawieź - wyszeptał, nie zdając sobie sprawy, że myśli na głos.

Musiał uważać, by samolot znalazł się idealnie równolegle do powierzchni morza. Gdyby któreś ze skrzydeł opadło niżej i dotknęło wody, to... Łagodnie zniżył maszynę, próbując wylądować w zagłębieniu fal. Chciał wykorzystać pochyłość fali dla zmniejszenia kąta lądowania. Gdy maszyna po raz pierwszy zetknęła się z powierzchnią morza, śmigła wzniosły fontanny wody. Odgłos przypominał uderzenie pioruna, był jednak znacznie głośniejszy. Przymocowana do grodzi gaśnica zerwała się i uderzyła w tablicę przyrządów, przelatując ponad ramieniem Pitta i o cale mijając głowę. Samolot odbił się od powierzchni niczym wprawnie rzucony płaski kamień, przeleciał kilkadziesiąt jardów i ponownie osiadł na wodzie, ryjąc dziobem w fali i zatrzymując się przy akompaniamencie rozgłośnego plusku.

Pitt spojrział przez ociekającą wodą szybę. Udało się! Sprowadził maszynę w całości i teraz samolot łagodnie kołysał się na falach. Mógł unosić się na wodzie kilkanaście minut lub nawet kilka dni w zależności od tego, jakich uszkodzeń doznał kadłub przy lądowaniu. Zatoniecie w ciągu kilku najbliższych minut im nie groziło, a więcej czasu nie potrzebowali. Odetchnął z ulgą, dopiero teraz dostrzegając, że baterie wytrzymały uderzenie i awaryjne oświetlenie kabiny działało. Wyłączył reflektory i oświetlenie tablicy - nie było już potrzebne. Rozpiął pasy i skierował się do kabiny pasażerskiej.

Tym razem ludzie byli znacznie bardziej pewni siebie niż wówczas, gdy ich widział ostatnio. Podwodniacy powitali go owacją. Zespół SEAL nie tracił czasu na bzdury: sprawdzali po raz ostatni broń, a dwóch otwierało właśnie wyjście awaryjne z tyłu kadłuba.

- Ładne widowisko. - Giordino uśmiechnął się szeroko. - Sam bym tego lepiej nie zrobił.

- W twoich ustach brzmi to jak komplement najwyższej klasy - odparł Pitt, przechodząc do tyłu

i chwytając akwalung.

- Jak długo samolot utrzyma się na powierzchni? - spytał Crowhaven.

- Sprawdziłem luk bagażowy - odparł Al, pomagając Pittowi założyć butle. - Jest tylko niewielki przeciek.

- Nie powinniśmy wybić jakiejś dziury czy coś takiego? - zastanowił się oficer. - Żeby szybciej poszedł na dno?

- Nie byłoby to zbyt rozsądne - mruknął Pitt z naganą w głosie. - Gdy Delphi odkryje opuszczony samolot czy to na powierzchni, czy na dnie, to pierwszym skojarzeniem będzie kraksa. Pomyśli, że odpłynęliśmy na tratwach ratunkowych. Dlatego cały sprzęt ratunkowy zostawiłem na lotnisku. To nie powinno przez pewien czas wzbudzić jego podejrzeń, a poza tym zacnie nas szukać najpierw na powierzchni. Dziury w kadłubie wybite od wewnątrz przekreślą z punktu ten optymistyczny plan.

- Muszą być łatwiejsze sposoby, aby zostać admirałem - stwierdził z nadzieją Crowhaven.

- Kiedy uruchomicie okręt, skontaktujcie się z Hunterem na częstotliwości tysiąc dwieście pięćdziesiąt kiloherców - ciągnął Pitt, ignorując tę uwagę.

- To normalna częstotliwość rozgłośni radiowych! Federalna Komisja Łączności może mi narobić niezłego bigosu za używanie tego pasma.

- I pewnie to robi - przyznał Pitt - ale Delphi ma system podsłuchowy, który nie przestanie działać do czasu ataku marines. Już nas namierzył i zagłuszył na uzgodnionej ze starym częstotliwości. To pasmo to jedyna szansa. Wątpię, by Delphi chciał grzebać w paśmie nadawania radia, jeżeli w ogóle ma je na podsłuchu. Komisją Łączności będziemy się martwić, jak dożyjemy szczęśliwie do następnego południa.

- Nie myślałem, że z ciebie taki cwaniak - przyznał z podziwem Giordino.

- Lepiej żeby była to prawda; w przeciwnym wypadku będziemy w nielichych kłopotach. - Dirk założył płetwy i maskę, sprawdził regulator i wyrztał na zewnątrz. Fale zaczynały przelewać się przez krawędzie skrzydeł, a maszyna nabierała lekkiego przechyłu na nos. - Jesteś gotów z tym swoim magicznym pudełkiem? - spytał Ala.

- Zawsze i wszędzie, sir - odparł służbiście Giordino, pokazując wodoszczelną skrzynkę. - Jedziemy.

- Najwyższy czas. Pokaż, co potrafisz.

Giordino siadł na podłodze plecami do otworu, założył starannie ustnik, opuścił maskę, pomachał zebrany, po czym przewrotem przez plecy runął w morze. Za nim, już bez machania,

podążyła para z SEAL, Crowhaven i podwodniacy oraz pozostali członkowie oddziału specjalnego. Pitt spojrział w morze, gdzie rozbłysnął właśnie rząd lamp, gdy każdy z płetwonurków skierował promień latarki na plecy poprzednika, by nie zgubić się w czasie nurkowania. Zadowolony skinął głową.

Pitt został sam. Rozejrzał się po kabinie niczym ktoś wyjeżdżający na weekend i z uśmiechem wyłączył światło.

ROZDZIAŁ 15

Nad głową Pitta zamknęła się ciepła i mroczna woda. Momentalnie włączył latarkę i rozluźnił ciało, pozwalając mu swobodnie opadać. Krąg światła odnalazł plecy poprzedniego nurka oddalone o około trzydzieści jardów. Nurek nawet nie odwrócił głowy, by sprawdzić, czy Dirk jest na miejscu. Zasada była prosta: następny miał pilnować poprzednika i miejsca w szyku. Pittowi przyszło nagle do głowy, że zajęcie ostatniego miejsca w linii nie było wcale najlepszym pomysłem. Otaczała go ciemność, w której wyobraźnia widziała doskonałe miejsce do ukrycia dla morskich potworów i drapieżników. Co kilka sekund rozglądał się, oświetlając wodę wokół, ale w zasięgu wzroku byli tylko jego współtowarzysze.

Uczucie osaczenia osłabło nieco, gdy dotarli do dna. Ludzki umysł zachowywał się znacznie spokojniej, mając jakiś punkt odniesienia. Przestraszona ośmiornica przemknęła Pittowi przed maską, znikając w jednej z rozpadlin - był to pierwszy żywy mieszkaniec głębin, którego napotkał od momentu zanurzenia. Skały rozstały się po chwili, ukazując piaszczyste podłoże i czarny kształt, po którym przesuwają się światła latarek.

USS „Starbuck” wyglądał dokładnie tak jak w chwili, gdy go opuszczał parę dni temu. Pitt zamachał gwałtownie płetwami i mijając szereg nurków, dotarł do Ala, złapał go za ramię i zajrzał w głąb maski. Zobaczył szeroki uśmiech i zadowolone oblicze. Czym prędzej odczepił od pasa tabliczkę i podsunął Crowhavenowi z wiadomością: Tu się rozłączamy, powodzenia. Crowhaven skinął głową. Zaczął rozdzielać ludziom zadania. Każdemu ruchowi towarzyszyło płynne falowanie blond włosów.

Pięciu ludzi, w tym dwóch z SEAL, miało wejść przez otwarte wyrzutnie dziobowe i zakręcić zawory, które pracowicie odkręcali nurkowie z „Marthy Ann”. Reszta prowadzona przez pozostałych komandosów miała wejść przez rufowe wyjście awaryjne i dotrzeć do stanowiska dowodzenia, likwidując po drodze każdą próbę oporu.

Podwodniacy przestali się bać, teraz nie było na to czasu. Poza tym mieli konkretne zajęcia, do których potrzebowali zarówno umiejętności, jak i zimnej krwi. Ci z przodu zniknęli równocześnie z pierwszą grupą na rufie, pozostałe dwie grupy weszły do komory ewakuacyjnej tak szybko, jak to tylko było możliwe. Pitt zamknął właz za ostatnią piątką i poczekał, aż usłyszał szum wypychanej wody. Następnie zapukał trzykrotnie trzonkiem noża w kadłub. Prawie natychmiast odpowiedziały trzy stłumione stuknięcia z wewnątrz sygnalizujące brak oporu i problemów. Podpłynął do dziobu, gdzie cała operacja powtórzyła się z tą różnicą, że dźwięk był cichszy z powodu zalania przedziału torpedowego. Gdy odpływał, zaczynały się zamykać zewnętrzne kłapy wyrzutni.

Stał poprzednią wiadomość i napisał: Wejście jest gdzieś tutaj. 18 minut. Podstawił ją pod nos towarzysza. Al skinął głową - wiadomość była jasna: mieli tlenu na osiemnaście minut poszukiwań oraz minimalną rezerwę na dotarcie do „Starbucka”. Potem zaczynała się podróż w jedną stronę. Pitt stuknął go w ramię i skręcił w prawo. Al ruszył jego śladem. Popłynęli przez mrok

rozświetlony jedynie blaskiem ich latarek. Nie musieli zapamiętywać punktów orientacyjnych - nie było na to czasu. Najlepszym w tym przypadku przewodnikiem był kompas, który Pitt miał na lewym nadgarstku.

Podjęcie ryzyka, gdy widzi się otoczenie i poruszanie się z narażeniem życia w ciemnościach, w nieznanym terenie i to pod wodą - to dwie różne sprawy. Największym pragnieniem Dirka było zawrócić i znaleźć się w bezpiecznym wnętrzu okrętu. Jedyne, co go powstrzymywało, to wspomnienie nadziei w oczach Huntera, gdy admirał usłyszał ocenioną wersję planu. Serce łomotało mu jak po zażyciu LSD, ale nie zawrócił.

Ponure rozmyślenia przerwał mu widok kolejnej ofiary hawajskiego wiru wynurzającej się z mroków przed nimi. Burty nie były w najmniejszym stopniu obrosnięte, farba lśniła czystością. Znaczyło to, że wrak był świeży. Zaskoczyło go to. Od czasu zaginięcia „Starbucka” nie było bowiem meldunków o żadnej nowej katastrofie, a widniejący przed nim statek nie był ani małą, ani starą czy zaniedbaną jednostką. Jak to możliwe, że nikt nie zauważył, iż nie przybył na czas do portu przeznaczenia? Statek osiadł na równej stepce, jakby odmawiał zaakceptowania losu, który go spotkał. Przepłynęli wzdłuż opustoszałego pokładu, stwierdzając, że kiedyś był to pełnomorski, duży trawler. Nadbudówki lśniły białą farbą i najeżone były imponującym zestawem anten, masztów i czujników elektronicznych.

Jak dotąd nie było śladów ludzi Delphiego, ale chcąc uniknąć niemiłych niespodzianek, Pitt gestami nakazał Ałowi, by pozostał na zewnątrz i miał oko na otoczenie, a sam zabrał się za przeszukanie mostka i sterówki. Giordino zniknął pod prawym skrzydłem mostka, gasząc latarkę i trzymając się w pobliżu nadbudówki. Momentalnie zlał się z mrokiem, który otaczał wrak.

Pitt wpłynął do sterówki przez otwarte drzwi i znieruchomiał, uderzony pustką rozświetloną przez blask latarki. Pomieszczenie zdawało się dziwnie obco urządzone. Kątem oka dostrzegł przezroczystego węża wijącego się pod sufitem. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie wąż, lecz strumień wydychanych przez niego bąbelków, który unosił się do góry i znikał w szczelinie, szukając najprostszej drogi na powierzchnię.

Nie wiedział dokładnie, co spodziewał się znaleźć, ale to co zobaczył, pozostało w jego pamięci na długo. Mapy poruszone jego pojawieniem się, falowały na stole nawigacyjnym nadal sztywne w dotyku, zupełnie jakby je zamoczono dopiero wczoraj. Koło sterowe samotnie sterczało przy oknie, miedziane okucia lśniły, a igła kompasu wiernie wskazywała jakiś zapomniany już kurs. Strzałki telegrafu maszynowego znieruchomiały na zawsze na pozycji STOP... Pochylił się nagle nad telegrafem - coś tu nie pasowało. Litery były z pewnością drukowane i z pewnością nie angielskie. Przyglądał im się dłuższą chwilę, po czym podpłynął do kompasu i oświetlił przykręconą nad tarczą, brązową plakietkę z nazwą statku. Była na miejscu, ale odcyfrowanie jej zabrało mu chwilę. Jego znajomość rosyjskiego ograniczała się do mniej niż dwudziestu słów, zdołał jednak przeczytać nazwę statku: „Andriej Wyborg”.

Tak więc radziecki statek szpiegowski odnalazł w końcu „Starbucka”, ale tylko po to, by spocząć w jego pobliżu. Na ciąg dalszy refleksji o kolejach losu nie miał czasu, gdyż właśnie w tym

momencie coś stuknęło go lekko w łopatkę.

Każdy, nawet najbardziej doświadczony zawodowy nurek czy płetwonurek mający na koncie zejścia na duże głębokości oraz wypadki, które cudem jedynie nie skończyły się śmiercią, przyzna, że największe przerażenie, jakie może spotkać kogoś pod wodą, wywołuje niespodziewane dotknięcie w plecy czegoś nieznanego. Dirk wiedział o tym, ale doświadczył tego po raz pierwszy. Musiał przyznać temu twierdzeniu całkowitą rację. Po długiej jak wieczność sekundzie, gdy nie był w stanie poruszyć ręką ani nogą, obrócił się gwałtownie, a raczej spróbował to zrobić, gdyż gwałtowne ruchy na głębokości stu sześćdziesięciu stóp są niemożliwe, i oświetlił latarką przestrzeń, którą chwilę wcześniej miał za plecami.

Światło padło na twarz mężczyzny. Twarz była przerażająco wykrzywiona i nienaturalna - zęby połyskiwały w otwartych ustach, a prawe oko prawie wychodziło z oczodołu. W miejscu lewego znajdował się niewielki krab, do połowy zagrzebany w oczodole i spokojnie kontynuujący posiłek. Trup chwiał się niczym pijany pajac, machając rękami poruszonymi przez wodę w całkowicie przypadkowym rytmie; stwarzało to przerażające wrażenie. Zwłoki unosiły się cztery stopy nad podłogą i teraz ponownie podpływały do przerażonego Pitta.

Zbliżanie się upiornego gospodarza zatopionego statku przełamało barierę strachu, który obezwładnił Dirka na dłuższą chwilę. Gwałtownym pchnięciem posłał trupa w tył ku drzwiom prowadzącym w głąb nadburcia. Nieboszczyk powoli zniknął w mroku. Pitt przez kilkadziesiąt sekund uspokajał się i wyrównywał oddech. Widząc zjawę, wstrzymał go odruchowo i dopiero gdy zdołał się poruszyć, zaczął ponownie nabierać i wydychać powietrze. Przez moment wydawało mu się nawet, że czuje odór rozkładającego się ciała, zanim rozsądek nie wziął góry nad wyobraźnią.

Niczego więcej i tak nie zdołałby odkryć w tak krótkim czasie, jaki miał do dyspozycji, a kolejne spotkania z martwymi członkami załogi zupełnie go nie interesowały, postanowił więc wycofać się z wraku. Wyrzwał, dając znak Alowi nadal ukrytemu pod skrzydłem mostka, że pora wracać, gdy obaj usłyszeli odległy szum. Czym prędzej przepłynęli do sterówki, gasząc latarki i zamarli w bezruchu poniżej okna. To co usłyszeli, było szumem elektrycznego motoru zbliżającego się z każdą chwilą. Po kilku sekundach dostrzegli blask reflektora.

Z początku pojazd przypominał przedpotopowego mieszkańca głębin, gdy jednak zbliżył się, spostrzegli sztuczną konstrukcję w kształcie morświna z horyzontalnym ogonem na rufie służącym do sterowania. Na tym podwodnym miniokręcie siedziało okrakiem dwóch ludzi z zielonymi przepaskami na biodrach. Siedzący z przodu miał przed sobą stery. Pojazd napędzany niewielką śrubą płynął z szybkością około pięciu węzłów i kierował się prosto ku mostkowi radzieckiego statku.

Obaj nurkowie przywarli do ściany, ale nie byli w stanie wstrzymać oddechów. Bezradnie obserwowali chmury bąbelków wypływające ku górze prosto przed dziobem zbliżającego się pojazdu. Dobyli noże w oczekiwaniu na nieuchronną konfrontację. Strumyki powietrza zdradzały ich obecność i nie mogli temu zapobiec.

Pojazd opłynął przedni maszt i zbliżył się do sterówki, oświetlając jej wnętrze reflektorem. Pitt sprężył się do skoku. Jedyłą szansą było trafić pierwszym pchnięciem. Zdawał sobie sprawę, że najlepsze nawet ostrze rzadko jest równym partnerem dla broni miotającej.

W ostatnim momencie pojazd uniósł się gwałtownie, przecinając strumyki powietrza i znikając nad dachem nadbudówki. Odgłos motoru oddalał się stopniowo i prawie równocześnie przygasło światło, pogrążając ich w mroku. Gdy silnik i uderzenia śruby zamilkły zupełnie, Giordino włączył latarkę i wzruszył pytająco ramionami. Pitt powoli zaczynał rozumieć, czemu zawdzięczają ocalenie: „Andriej Wyborg” był świeżym wrakiem i nie pozbył się jeszcze całego powietrza zamkniętego w kadłubie. W rozmaitych miejscach wzdłuż burt i nadbudówki unosiły się mniejsze i większe wężyki pęcherzyków i te pochodzące z ich akwalungów zostały po prostu uznane przez wartowników za jedne z wielu. Wraki często przez całe lata pozbywają się powietrznych kieszeni, o czym wiedzą wszyscy doświadczeni nurkowie.

Dirk postukał w szkło zegarka i wskazał kierunek, w którym oddalił się pojazd. Al skinął potakująco i obaj wypłynęli ze sterówki, kierując się w stronę dna, by użyć skał i roślinności jako osłony, a następnie podążyli w kierunku wskazanym przez Pitta.

Gdy czarny kadłub statku nikał za nimi, Pitt spojrzał za siebie na tę masę nieruchomego żelastwa, która nie wypłynie już nigdy w rejs. Amerykanie dowiedzą się, gdzie spoczywa, ale Rosjanie nie zostaną o tym poinformowani; tego był pewien. Takie były zasady rządzące międzynarodowymi intrygami zwanymi potocznie polityką. Czarny kształt zlał się z tłem i Pitt wrócił myślami do rzeczywistości.

Dno zaczęło się wznosić. Zwiększyli czujność i płynęli ostrożnie, chroniąc się w załomach pofałdowanej skalnej ściany. Woda była zimna, znacznie zimniejsza niż powinna być w tych rejonach, ale tak daleko jak sięgał ich wzrok, czyli w zasięgu świateł latarek nie było widać absolutnie niczego, co mogłoby wskazywać na ludzką działalność.

Zanim się spostrzegli, minęło owe magiczne osiemnaście minut i pozostali bez szansy powrotu na okręt. Teraz mogli jedynie płynąć do przodu i starać się odnaleźć wejście do siedziby Delphiego, zanim skończy się rezerwa tlenu. Jeżeli poszukiwania zakończą się niepowodzeniem, pozostanie im jedynie jedno wyjście: wypłynąć na powierzchnię morza i mieć nadzieję, że fala uderzeniowa powstała po wybuchu rakiety nie zabije ich.

Nagle zmieniła się temperatura wody - stała się zdecydowanie wyższa, według oceny Pitta przynajmniej o pięć stopni. W chwili, gdy sobie to uświadomił, poczuł, że wzdłuż stoku ruszył podwodny prąd podnoszący z dna chmury piasku i wyginający podwodne trawy. Prąd dotarł do obu nurków i popchnął ich ponad dnem niczym huragan.

Dirk dotąd uniknął przejażdżki na linie za samochodem jadącym przez wertepy, ale po tym doświadczeniu wiedział już, jakie są odczucia ofiary wleczonej właśnie w ten sposób. Prąd pchnął go w zarośla ostrej trawy morskiej, obrócił nim i posłał prosto na wystającą skałę pokrytą porostami i muszlami. Pitt próbował się ich przytrzymać, ale porosty pozostały mu w dłoniach, a krawędzie

muszli tylko pocięły kombinezon. Kolejny kaprys prądu odciągnął go od skały. Poczul, że coś chwytą go za nogi - to Al złapał go mocno za uda. Pitt spojrzal w szkło maski przyjaciela i mógłby przysięc, że jedno brązowe oko mrugnęło doń porozumiewawczo. Wbrew pozorom poczynania Ala miały sens - ich połączona masa spowalniała szybkość, z którą byli przesuwani przez prąd, a co ważniejsze, nie zostali rozdzieleni.

Dirk usłyszał głuchoe postukiwanie i dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że źródłem dźwięku są jego własne butle obijające się o skały. Odwrócił się, świecąc latarką przed siebie i dostrzegł czarną, połyskującą powierzchnię zbliżającą się z wielką szybkością. Wyciągnął dłoń, by jej dotknąć i gwałtownie wrócił do rzeczywistości. W samą porę. Zdążył jedynie osłonić głowę ramieniem, gdy od góry zamknął się nad nim obrośnięty i poszarpany sufit.

Uratowała go ćwierćcalowa warstwa gumy, z której wykonany był kombinezon. Nie była to jednak warstwa wystarczająco gruba, by zapewnić mu całkowite bezpieczeństwo. Ostre załomy rozcięły gumę, nylonową wyściółkę i skórę ramion. Poczul przeszywający ból, woda wokół zabarwiła się krwią. Wystający fragment skały zerwał mu maskę i Pitt poczul, jak woda zmieszana z piaskiem wypełnia mu nos, uszy i dostaje się do oczu. Spróbował wydechu przez nos. Pomogło to na chwilę, ale w efekcie bardziej podrażniło błony śluzowe. Oczy zaczęły go piec i przestał widzieć cokolwiek.

Wiedział, że jest bliski utraty przytomności. Staral się do tego nie dopuścić, ale organizm, choć przyjmował polecenia umysłu, odmawiał ich wykonania. Nagle zderzył się czołowo z wystającym głazem. W głowie eksplodował mu wielobarwny fajerwerk. A potem zapadła ciemność i świat przestał istnieć.

Giordino poczul, jak ciało Pitta wiotczeje, latarka wypadła z bezwładnej dłoni. Jedno spojrzenie upewniło go, że instynkt doświadczonego nurka zadziałał: ustnik był nadal pomiędzy zaciśniętymi zębami nieprzytomnego. Al wzmocnił więc uchwyt na ciele przyjaciela i zastanawiał się, co zrobić. W dole mignął mu piaszczysty fragment stoku. Szarpnął się gwałtownie, chcąc użyć nóg jako hamulców. Natychmiast stracił płetwy, i zdarł sobie skórę ze stóp i kolan. Zaciśnął zęby na ustniku i wbił głębiej w piach krwawiące stopy. Był to desperacki czyn i zakończył się fiaskiem: wyorał dwie bruzdy w dnie, jeszcze bardziej poranił nogi i stracił oparcie - prąd był bardzo silny.

Jak kot znudzony zabawą ze zdechłą myszą zradliwy prąd wypuścił ich niespodziewanie ze swego uścisku. Al szybko chwycił kępę roślinności i podciągnął się ku podobnemu do krateru zagłębieniu w dnie, trzymając ciągle nieprzytomnego towarzysza. W spokojnej wodzie odprężył się i pozwolił, by obaj łagodnie opadli na dno.

W bunkrze panowała nienaturalna cisza - maszyny i komputery milczały znieruchomiałe, a ponad połowa załogi zgromadziła się wokół radiostacji. Mężczyźni milczeli i palili, kobiety nerwowo piły kawę i również nie były skore do rozmów.

Panująca atmosfera napięcia i oczekiwania szarpała nerwy i odbierała ochotę do działania. Hunter i Denver siedzieli po obu stronach radiotelegrafisty, spoglądając na siebie przekrwionymi,

zmęczonymi oczami. Denver machinalnie przesunął po blacie plastikową fiolkę wyjętą z kieszeni. Admirał przyglądał jej się przez chwilę badawczo, po czym zapytał:

- Co to jest, u diabła?

Denver uniósł fiolkę do światła.

- Zawartość strzykawki. Dostałem to od Pitta do analizy.

- I co to jest?

- DG-10. Jedna z najskuteczniejszych trucizn, jakie wyprodukował człowiek. Wyjątkowo trudna do wykrycia, gdyż wywołuje wszystkie objawy ataku serca.

- Co on z tym robił?

- Pojęcia nie mam. - Denver wzruszył ramionami. - Był wyjątkowo tajemniczy. Powiedział, że to w końcu samo wyjdzie na jaw.

- Ten facet to jedna wielka zagadka - mruknął Hunter, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Cholerna zagadka...

- Telefon, sir - przerwał dyżurny oficer ze słuchawką przy uchu.

- Kto?

Oficer był zdezorientowany.

- To Aloha Willie, sir, nocny disc jockey radia POPO - odparł z wahaniem.

- Co takiego? - Admirał otworzył usta ze zdumienia. - Nie mam ochoty na pogawędki z żadnymi kretynami z nocnych radiostacji. A poza tym jak on dostał ten numer?

Oficer przełknął nerwowo ślinę i wyjąkał:

- On mówi, że to ważne, sir. Powiedział, że wygra pan główną nagrodę, jeśli mu pan powie, co oznacza zdanie: Kos wrócił do gniazda.

- Niech pan powie temu idiocie... - Hunter zamarł w połowie zdania. - Mój Boże! - krzyknął. - Crowhaven!

Błyskawicznym ruchem odebrał zdumionemu oficerowi słuchawkę i wymienił serię błyskawicznych wypowiedzi z disc jockeyem, po czym oddał słuchawkę nadal oniemiałemu oficerowi i poinformował Denvera:

- Crowhaven nadaje na częstotliwości radiostacji Honolulu.

- Przepraszam, nie rozumiem? - wykrztusił oszołomiony Denver.

- Genialne posunięcie - odparł Hunter. - Delphi albo nie pomyślał o nasłuchu na tym paśmie, albo boi się je zagłuszać. Nikt poza kilkoma dzieciakami nie będzie słuchał o tej porze radiostacji nadającej rock and rolla. Przetaw no, chłopcze, częstotliwość na tysiąc dwieście pięćdziesiąt herców.

Operator po usłyszeniu słowa „chłopcze” o mało nie spadł z krzesła, ale posłusznie przestawił radiostację na żadaną częstotliwość. Po raz pierwszy w historii swego istnienia betonowy bunkier został wypełniony dawką decybeli, o których wszyscy obecni mogli powiedzieć tylko jedno: było ich stanowczo zbyt wiele. Zanim zdołali się opanować, hałas nagle się urwał i z głośnika doszedł lekko piskliwy głos mówiący z szybkością karabinu maszynowego:

- Cześć i czołem, ranne ptaszki. TU Aloha Willie i czterdzieści najlepszych kawałków rocka w tropikach. Mamy obecnie trzecią pięćdziesiąt i powinniście być gotowi na kolejną porcję muzyki. Najpierw kawałek do śmiechu: kolejny odcinek komedii z udziałem Tatusia i jego Bandy. Tatusiu! Over.

Radiooperator w bunkrze zrozumiał, o co chodzi i słysząc ostatnie zdanie, włączył się w częstotliwość radia.

- Tatuś woła Bandę. Tatuś woła Bandę. Odezwijcie się. Over.

- Tu Banda. Tatusiu, jak nas słyszysz? Over.

- To Crowhaven - ucieszył się Denver. - To jego głos! A więc mają „Starbucka”!

- Słyszemy cię dobrze. Podaj wyniki. Over.

- Oto końcowy rezultat. Goście: jedno pudło, jeden gol i trzy faule. Gospodarze: zero pudel, trzy gole, cztery faule.

- Cholera! - zaklął Hunter. - Stracił człowieka i ma trzech rannych.

- Potwierdzamy wynik - włączył się operator. - Gratulacje dla gości z powodu wygranej. Kiedy drużyna gości opuszcza stadion?

- Pysznice działają, a szatnia powinna być opróżniona za około godzinę. Autobus powinien wyjechać o czwartej - odpowiedź padła bez zwłoki.

- Całe szczęście - mruknął Denver, nerwowo bębniąc po stole. - Reaktory dają parę, dziobowy przedział suchy za godzinę... Będą golowi przed czasem.

Hunter zabrał radiotelegrafiście mikrofon:

- Banda, tu sam Tatuś. Gdzie Dzieciak?

- Poszedł z kumplem przewietrzyć się na wzgórzu i nie mamy od nich wieści. Istnieje podejrzenie, że zabłądzili i skończyły im się zapasy.

Admirał bez słowa odłożył mikrofon. Tej wiadomości nie trzeba było przekładać - sens był jasny dla wszystkich.

- O piątej podamy ostatnie notowanie - rozległ się głos Crowhavana. - Banda kończy. Over.

Aloha Willie zaczął dokładnie w tej samej chwili:

- To tyle gadania. Teraz numer dwunasty na liście. Avery Anson Pants w utworze *The Great Bikini Ripoff*.

Operator zdążył wyłączyć radio, zanim decybele rozsadziły głośnik.

- Do piątej to wszystko, sir - zameldował.

Hunter odszedł powoli, wpatrując się w ścianę i nie odzywając się.

- Za wysoka cena. Pitt powinien być z nimi zostać, a nie szukać Adrienne. - Denver za późno ugryzł się w język.

- Nie pytał mnie o zgodę - odparł Hunter. - W ogóle nic o tym nie wspomniał.

- Wiem, sir. - Denver bezradnie wzruszył ramionami. - Chciałem go odwieść od tego pomysłu, ale nie chciał o tym nawet rozmawiać. To jest taki gatunek faceta.

- Był taki gatunek - odparł głucho Hunter. - To niestety był taki gatunek faceta.

- Witamy w krainie chodzących trupów!

Pitt z trudem skupił wzrok na uśmiechniętej twarzy Ala i wycharczał:

- Kto chodzi?

Najbardziej żałował, że znów nie stracił przytomności; piekły go ramiona, bolała głowa i zębra, a reszta ciała pomimo bezruchu zachowywała się jak zupełnie obce, odrębne ośrodki bólu.

- Przez chwilę naprawdę myślałem, że się przekręciłeś - przyznał Giordino spokojnie.

- Przy tym jak się teraz czuję, to byłoby raczej miłe. - Pitt wyciągnął rękę i przy pomocy Ala podniósł się do pozycji siedzącej. Zamrugał gwałtownie. - Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

- W podwodnej jaskini. Znalazłem ją zaraz po tym, jak zemdlałeś.

Pomieszczenie było niewielkie; dwadzieścia na trzydzieści stóp, oświetlone słabnącą latarką

Ala. Sufit był na wysokości od pięciu do dziesięciu stóp w zależności od miejsca, a trzy czwarte podłoża pozostawało pod wodą. Składało się z większych i mniejszych odłamów skalnych wyszlifowanych przez wodę i pokrytych masą niewielkich krabów, które przerażone nagłą wizytą, kręciły się niczym oszalałe mrówki.

- Ciekawe, jak głęboko jesteśmy - zastanowił się Pitt.

- Przed wejściem miałem pięćdziesiąt stóp na głębokościomierzu.

Dirk podsunął się pod ścianę, usiłując znaleźć jakąś pozycję, w której ból byłby łatwiejszy do zniesienia, ale nie bardzo mu się udawało. Chciało mu się palić. Przyglądał się swemu postrzępionemu kombinezonowi.

- Gdybym miał aparat, to byłoby to jedno z twoich lepszych zdjęć - stwierdził Al. - Zatyłowałbym je „Uwiedziony i porzucony”.

- Nie taki diabeł straszny, jak go malują, Al. Co z twoimi stopami?

- Mogło być gorzej. - Giordino odchrząknął, splunął i spytał rzeczowo: - A teraz co?

- Wracać się nie da. Przy tej ilości krwi, jaką do spółki wylewamy, powstałoby zbiegowisko rekinów z okolicy dziesięciu mil. - Pitt spojrzął na zegarek. - Mamy dwie godziny do fajerwerku. Co byś powiedział na rozejrzenie się po okolicy?

- Przy naszej obecnej kondycji trudno raczej zwiedzać jaskinie. - Giordino był całkowicie pozbawiony entuzjazmu.

- Wiesz, jak łatwo się nudzę, siedząc w jednym miejscu.

- Czego to człowiek dla kumpla nie zrobi. - Al wycelował starannie w kraba, splunął, lecz chybił. - Chociaż z drugiej strony wszystko jest lepsze niż wieczór z tym paskudztwem.

- Co ocalało ze sprzętu?

- A już miałem nadzieję, że nie zapytasz - sapnął sarkastycznie Al. - Poza butlami, które gonią ostatnim tchem, że się tak wyrażę, mamy na dwóch: jedną maskę, czterdzieści stóp linki, jedną płetwę, dwa noże i moją latarkę, która właśnie zdycha.

- Pies tańcował z butlami. Spróbuję swobodnego nurkowania. - Pitt obwiązał się w pasie linką, założył jedyną ocalałą płetwę i maskę, po czym poinformował Ala: - Odpocznij tu, trzymając drugi koniec. Trzy pociągnięcia: chodź szybko, dwa: ciągnij jak diabli, a jedno: ruszaj za mną. Sygnalizacja jak zwykle.

- Tylko się pośpiesz, sam na sam z krabami to strasznie ponura egzystencja.

- Mogę nie oddychać tylko przez dziewięćdziesiąt sekund, więc nie potrwa to zbyt długo -

uśmiechnął się Pitt.

Wziął latarkę, siadł na skraju półki i zaczął głęboko oddychać, wietrząc płuca i starając się wydalić z organizmu jak najwięcej dwutlenku węgla. Gdy był przekonany, że jego płuca nie pomieszczą już więcej tlenu, ześlizgnął się do wody i popłynął w stronę dna jaskini.

Pitt był doskonałym nurkiem - mógł pozostać pod wodą prawie dwie minuty, a nie półtorej, jak powiedział Alowi. Odnosiło się to jednak do normalnych warunków, gdy był w pełni sił. Tym razem miał ułatwione zadanie, gdyż jedną ręką trzymał latarkę, a drugą dotykał ściany opadającej przez piętnaście stóp niemal pionowo i przechodzącej następnie w prawie poziomy tunel. W pewnym miejscu blokował go zawał, ale zdołał przecisnąć się obok. Ściany rozsunęły się na boki, ginąc poza polem widzenia.

Znajdował się w kolejnej jaskini; machając równomiernie płetwą, ruszył ku powierzchni. Po kilku sekundach jego głowa wychyliła się ponad powierzchnię wody. Powietrze miało przyjemny zapach, a grota pełna była łagodnego, złocistego blasku - był w świetle żółci i złota, w którym nawet cienie miały odpowiednią kolorystykę. Sufit był co najmniej dwadzieścia stóp wyżej, połyskując masą drobnutkich stalaktytów, z których kapały krople wody uderzające z pluskiem o powierzchnię.

Przeplłynął kraulem ku wyrzeźbionym w skale schodom prowadzącym łagodnym łukiem ku korytarzowi. Na każdym stopniu znajdował się dziwny element o trójkątnym kształcie, podest zaś ozdobiony był parą rzeźb przedstawiających brodatych mężczyzn o ciałach zakończonych rybimi ogonami. Oba posągi zastygły w klasycznej pozie sfinksa i były silnie zniszczone przez wodę. Sprawiały wrażenie bardzo starych.

Wydźwignął się na podest, siadając na jednym z prowadzących doń stopni, zdjął maskę i gwałtownie zamrugał powiekami, próbując dostosować wzrok do nietypowego oświetlenia. Mokry, ciasny rękaw kombinezonu drażnił zranioną rękę. Z dużą ostrożnością i bacząc na rany, zaczął ściągać z siebie strój nurka. Odwiązał linę i szarpnął ostro. Czując naprężenie linki, zaczął ją wyciągać równymi, systematycznymi ruchami i wkrótce na powierzchnię wody wychynęła kędzierzawa głowa Giordino.

- Cholera, trafiłem do żółtego piekła - parsknął Al, odgarniając włosy z oczu. - Są tu jakieś żółtki?

- Witamy w domu wampirów Delphiego. - Pitt złapał go za rękę i pomógł wydostać się na podest.

- Oryginalny jest ten tutejszy komitet powitalny. - Al wskazał na rzeźby, po czym poklepał otwartą dłońią jedno z brodatych obliczy. - Masz jakiś pomysł, skąd bierze się to dziwne światło?

- Mam wrażenie, że emanuje ze skał.

- Chyba masz rację. Popatrz na to. - Wyciągnął dłoń, która pokryta złotym osadem, lekko fosforyzowała. - Chemicznej analizy ci nie podam, ale jestem pewien, że zawiera sporą dawkę

fosforu.

- Nie wiedziałem, że potrafi tak jasno świecić.

Giordino nerwowo wciągnął powietrze.

- Czuję zapach eukaliptusa - stwierdził.

- Używają olejku eukaliptusowego, by zmniejszyć wilgotność powietrza i poprawić aromat.

Al, idąc w ślady Pitta, ostrożnie wyswobodził się z kombinezonu, szczególnie ostrożnie obchodząc się z poranionymi stopami, które - jak Dirk miał teraz okazję stwierdzić - były zdarte do żywego mięsa i obficie krwawiły. Ponieważ nic nie mógł na to poradzić, powstrzymał się od komentarza.

- Sprawdź schody - odezwał się, gdy Giordino z westchnieniem ulgi pozbył się gumowego stroju - a ty posiedź tu i podziwiaj widoki.

- Nic z tego. Rozsądniej będzie trzymać się razem. Uważaj na to, co przed nami, a ja już nadążę za tobą, spokojna głowa.

Dirk zerknął z ukosa na przyjaciela. „Z całą pewnością jesteśmy najbardziej pożałowania godną siłą inwazyjną, jaką kiedykolwiek widziano na Pacyfiku” - pomyślał. Obaj byli mocno poranieni i stracili mnóstwo krwi. Najbardziej odpowiednim miejscem dla nich byłoby teraz szpitalne łóżko.

- Dobra, twardzielu, tylko nie graj milczącego bohatera - powiedział miękko, wiedząc, że traci czas; Giordino będzie mu towarzyszył, dopóki nie straci przytomności.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i zaczął wspinać się. Wchodzili powoli otoczeni nierealnymi i dziwnymi widokami, aż dotarli do szerokiego tunelu. Słyszeli jedynie własne zmęczone oddechy i coraz odleglejsze kapanie wody z sufitu. Tunel zwężał się powoli, osiągając pięć stóp wysokości i trzy stopy szerokości; schody przekształciły się w pochyłą rampę. Dirk posuwał się plecami przy ścianie z latarką w dłoni, choć wyczerpane baterie dawały mniej więcej tyle światła ile ściany. Co trzydzieści stóp zatrzymywał się, czekając, aż Al dołączy do niego. Za każdym razem postoje były dłuższe, gdyż stopy Ala coraz bardziej dawały znać o sobie i stawało się oczywiste, że długo już nie wytrzyma.

- Następnym razem znajdź jaskinię z windą - wydyszał Giordino. Potrzebował trzech pełnych wdechów, by wykrztusić to przez zaciśnięte zęby.

- Trochę ćwiczeń jeszcze nikomu nie zaszkodziło - powiedział Pitt, wiedząc, że Al musi wytrzymać jeszcze przez chwilę. Była to po prostu kwestia przeżycia. Jeżeli nie znajdą drogi na powierzchnię, to zginą samotnie przywaleni tysiącami ton skał i wody.

Pitt ruszył dalej. Latarka przestała świecić, więc ją po prostu upuścił na podłogę, nie zwracając uwagi na hałas, z jakim potoczyła się po posadzce. Przez chwilę zastanawiał się, co pomyśli Al, widząc ją.

Poczuł gęsią skórę równocześnie z podmuchem zimnego powietrza i doszedł do wniosku, że gdzieś przed nimi musi być albo wyjście, albo wylot systemu wentylacyjnego. Po kilku kolejnych krokach dostrzegł błękitną ścianę przesłaniającą korytarz. Dziwna przeszkoda zdawała się falować, zmieniać odcień i rzucać łagodne cienie. Nie wiedział, co to może być. Przemęczony umysł pracował ociężale, myślenie sprawiało mu niemal fizyczną trudność. Zatrzymał się, czekając na Ala, lecz ten nie nadchodził.

Czuł jak ogarnia go uczucie osamotnienia i zagrożenia. Powtórnie w ciągu ostatniej godziny starał się nie stracić świadomości, ale czarny woal zasłaniający mu oczy nie chciał się rozproszyć. Odruchowo sięgnął dłonią, by go odsunąć i jego palce zetknęły się z miękką, gładką powierzchnią.

- Kotara - mruknął. - Zwykła, parszywa kotara.

Rozsunął fałdy zasłony i wszedł do baśniowego świata błyszczących czarnych rzeźb i pokrytych błękitnym aksamitem ścian. Ogromny pokój pełen był wykutych w czarnym kamieniu rybek rozstawionych na dywanie koloru indygo. Dywan był niezwykle gęsty i przejrzysty włos sięgał kostek, nie przypominając w dotyku niczego, z czym Pitt dotąd się zetknął. Spojrzał w górę na olbrzymie lustro, w którym odbijała się cała ta fantastyczna komnata. W centrum stało wsparte na kamiennych podobiznach latających ryb łóże w kształcie muszli ostrygi, na którym leżała naga dziewczyna; jej biała skóra doskonale kontrastowała z błękitno-czarnym wystrojem pomieszczenia.

Dziewczyna leżała na plecach, z uniesionym kolanem. Lewą dłonią obejmowała małą pierś, jakby ją pieściła. Twarz skrywały połyskujące włosy, a płaski brzuch unosił się w rytmie regularnego oddechu. Spała.

Dirk pochylił się i odgarnął włosy z jej twarzy. Dotknięcie obudziło dziewczynę; przeciągnęła się, mrużąc jak kotka i powoli otworzyła oczy. Widząc nad sobą zakrwawioną twarz, zbladła z przerażenia. Gdy otworzyła usta do krzyku, Pitt powiedział z uśmiechem:

- Witaj, Summer. Przechodziłem tędy i postanowiłem zobaczyć, jak mieszkasz.

I wówczas świat zawirował mu przed oczami i otoczyła go ciemność. Upadku na miękkim, puszystym dywanie już nie poczuł.

ROZDZIAŁ 16

Pitt stracił poczucie czasu. Nie wiedział, ile razy próbował dojść do siebie, na chwilę odzyskiwał przytomność i ponownie zapadał w nieświadomość. Ludzie, głosy i obrazy zmieniały się w jego umyśle jak w kalejdoskopie. Próbował zapanować nad szybkością przeskakiwania obrazów i sprowadzić wszystko do właściwych perspektyw, ale bezskutecznie. Dopiero po dłuższym czasie otworzył oczy, wirowanie w jego mózgu ustało. Poprawa była jednak niewielka: z jednego koszmaru trafił w drugi. Ze snu do jawy - lodowate, złote oczy Delphiego wpatrywały się w niego z nienawiścią.

- Dzień dobry, panie Pitt - powitał go gospodarz pełnym jadu tonem. - Żałuję, że znajduje się pan w takim stanie, ale to teren prywatny i nikt tu pana nie zapraszał, prawda?

- Zapomniał pan o płocie i tabliczkach: Teren prywatny, wstęp wzbroniony - odparł Pitt suchym, drewnianym głosem.

- Zwykle niedopatrzenie, ale to i tak by niczego nie zmieniło. Po co pchał się pan w wylot naszego systemu wentylacyjno-grzewczego? Prąd, który pana tak sponiewierał, to efekt działania urządzeń wentylacyjnych.

- System grzewczy? Siłownia?

- Tu są ponad cztery mile korytarzy, odpowiednie ogrzewanie i oświetlenie może zapewnić jedynie solidna turbina parowa.

- Nie ma to jak wygody domowe - wymamrotał Dirk. - Teraz już wiem, skąd bierze się ta nienaturalnie gęsta mgła na powierzchni.

- Zgadza się. Ciepło z systemu chłodzenia siłowni w kontakcie z zimną wodą morską powoduje właśnie taki efekt - przyznał Delphi.

Pitt spostrzegł, że leży na podłodze. Podciągnął się do pozycji siedzącej. Próba zorientowania się w czasie spełzła natomiast na niczym - zegarek widział jako jedną zamazaną plamę.

- Jak długo byłem nieprzytomny? - spytał.

- Został pan znaleziony w sypialni mojej córki dokładnie czterdzieści minut temu. - Delphi obrzucił go zimnym, obojętnym spojrzeniem.

- Mam taki przykry zwyczaj - uśmiechnął się Pitt. - Zawsze pojawiając się w sypialniach dam w niewłaściwym czasie.

Twarz gospodarza nawet nie drgnęła. Delphi siedział na rzeźbionym siedzisku z białego kamienia obciążonego czerwonym jedwabiem. Znajdowali się w niedużym pomieszczeniu, które

było prawdopodobnie gabinetem. Miało około dwudziestu pięciu stóp kwadratowych, ściany były wyrzeźbione w skale i ozdobione oryginalnymi pejzażami morskimi. Przyćmione światło padało z okrągłych, oprawnych w mosiądz lamp skierowanych na biały sufit. Przy ścianie stało solidne biurko z blatem obitym czerwoną skórą, gustownie dobrane regały oraz skomplikowane połączenie telefonu, radia i interkomu. Całą jedną ścianę zajmowało ogromne okno wychodzące na podwodny ogród podświetlony światłem niewidocznych reflektorów. Górna krawędź była lekko zakrzywiona i przechodziła łagodnie w sufit. Całość sprawiała solidne wrażenie. Do okna zbliżyła się murena, zajrzała do wnętrza i odpłynęła. Delphi nawet na moment nie spuścił oczu z Pitta.

Dirk przeniósł wzrok na gospodarza. Mimo że w egzotycznie wyglądającym pokoju było stosunkowo chłodno, czuł dziwne, wewnętrzne ciepło wynikające z pewności, że pomimo niesamowitego wyglądu Delphi wcale nie jest nieomylnym geniuszem.

- Nie wydaje się pan dziś tak rozmowny jak zazwyczaj - przerwał ciszę Delphi. - Być może niepokoi pana los przyjaciela?

- Zdaje się, że się zamyśliłem. O czym pan mówił?

- O mężczyźnie z poranionymi stopami. Zostawił go pan w opuszczonym chodniku.

- Czego to ludzie dziś nie wyrzucają!

- Niech pan przestanie udawać durnia, to naprawdę nie ma sensu. Moi ludzie znaleźli samolot, którym tu przylecieliście.

- Cholera, nigdy nie umiałem dobrze parkować.

- Ma pan dokładnie trzydzieści sekund, by powiedzieć mi, co tutaj robicie. - Delphi zupełnie zignorował złośliwości Dirka.

- Aktualnie dzięki pańskiej uprzejmości siedzę na zimnej podłodze - warknął Pitt. - A tak w ogóle, to wynajęliśmy samolot na lot do Las Vegas, tylko pilot nie zdążył wsiąść i zgubiliśmy się po drodze.

- Niech i tak będzie. Mogę pana jednakże zapewnić, że zanim skończymy, będzie pan znacznie bardziej skłonny do współpracy.

- Zawsze się zastanawiałem, ile zdołam wytrzymać. Tyle się człowiek naczytał o torturach.

Delphi zmierzył go spojrzeniem, które nie wróżyło nic dobrego, i odparł:

- Zabawa z panem osobiście byłaby żmudnym zajęciem i zupełnie niepotrzebnym. Są bardziej wyrafinowane i skuteczniejsze sposoby. - Podeszedł do interkomu i powiedział: - Przyprawdźcie drugiego. Proszę się nie niecierpliwić, panie Pitt, zaręczam, że oczekiwanie będzie krótkie.

Dirk powoli podciągnął nogi, przykłęknął i ostrożnie wstał. Powinno mu się kręcić w głowie ze zmęczenia, ale adrenalina wyparła słabość z organizmu. Umysł miał jasny i sprawny. Zerknął na zegarek - była 4.10, czyli ponad pół godziny do ataku na radiostację na Maui i prawie godzina do uderzenia rakietowego. Mieli z Alem niewielkie szansę na ujście z życiem, ale jeżeli Crowhaven zdoła zabrać „Starbucka”, a on odwróci uwagę Delphiego, by ten nie posłał kolejnej ekipy na zwiady, to ofiara w ogólnym rozrachunku się opłaci. Spróbował sobie wyobrazić „Starbucka” na kursie powrotnym do Pearl Harbor, ale nie udało mu się.

Crowhaven nie pamiętał, by widział tyle ludzkiej krwi naraz. Miał wrażenie, że cała podłoga centrali jest nią zalana. W paru miejscach na tablicach przyrządów widniały krwawe plamy o abstrakcyjnych kształtach. Z początku wszystko układało się pomyślnie - weszli na pokład zupełnie bez oporu, mieli czas, by spokojnie pozbyć się akwalungów i reszty sprzętu i po krótkiej przerwie ruszyć do centrali. Komandosi z SEAL szli z przodu. Gdy otworzyli drzwi do centrali, rozpętało się piekło.

Następne półtorej minuty wydawały się jak wyjęte z koszmaru albo filmu wojennego. Dziewięćdziesiąt sekund pełne cichego szczerku zaopatrzonej w tłumiki broni, wizgu rykoszetów, jęków i wrzasków wzmacnianych przez stalowe ściany. Nawet teraz, po dłuższym czasie, na samo wspomnienie dzwoniło mu w uszach.

Przyznać trzeba, że warta, którą zastali, walczyła dzielnie i z odwagą graniczącą z obłędem. Aby wyeliminować każdego strażnika z walki, należało albo go zabić, albo zranić tak ciężko, żeby stracił przytomność. Ostatnich dwóch nie kryło się nawet, stojąc i strzelając do chwili, gdy przeszły ich dziesiątki kul z broni komandosów. Crowhaven nie wyobrażał sobie, że człowiek tak podziurawiony zdolny jest nie tylko stać, ale i walczyć. Trzech zginęło na miejscu, pozostałych czterech zmarło w ciągu godziny. Większość nawet nie odzyskała przytomności - poprzez liczne postrzały po prostu wraz z krwią wyciekło w nich życie i nic na to nie można było poradzić. Jedynie natychmiastowa operacja mogła uratować im życie, choć szansę na to były niewielkie.

Ostrzegano go co prawda, że może dojść do walki, ale odsunął od siebie tę perspektywę, zdając się na zawodowców - po to przecież byli. Teraz jeden z nich był martwy. Półnagi strażnik, już padając na pokład, trafił go w lewą skroń. Trzech innych poważnie rannych leżało w izbie chorych, gryząc wargi, lecz nie narzekając. Oni wykonali swoją pracę i teraz oczekiwali, że Crowhaven i jego specjaliści dowiozą ich do szpitala w Honolulu.

Komandor doskonale wiedział, że gdyby nie komandosi z SEAL, wszyscy byliby martwi. Ten cwaniak Pitt dostarczył ich żywych, tak jak obiecał, jego kumpel przyprowadził do okrętu, a komandosi wykrwawili się, by go zdobyć. A on nie był w stanie ruszyć tej stalowej trumny z miejsca i dokończyć zadania. I co gorsze - jako doświadczony podwodniak powinien był to przewidzieć, ledwie usłyszał o całej sprawie. Było to jednak tak oczywiste, że wszyscy to przeoczyli. Żałował, że przyrzekł admirałowi Hunterowi, iż ruszy „Starbuckiem” w drogę przed czwartą.

Już mieli opóźnienie, co prawda zaledwie kwadrans, ale szans na poprawę sytuacji nie mieli żadnych. Wszystkiemu było winne podciśnienie, które powstało po miesiącach leżenia kadłuba w

piaszczystym dnie. Było to tak oczywiste, że nikt o tym nie pomyślał. Zassanie było tak silne, że pomimo opróżnienia wszystkich zbiorników balastowych, wypompowania zapasów wody pitnej, ropy i usunięcia wszystkiego, co się dało - okręt ani drgnął. Pitt nie musiał zalewać dziobowego przedziału torpedowego, by unieruchomić okręt - Delphi i tak nie mógł go ruszyć z miejsca, podobnie jak teraz oni. Tylko Pitt nie był podwodniakiem i miał prawo tego nie wiedzieć, lecz Crowhaven powinien.

- Nic więcej nie da się opróżnić, sir - zameldował zwalisty chief, który od lat cieszył się zaufaniem Crowhavena i teraz pełnił obowiązki jego zastępcy. - I nadal ani drgnie.

Komandor spojrział na niego jak skrzywdzone dziecko i niespodziewanie kopnął ze złością najbliższy fotel.

- Nie, kurwa! Albo ruszy się z miejsca, albo rzeczywiście będzie to wrak, którego nic nie uratuje! - wybuchnął. - Cała wstecz!

- Sir? - Oczy chiefa zaokrągliły się ze zdumienia.

- Cała wstecz, do cholery! To rozkaz!

- Proszę o wybaczenie, sir, ale śruby są do połowy zakopane w piasku. Albo się połamią, albo co gorsza pójdzie któryś wał napędowy.

- Przynajmniej umrzemy, robiąc coś. - Crowhaven już się uspokoił. - Wykopiemy go jak świnię z błota albo zdechniemy. Bez dyskusji. Chcę mieć „całą wstecz” przez pięć sekund, a potem „całą naprzód” też przez pięć sekund. I proszę powtarzać ten manewr, aż zrobimy z niego kupę złomu albo ruszymy z miejsca.

Chief pokonany wzruszył ramionami i pobiegł do maszynowni. Po uruchomieniu śrub na pierwszy meldunek o uszkodzeniach nie trzeba było czekać dłużej niż trzydzieści sekund.

- Maszynownia, sir. Głos chiefa wyraźnie było słychać z głośnika. - Pokrzywiliśmy pióro śruby, a prawy wał zaczyna wpadać w wibrację.

- Nie przerywać manewrów! - warknął Crowhaven.

Cały kadłub wibrował od ciosów zadawanych podłożu przez potężne śruby. Komandor bez słowa podszedł do przyczepatego rudzielca siedzącego przed tablicą pełną zegarów, lampek i odczytów cyfrowych. Technik był błądzący jak ściana i coś do siebie mamrotał.

- Jak będzie następny raz „cała wstecz” - powiedział, kładąc chłopakowi dłoń na ramieniu - to odpal wszystkie dziobowe torpedy.

- To pomoże, sir?

- To kropla, ale może przeważyć szalę.

- Prawy wał właśnie poszedł ze śrubą, sir - rozległ się głos chiefa. - Tuż przy kadłubie.

- Nie przerywać manewrów!

- Ależ, sir, jeżeli pójdzie druga śruba albo wał? Co zrobimy, nawet jeśli uda nam się ruszyć z miejsca? Jak będziemy się poruszać?

- Będziemy wiosłować! Powtarzam, nie przerywać manewrów!

Crowhaven pograżył się w myślach. Jeżeli pójdą obie śruby, trudno. Jeżeli oba wały napędowe, też trudno. Ale dopóki mógł, nie miał zamiaru przestać walczyć. Zastanawiał się tylko, dlaczego los bywa tak złośliwy i niweczy wysiłki w ostatniej chwili.

Porucznik Robert M. Buckmaster z piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych wystrzelił krótką serię do betonowego bunkra i klnąc na czym świat stoi, zastanawiał się nad tym samym problemem, co komandor porucznik Crowhaven. Plan był prosty i powinien już dawno zostać wykonany. Miał zająć nadajnik, zlikwidować kilkusobową obstawę i zniszczyć antenę materiałem wybuchowym po nadaniu kilku depesz przez grupę operatorów z Navy. Operatorzy nadal leżeli w zaroślach na skraju dżungli, a porucznik Buckmaster nie zdając sobie sprawy ze znaczenia akcji, wypełniał rozkazy.

Teren wyglądał na opuszczony i zaniedbany do chwili, w której jego ludzie dotarli do perymetru i zaczęli go przekraczać; wtedy trafili na taką liczbę czujników i alarmów, że nie powstydziliby się ich Fort Knox. Potykacze, czujniki laserowe, syreny, reflektory były tak przemyślnie ustawione, że cały teren został zalany potokami światła. Na odprawie o niczym takim nie było mowy, a dalszy ciąg wypadków był jeszcze gorszy - dostali się w klasyczną zasadzkę. Porucznik postanowił, ryzykując sąd polowy, rozliczyć się z oficerem, którego niedbalstwo spowodowało masakrę jego ludzi. Ledwie bowiem rozbrły światła, w pustych dotąd budynkach i na zarośniętych dachach, gdzie jeszcze przed chwilą nie było żywego ducha, pojawili się obrońcy. Serie z okien, drzwi i dachów skosiły pierwszy szereg i przyspiliły pozostałych do ziemi. Żołnierze odpowiedzieli ogniem i spokojna okolica zmieniła się w pole bitwy. Straty obu stron zaczęły rosnać. Ranni i zabici padali wokół gęsto, toteż Buckmaster dopiero po kolejnym szarpnięciu za rękaw zorientował się, że ciało, które upadło obok niego, nie było kolejną ofiarą, lecz sierżantem, który prowadził pierwszy szereg.

- Zabrałem to jednemu truposzowi, sir! - ryknął podoficer. - Wie pan, z czego do nas wałą? To AK-74.

- Ruskie? - zdziwił się porucznik.

- Najnowszy model Kałasznikowa, sir. Proszę spojrzeć. - Sierżant podsunął mu zgrabny, niewielki automat. - Nowinka w ruskim arsenale. Ciekawe, skąd ta banda to ma.

- Tym niech się martwi wywiad - odparł porucznik.

Jego uwagę ponownie zwróciła radiostacja; od strony anteny dotarła wzmożona kanonada.

- Kapral Danzig dotarł na miejsce - uśmiechnął się sierżant. - No to mamy ich w kotle. Żeby tak mieć porządny granatnik!

- To miał być atak z zaskoczenia, bez ciężkiej broni i przy minimalnym oporze. Zgadza się? Tak mówił ten kretyn na odprawie!

Przerwała mu potężna eksplozja. Z chmury dymu wywołanego wybuchem posypały się odłamki betonu. Fala uderzeniowa wyróciła klęczącego oficera. Potrzebował pełnych dwóch minut, by dojść do siebie i odzyskać normalny oddech. Podniósł się wolno z ziemi i popatrzył niepewnie na szczątki betonowego budynku.

- Cholera, wysadzili się! - jęknął z podziwem. - Radio! Gdzie jest ten cholerny radiotelegrafista?!

Z cienia wybiegł żołnierz w plamiastym mundurze piechoty morskiej i z twarzą pomalowaną w czarne pasy.

- Na rozkaz, sir.

Porucznik chwycił mikrofon i przełknął ślinę. Składanie niepomyślnych meldunków nigdy nie przychodzi łatwo.

- Tatusiu... Tatusiu, tu Rzeźnik. Over.

- Tu Tatuś. Meldujcie. Over. - Głośnik dudnił, jakby rozmówca siedział w studni.

- Gospodarze przerwali mecz z hukiem. Powtarzam: mecz przerwany z hukiem. Nie zdołamy podać dziś wiadomości. Over.

- Rozumiem, Rzeźnik. Przykro nam. Over. Koniec.

Buckmaster oddał słuchawkę operatorowi. Był wściekły i guzik go obchodziło, czy na górze o tym wiedzieli, czy nie. Nie znał jeszcze dokładnych strat, ale miał zamiar dopilnować, żeby osobnik odpowiedzialny za tę pomyłkę dostał za swoje, nawet jeśli miałyby to być jego ostatnie osiągnięcie w szeregach piechoty morskiej.

ROZDZIAŁ 17

Prowadzące do pomieszczenia drzwi otworzyły się, dwóch półnagich ludzi Delphiego wciągnęło Ala do wnętrza i cisnęło go na podłogę. Pitt poczuł, że ogarnia go wściekłość; Giordino był w opłakanym stanie. Na poranionych stopach nie było opatrunków. Prawy łuk brwiowy miał rozcięty. Z rany spływała krew, a przymknięta powieka nadawała twarzy wyraz gniewu. Drugie oko płonęło nienawiścią.

- I cóż, majorze? - zdziwił się Delphi. - Nie ma pan nic do powiedzenia swojemu przyjacielowi ze szkolnej ławy? Tylko niech mi pan nie wmawia, że nie poznaje pan Alberta Giordino.

- Zna pan nawet jego nazwisko. - To nie było pytanie.

- Dziwi to pana?

- Szczerze mówiąc, to nie. Wyobrażam sobie, że świętej pamięci Orl Cinana dostarczył panu dokładnych informacji o nas obu.

Jeżeli Dirk liczył na spektakularny efekt, to się zawiódł - Delphi przyglądał mu się przez chwilę spokojnie, po czym odparł lekko zdziwionym głosem:

- Kapitan Cinana? Coś się panu pomyliło, majorze. Nie może pan...

- Darujmy sobie liche aktorstwo - zaprotestował ostro Pitt. - Cinana mógł brać pensję z US Navy, ale grał w pańskiej drużynie. Przyznaję, że niegłupio pan to wymyślił: mieć wtyczkę w sztabie przeciwnika. Znał pan plany sto pierwszej Floty, zanim zaczęto je realizować. Ciekawi mnie tylko, jak go pan zwerbował: pieniędzmi czy szantażem. Znając dotychczasowe osiągnięcia co do mojej osoby, to obstawiałbym szantaż.

- Sporo pan wie.

- To raczej logiczne rozumowanie, a nie konkretne informacje. Jego pech polegał na tym, że nie mógł dłużej żyć; zaczęły mu puszczać nerwy i przestał być użyteczny. Był na krawędzi załamania nerwowego, a jeżeli uwzględnimy jeszcze romans z Adrienne, to należało go zlikwidować, zanim załamie się do reszty i wygada wszystko, co wie. Natomiast nie da się ukryć, że zabicie go zostało tak skopane, że przechodzi to ludzkie pojęcie.

Tym razem trafił. Delphi przyjrzał mu się podejrzliwie.

- To domysły! - warknął.

- Tym razem nie. Nasze przypadkowe spotkanie w barze hotelu Royal Hawaiian pokrzyżowało pańskie plany. Gdy się tam pojawiłem, Cinana czekał na Adrienne. Nie wiedział, bo i skąd, że też

czasami z nią sypiam, a nie chciał ryzykować wzajemnego przedstawiania się. Randka w barze z młodszą o dwadzieścia lat córką szefa mogła każdemu nasunąć złe skojarzenia, więc wołał prysnąć, zanim się pojawiła. Natomiast Summer, która przybyła, by wykonać egzekucję, pomyliła mnie z Cinaną. Trudno się zresztą temu dziwić: ogólny rysopis pasuje do nas obu, żaden z nas nie był w mundurze, a ja piłem z Adrienne, która pojawiła się chwilę po wyjściu Cinany. Summer zajęła się panienką, po czym wyciągnęła starego zboczeńca, czyli mnie, na spacer po plaży, gdzie próbowała wpompować we mnie pełną strzykawkę trucizny. Dopiero gdy obudziła się w moim pokoju, zaczęła mieć wątpliwości. Moje pierwsze podejrzenia wywołało tytułowanie mnie „kapitanem”. Różnica niewielka, ale kapitanem przestałem być dość dawno temu. Następnie dopełnił pan obrazu, przyznając się do posiadania informatora. Reszta to już elementarna matematyka; to musiał być Cinana. Przyznaję, że kogoś podobnego do pana dotąd nie spotkałem, a prowadzę raczej bujne życie towarzyskie. Nie wybrano by pana Ojcem Roku, nie mówiąc już o Wzorze Cnót Obywatelskich. Posyłać własne dziecko, by dokonało mordu, to przyznaję, oryginalne. A ci pomagierzy w zielonych majtkach? Dlaczego snują się jak automaty? Dosypuje im pan prochów do owsianki czy hipnotyzuje tymi fałszywymi oczkami?

Po raz pierwszy od wielu lat Delphi był zmieszany. Pitt nie zachowywał się jak człowiek, który doszedł do końca swojej drogi. Cała sytuacja została jakby odwrócona. To Pitt grał teraz rolę oskarżyciela.

- Posuwa się pan za daleko - rzucił Delphi nieco niepewnie, wpatrując się intensywnie w zielone oczy Pitta.

Dirk wytrzymał ciężkie spojrzenie.

- Nie wysilaj się, Delphi, i tak nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Już ci mówiłem, że oczka są fałszywe: to po prostu złote szkła kontaktowe. Od początku do końca jesteś fałszerstwem. Lavella i Roblemann! Kogo ty chciałeś oszukać? Nie nadajesz się nawet do wycierania im tablic na wykładach i nigdy się nie nadawałeś. Cholera, nawet nie jesteś dobrą imitacją Fredericka Morana...

Pitt przerwał i uchylił się. Gospodarz doprowadzony do szału jego przemową wyskoczył zza biurka i wymierzył tęgi cios. Gdyby trafił, mógłby pozbawić Pitta przytomności. Cios był jednak tak nieudolnie zadany, że Dirk z łatwością go uniknął. Delphi potknął się, odzyskał równowagę i runął na posadzkę trafiony w nerki stopą przeciwnika. Drugi kopniak, tym razem w żołądek, spowodował, że mężczyzna zwinął się w kłębek. Oczy wszystkich obecnych zwrócone były na Delphiego, nikt więc nie zauważył, jak Giordino z wysiłkiem uniósł się na łokciach i splunął z całych sił. Wymierzył dobrze, ale odległość była zbyt duża i zamiast w oko trafił w brodę. Przez długą chwilę panowała pełna napięcia cisza, po czym Delphi powoli i niepewnie wstał, opierając się o biurko, otarł ślinę, łapiąc gorączkowo powietrze i nie patrząc na nikogo. Usta miał zaciśnięte, a ruchy powolne i złowrogie.

Pitt obserwował go z kamienną twarzą, klnąc pobudliwość tak własną, jak i Ala. Nie miał cienia wątpliwości - przeholowali i Delphi miał zamiar zabić ich, teraz i tutaj.

Gospodarz obszedł powoli biurko, otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej broń. Nie był to tym razem pistolet-rękawiczka, lecz ciężki, oksydowany rewolwer Colt kaliber.44. Nie spiesząc się, sprawdził zawartość bębenka, zamknął broń i spojrzał na Pitta jak zawsze lodowatym i nic nie wyrażającym wzrokiem. Dirk zerknął na przyjaciela i otrzymał w odpowiedzi szelmowski uśmiech. Ala było naprawdę trudno przestraszyć, a za chwilę będzie to zupełnie niemożliwe. „Oto jak schodzą z tego świata durnie” - pomyślał. Nagle napięcie prysnęło - w drzwiach stał ktoś, kogo dotąd nie zauważył.

- Ojcze! - rozległ się głos Summer. - Nie tak i nie tutaj!

Stała w progu w zielonej sukni sięgającej połowy ud, promieniując ciepłem i pewnością siebie. Weszła z gracją, spoglądając śmiałym i wyzywającym wzrokiem na ojca.

- Nie wtrącaj się - syknął Delphi. - To nie twoja sprawa.

- Nie możesz ich zastrzelić! Nie tutaj! - Była to jednocześnie prośba i polecenie.

- Krew da się łatwo zmyć.

- Nie da się zmyć wspomnień. Musiałeś zabijać, by chronić nasze sanktuarium, ale poza jego murami. Nie można sprowadzać śmierci we własne progi.

Na twarzy Delphiego odmalowało się najpierw z wątpienie, potem namysł, a na końcu uśmiech. Opuścił broń i znów był taki jak zawsze - lodowato uprzejmy i bezlitosny.

- Masz rację, córko. Śmierć od kuli to nieczysta śmierć. Wypuścimy ich, ba wyprowadzimy nawet na powierzchnię, niech mają szansę przeżycia.

- Wcielenie humanitaryzmu - sapnął Pitt. - Kilkaset mil do najbliższego lądu i parę tuzinów ludojadów po drodze.

- Wystarczy tego czarnowidztwa - odpalił olbrzym z sardonicznym uśmieszkiem. - Nadal chciałbym wiedzieć, co tu robicie, a dość mam pańskiego poczucia humoru. Nie mam czasu na zabawy.

Dirk spojrzał na zegarek i skinął głową.

- Zgadza się. Zostało jakieś trzydzieści jeden minut.

- Słucham?

- Tyle pozostało do chwili, w której pańskie drogocenne sanktuarium szlag trafi.

- Znów głupie żarty. - Delphi potrząsnął głową ze smutkiem, podszedł do okna, po czym odwrócił się nagle i spytał: - Ilu było was w samolocie?

- A co stało się z Lavellą, Roblemannem i Moranem? - odpalił natychmiast Pitt.

- Zmusza mnie pan do niebezpiecznej zabawy. Igranie ze mną nie jest miłe, majorze.

- Tym razem jestem zupełnie poważny. Odpowie mi pan na parę pytań, a damę słowo, że powiem panu to, co chce pan wiedzieć.

Delphi w zamyśleniu przyjrzał się rewolwerowi i odłożył go w końcu na biurko.

- Sądzę, że dotrzyma pan słowa. Jest pan jednym z niewielu ludzi na tym świecie, którzy mają ten zwyczaj - stwierdził i usiadł. - Zaczynając tę szczerą rozmowę, chciałbym panu powiedzieć, że naprawdę nazywam się Moran.

- Frederick Moran, gdyby żył, miałby ponad osiemdziesiąt lat!

- Jestem jego synem. Byłem chłopcem, gdy wraz z Roblemannem i Lavellą wyruszyli, by odnaleźć zaginioną wyspę Kanoli. Widzi pan, ojciec był pacyfistą i po drugiej wojnie światowej zakończonej piekłem bomby atomowej, zdawał sobie sprawę, że kolejny konflikt, w którym ludzkość zetrze się w proch nuklearnymi wybuchami, jest jedynie kwestią czasu. Kiedyś powiedział, że gdy ktoś się zbroi, to wcześniej czy później użyje tej broni. Zaczął więc szukać miejsca nadającego się na spokojną i bezpieczną kryjówkę i położonego możliwie najdalej od przyszłych celów, a co za tym idzie na obszarze bezpiecznym od opadu radioaktywnego. Szybko doszedł do wniosku, że podwodna baza byłaby idealnym schronieniem, a studia historyczne doprowadziły go do Kanoli. Odkrył w zapiskach, że gdy stulecia temu wyspa pogrążyła się w falach, nastąpiło to nagle i bez aktywności wulkanicznej czy innych potężnych katastrof. Dawało to nadzieję, że ceremonialne jaskinie i tunele, o których zapomniały legendy, nadal są w dobrym stanie, tyle że pod wodą. Lavella i Roblemann podzielali pesymizm ojca co do losów świata, połączyli więc swe siły w poszukiwaniach tej wyspy. Odnaleźli ją po ponad trzech miesiącach sondowania dna i po zbadaniu przygotowali plany osuszenia tuneli. Kolejny rok zajęło im wprowadzenie ich w życie do momentu, w którym dało się założyć stałą bazę we wnętrzu.

- Jak to możliwe, że udało im się pracować tak długo w tajemnicy? Dane towarzystw żeglugowych wskazują, że statek, którym płynęli, zaginął po kilku miesiącach od chwili wypłynięcia z portu.

- Utrzymanie tajemnicy nie było aż tak trudne. Kadłub został w sekrecie tak zmodyfikowany, by służył za bazę dla nurków i wyładunku sprzętu wprost do morza. Wystarczyło przemalować nadbudówki, zmienić nazwę na rufie i dodać komin, a statek stał się innym, nie rzucającym się w oczy zachodnim trampem. Większy problem stanowiły finanse niż zachowanie tajemnicy.

- Resztę już znam - stwierdził Pitt z pewnością siebie.

Delphi i Summer spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

- Co chce pan osiągnąć kłamstwem? - zdziwił się Delphi.

- Jakim kłamstwem? Nie tylko ja wiem, cała sto pierwsza Rota wie, ba, nawet Pentagon wie o panu i pana siedzibie. Powinien się pan tego domyślić przy naszym poprzednim spotkaniu. Pamięta pan, że kazałem pozdrowić Kanoli? Nie mrugnął pan okiem, sądząc, że to co wiem i tak nie ma znaczenia, bo za parę minut umrę. Trzeba było pomyśleć.

- Skąd pan to wiedział?

- Kustosze Bishop Museum pamiętały pańskiego ojca, ale to był dopiero początek. Przyznaję, że poukładanie elementów tej łamigłówki w całość zajęło mi trochę czasu, ale jak tylko mi się udało, to nie pozostawiłem tej wiedzy dla siebie. - Pitt podszedł do Ala, pomógł mu zmienić pozycję na siedzącą i ponownie spojrzał na gospodarza. - Zabijał pan wyłącznie z chciwości, z żadnych innych powodów, i udało się panu ogłupić nawet swoją własną córkę. Ojciec mógł być pacyfistą, ale to co doktor Moran zaczął z pobudek czysto naukowych i humanitarnych, w pańskich rękach stało się najbrzydliwszym piractwem w dziejach współczesnej żeglugi.

- Proszę sobie nie przerywać. Z ciekawością posłucham tej historii.

- A co, nie słyszał pan, jak to wygląda z drugiej strony? - spytał prawie znudzonym tonem Pitt. - Dobrze, mogę panu powiedzieć, co głoszą pańskie akta. Natomiast zanim do tego przejdę, byłbym zobowiązany, gdyby Al mógł normalnie i wygodnie usiąść. Podłoga nie jest ani naturalnym, ani wygodnym miejscem dla człowieka.

Delphi wolno skinął głową i nieruchomi strażnicy, którzy wnieśli do sali Giordina, teraz chwycili go pod ramiona i zanieśli na wyściełane czerwonym jedwabiem siedzisko. Dopiero wówczas Pitt zaczął mówić, zastanawiając się, czy dobrze domyślił się początków organizacji Delphiego. Dużo od tego zależało: jeżeli tak, to końcówka opowieści będzie wiarygodna, a tylko to dawało im minimalną, ale jedyną szansę przeżycia. Kwestia była prosta - musiał sprawić, by on, Al i Summer mieli szansę na przeżycie. W chwili wybuchu nie mogli znajdować się w tej sali; okno będące piękną ozdobą było jednym z najsłabszych elementów budowli. Przy pierwszym pęknięciu w jednej chwili do środka wpadnie taka masa wody, że wszystko zostanie natychmiast zgniecione na miazgę. Wziął głębszy oddech i z nadzieją na dobre funkcjonowanie własnej wyobraźni zaczął:

- „Explorer”, bo tak nazywał się statek pańskiego ojca, przestał być użyteczny, gdy założono wreszcie stałą bazę we wnętrzu wzgórza. Moran potrzebował pieniędzy na dalsze zakupy sprzętu, by kontynuować podwodne prace konstrukcyjne, więc zajął się najstarszym oszustwem świata, czyli nabieraniem towarzystw ubezpieczeniowych. Naciągnięcie społeczeństwa na parę dolców dla celów naukowych było dobrym wytłumaczeniem dla własnego sumienia. Zresztą prawdę mówiąc, sam uważam, że nabranie towarzystwa ubezpieczeniowego nie jest grzechem, a oszukiwanie urzędu podatkowego jest wręcz wskazane. Popłynął sobie więc „Explorerem” do Stanów, zapełnił ładownię złomem i został ubezpieczony tak wysoko, jak tylko się dało. Wszystko naturalnie pod zmienioną nazwą i z innym armatorem. Następnie przyplłynął tu, otworzył zawory denne i stał się pierwszą ofiarą hawajskiego wiru, podczas gdy właściciele spokojnie zrealizowali polisę ubezpieczeniową. Interes przebiegł tak gładko, że gdy dobrzy naukowcy zeszli z tego świata i nie mogli protestować, rozkręcił go pan na dużą skalę, lecz przy nieco zmienionych zasadach Używał pan mianowicie

cudzych statków, co miało dwie zalety: brak kosztów wstępnych przy zakupie statku i ładunku oraz pierwotny ładunek do zbycia. Cały pomysł jest niesamowicie dochodowy i śmiesznie prosty. Wystarczy zorganizować rzecz tak, by kilku pańskich ludzi weszło w skład załogi statku, który płynie ze Stanów na zachód do Indii lub krajów Orientu. Zachodnia linia żeglugowa biegnie przez pańskie podwórko, a to nie tylko ułatwia pozbycie się statku, ale i dóbr made in USA na czarnym rynku. Pańscy ludzie z załogi muszą tylko w oznaczonym czasie opanować sterówkę, zboczyć z kursu o parę stopni i dać maszynowni rozkaz „maszyny stop”. Potem mogą sobie spokojnie stać i patrzeć. Mogą też wziąć udział w wyrzynaniu załogi statku, pomagając desantowi, który za pomocą kotwiczek abordażowych opanowuje jednostkę, podpływając doń pod wodą. Praktycznie morderstwo doskonałe, bo nikt nigdy nie znajdzie wraku takiego statku. Ciała wędrują za burzę, statek po przemalowaniu i drobnych zmianach w wyglądzie płynie gdzie indziej jako całkiem nowa jednostka i opycha tanio cały ładunek. Problemy mogą powstać jedynie wówczas, gdy ładunek jest zbyt trefny. Wtedy wędruje też do morza, a statek wykonuje parę przemytniczych rejsów. Potem wracamy do oryginalnej koncepcji, czyli jednostka ginie w morzu, ale tak, by łatwo dało się z niej wydobyć w razie potrzeby części zamienne. Pan kasuje ubezpieczenie. Bukanierzy zazdrościliby panu pomysłowości. Przy pańskiej organizacji oni byli po prostu bandą przygłupich doliniarzy. Prawie cały świat uwierzył, że tu na dnie leży prawie czterdzieści statków, podczas gdy w rzeczywistości jest ich ledwie połowa, gdyż każdy istniejący wrak co najmniej dwa razy figuruje na listach. Raz pod oryginalną nazwą, a drugi raz pod pańską.

- Przyznaję, że sporo pan wie. - Głos był ironiczny, ale kryły się w nim nutki uznania.

- Doskonałym pomysłem była „Lillie Marlene” - ciągnął spokojnie Pitt. - Okolica zaczynała być zbyt popularna. Zbyt wiele jachtów szukało na własną rękę zatopionych skarbów. Kwestią czasu było, aż któryś natknie się albo na wrak, albo na zbocze góry, co położyłoby kres pańskiemu przedsięwzięciu. Wymyślił więc pan sposób, by wystraszyć konkurencję i to przyznaję, sposób, na który sam dałem się w pewien sposób nabrać. Moje uznanie. Ta sprawa była doskonale pomyślana i przepraszam za zwrot, wykończona. Straż przybrzeżna, Navy, marynarka handlowa, dosłownie wszyscy uwierzyli w meldunek o niesamowitym odkryciu na pokładzie jachtu. Jako rzecznik prasowy zrobiłby pan karierę: opis musiał dotrzeć i zadziałać na każdego prawdziwego marynarza na Pacyfiku. Statki zaczęły omijać ten rejon jak zapowietrzony. Nazwano go nawet hawajskim wirem. Nikt nie domyślał się prawdy, a była ona równie prosta jak przy poprzednich pomysłach: to pan albo któryś z pańskich ludzi po wybiciu załogi nadawał z pokładu jachtu przerażające meldunki. „San Gabriel” był pana statkiem i to pańska załoga załatwiła ludzi z „Lillie Marlene”, a potem zainscenizowała to małe przedstawienie. Wybuch jachtu wraz z załogą przyzową był pięknym finałem. Tak naprawdę to nie było żadnego wybuchu, a jednostka po remoncie i zmianie wyglądu dokuje sobie w jakiejś mieścinie, bo żal było zatopić tak zgrabny stateczek. Prawdopodobnie w Honolulu z nową nazwą i nowym właścicielem, który jest też oficjalnym właścicielem innych pańskich statków. Zaraz, jak to było? Aha, The Pisces Metals Company? Delphi zeszywniał nagle.

- To pan wie o Pisces Metals?

- Przecież mówiłem... - Pitt uśmiechnął się zimno. - Wszyscy wiedzą i pewnie o tej porze wszystko, co ta firma posiada, jest zajęte przez wojsko czy inne firmy Wujy Sama. Nadajnik na Maui,

wodnopłatowiec, jacht... Widzi pan, interes był doskonały i praktycznie nie do wykrycia. Nawet gdy któraś ofiara zdołała nadać SOS, to nadajnik ją zagłuszał albo podawał fałszywą pozycję. Tylko że poczuł się pan zbyt pewnie i zaczął popełniać błędy.

- Tacy jak pan powinni ginąć za młodu - stwierdził dotknięty do żywego Delphi. - I to na pewno nie lekką śmiercią.

- O czym to ja...? Aha, błędy. Chociażby ten obleśny półgłówek w ciężarówce. To naprawdę była toporna próba jak na kogoś z pańskim stylem. Myślę, że zaczęło się panu spieszyć, gdy Cinana przekazał wieść o moim czasowym przeniesieniu do sto pierwszej Floty. Po fiasku Summer byłoby źle, gdybym rozpoczął prywatne śledztwo, a znacznie gorzej, gdyby Adrienne dodała swoje. Trzeba było szybko się pozbyć starego Pitta, więc zaczął pan improwizować, a to jest coś, co panu zdecydowanie nie wychodzi.

- Jest pan sprytnym człowiekiem - powiedział powoli Delphi. - Znacznie sprytniejszym niż początkowo sądziłem, ale teraz to nie ma większego znaczenia. Przyznam, że blef prawie się panu udał, wpadł pan na drobiazgu: to nie ojciec wymyślił sposób, to ja. On był całkowicie uczciwym człowiekiem i miał pecha; wraz z pozostałymi naukowcami zginął w zalanym tunelu po awarii pompy przy końcu prac osuszających. Sam byłem zmuszony zaplanować i przeprowadzić całą operację z „Explorerm”, by móc wykończyć to, co oni zaczęli. Popełniałem błędy, ale zawsze udało mi się na czas je naprawić. Blef się nie udał, panie Pitt, a to dlatego, że kapitan Cinana informował mnie do końca o tym, co się dzieje w sto pierwszej Flocie. Hunter nie mógł poskładać tego wszystkiego w jedną całość w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. - Przerwał na chwilę, masując zmarszczone czoło i dodał: - Największą moją pomyłką, i to niewybaczalną, jak się okazało, był pan. Trzydzieści lat doskonałej izolacji, którą udało się prawie zniszczyć, i to jednej osobie.

- Trzydzieści lat to i tak za długo jak na taką odrażającą zbrodnię - odparł Pitt spokojnie. - Poza tym wszystkie operacje, w których chodzi wyłącznie o zysk, kończą się w ten sam sposób z powodu zbytnej chciwości. To nie ja pana zniszczyłem; sam się pan wykończył, porywając się na więcej niż mógł pan strawić. Największym błędem było porwanie „Starbucka”. Porywanie co jakiś czas handlowych trampów to jedna rzecz, a zupełnie inna rzecz to zabranie Wujowi Samowi najnowszej pływającej zabawki. W pierwszym przypadku straż przybrzeżna przeprowadzi przez krótki czas pobieżne poszukiwania i zakończy sprawę, klasyfikując ją jako zaginięcie z nieznanych przyczyn. Natomiast gdy ginie okręt, US Navy nigdy nie przestanie go szukać, dopóki nie odnajdzie wraku lub nie wykryje prawdy o porwaniu. Nie ma znaczenia, ile czasu to potrwa. Taka jest tradycja.

- Gdyby ten dureń Dupree trzymał się oryginalnego kursu - mruknął Delphi, wpatrując się w podwodny pejzaż za szybą. - Zamiast tego całego zamieszania miałbym nadal święty spokój, Amerykanie swoją zabawkę, a on i jego ludzie cieszyliby się życiem. Widzi pan, majorze, najśmieszniejsze jest to, że ja nie planowałem i nie chciałem porywać tego okrętu. Była to jedyna improwizacja, do której zmusił mnie los.

- Jak pan tego dokonał? - Głos Pitta był spokojny, choć oczy stały się lodowate, gdy usłyszał o losach załogi. - Jak zdołał pan porwać atomowy okręt podwodny płynący w zanurzeniu na pełnym

morzu?

- To akurat było najprostsze. Mam na myśli samo porwanie, kłopoty zaczęły się później. Przeciągnęliśmy na jego drodze grubą stalową linę, która wplątała się w śruby i unieruchomiła to cudo techniki. Gdy przestał dryfować gnany siłą rozpędu, otworzyliśmy od zewnątrz zbiorniki balastowe i musiał osiąść na dnie. Sygnały radiowe były wygłuszone, boje transmisyjne przechwytywane wraz z kapsułami, zanim dotarły na powierzchnię, a fałszywe pozycje podawane do Pearl Harbor. Było to nużące, bo moi ludzie cały czas musieli pilnować okrętu, by przechwytywać próby komunikacji i uniemożliwiać usiłowania ucieczki członków załogi. Trwało to parę miesięcy, ale gdy zapasy żywności się skończyły i ludzie byli wycieńczeni i głodni, wejście do środka i „posprzątanie” nie było już takie trudne.

- Bagatelka - sarknął Pitt. - „Starbuck” był największym pańskim osiągnięciem. Niezłe ukoronowanie kariery. Wypompowanie wody z zalanych przedziałów, bo to pan eufemistycznie określił jako „sprzątanie”, zajęło kilka dni. Miał pan okręt zupełnie jak nowy, tylko na głębokości stu osiemdziesięciu stóp. I problem: co z nim zrobić? Z początku zastanawiało mnie, że nic pan z nim nie zrobił. Dopiero potem mnie oświeciło: miał pan najnowocześniejszy okręt podwodny, kompletny i z pociskami atomowymi o paręset jardów od progu i nie mógł go pan ruszyć o cal, bo nie wiedział pan jak. Za wcześnie pozabijał pan oficerów i załogę, a biedny Farris oszalał i nie było zeń pożytku. Po śmierci ojca i pozostałych był pan jedynym człowiekiem obdarzonym inteligencją w tym towarzystwie. Cała organizacja oparta jest na ślepych posłuszeństwie, ale to wykonawcy, nie myśliciele. I pomysł, by dostarczyć „Starbucka” Rosjanom czy Chińczykom za okrągłą sumkę spalił na panewce, no bo nie mógł ich pan tu zaprosić, by go sobie wzięli.

- Każdy może się przeliczyć - odparł spokojnie Delphi. - Strata Farrisa nie była aż tak tragiczna, jak ją pan przedstawił.

- A co się przytrafiło „Andriejowi Wyborgowi”? Czyżby Rosjanie zdecydowali, że między złodziejami nie ma zasad i próbowali porwać „Starbucka”?

- Tym razem całkowite pudło, majorze. - Delphi delikatnie pomasaował nerkę, w którą dostał kopniaka. - Kapitan „Wyborga” musiał mieć ten rejon na oku, a podejrzania wzbudził postój waszej „Marthy Ann”. Przyplłynął węszyć i nie miałem wyboru.

- Utrata „Marthy Ann” musiała pana ciężko zabołec - zauważył złośliwie Pitt.

- Niestety, nasze straty przy jej zdobyciu były spore - przyznał Delphi ze złym błyskiem w oku. - Polecenie powrotu zostało wydane, zanim moi ludzie zdołali przerwać zdalne sterowanie, a przyznaję, że nie pomyślałem o monitorowaniu częstotliwości radiowych po zajęciu statku.

- Mógł pan ją po prostu wysadzić.

- Nie było czasu. Cinana ostrzegł nas o helikopterach, gdy były już w drodze. Zdołaliśmy jedynie zabrać zabitych i zniknąć.

- Coś ostatnio się panu nie udaje - rzekł lekkim tonem Dirk.

- Pan był na pokładzie i to pan zabił najwięcej moich ludzi i wywiózł załogę tym przeklętym helikopterem. To pan ostatnio psuł moje plany.

- Zamknij się! - warknął Pitt z nienawiścią. - Nie prosiłem o udział w tym cyrku, przyjechałem tu na wakacje. Sam mnie pan zaprosił do zabawy.

Delphi skrzywił się i niespodziewanie zmienił temat.

- Po co pan tu przybył? Nie wodował pan akurat w tym miejscu przypadkiem. Jaki cel ma pańska misja?

- Uratować Adrienne Hunter.

- Kłamstwo!

- Wypchaj się pan. Parę minut temu sam pan przyznał, że nie kłamię, gdy dam słowo.

Oczy gospodarza rozszerzyły się nagle. Zrozumiał. Spoliczkował zaskoczonego Pitta, który zatoczył się na ścianę, ale nie upadł.

- „Starbuck”. - Głos Delphiego był spokojny jak śmierć i równie groźny. - Stwierdził pan, że okręt jest sprawny, zabił dwóch moich ludzi i uciekł z Farrisem, a teraz przywiózł pan załogę, by zabrać „Starbucka”.

- Uczciwie przyznaję, że trafił pan w sedno - stwierdził z uśmiechem Pitt.

Summer spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami, w których widniał podziw.

- Tak jak przyrzekłem, mówię prawdę - dodał Pitt. - Przywiozłem załogę podwodniaków z US Navy, aby doprowadziła okręt do stanu pełnej używalności. Podczas gdy tu sobie miło gawędzimy o pańskich wyczynach w świecie zbrodni, powinni spokojnie unieść go z dna i odpłynąć. Jest za jedenaście minut piąta, więc będą o jakieś dwadzieścia mil na południe. Fortuna bywa zmienna, ale dziwię się, że jest pan zaskoczony przebiegiem wydarzeń. Tym razem nie mogło się panu udać. Pentagon jest konsekwentny. Jednego nie mógł pan przewidzieć: za jedenaście minut USS „Monitor” odpali taktyczną rakietę klasy Hyperion z głowicą nuklearną prosto w miejsce, w którym akurat się znajdujemy. Za mniej więcej kwadrans wszyscy zginiemy.

- Tych ścian nic nie ruszy. - Delphi już doszedł do siebie. - Proszę się rozejrzeć, majorze. To nie koral, to granit kwarcowego typu. Najtwardszy granit na ziemi. To materiał wytrzymalszy od zbrojonego betonu.

- To prawda, ale nawet zbrojony beton nie wytrzymuje bezpośredniego trafienia, jeżeli nie jest chroniony grubą warstwą ziemi. A tu wystarczy jedno pęknięcie i tysiące ton wody załatwi resztę,

zamieniając ten tunel w śmiertelną pułapkę i miażdżąc wszystko. Co nie zostanie zmiażdżone, zostanie zatopione i to naprawdę szybko.

- To się nazywa wyobraźnia - przyznał z uznaniem olbrzym. - Tylko nikt nie odpali żadnej rakiety, jak długo jest tu pan, kapitan Giordino i panna Hunter. Jesteście moim ubezpieczeniem.

- Przeterminowanym. O tym, że my dwaj tu jesteśmy, nie wie nawet Hunter, a decyzję o wystrzeleniu Hyperiona i załatwieniu sprawy podjęto w Stanach, a nie tu, na Hawajach. Jeżeli uważa pan, że Hunter poinformował ich o porwaniu córki, to jest pan w grubym błędzie. Ten typ zawsze będzie stawiał obowiązek na pierwszym miejscu. Decyzję podjął już wczoraj, dlatego wybraliśmy się tu z Alem po panienkę. Takie są fakty, Delphi. To koniec.

Spokój powoli zaczął znikać z ponurej twarzy olbrzyma. Spojrzał na Pitta niepewnie.

- Słowa. To tylko słowa. Niczego nie jest pan w stanie udowodnić - odparł.

Pitt zdecydował się rzucić na stół asa - mając siedem minut i tak niczego nie ryzykował.

- Chce pan dowodu, że to co powiedziałem, to nie plotki? Proszę bardzo: niech pan sprawdzi w radiostacji, a okaże się, że stacja na Maui od ponad kwadransa jest w rękach piechoty morskiej. Admirał Hunter mniej więcej od tego czasu próbuje się z panem skontaktować, by uzgodnić warunki kapitulacji.

Reakcja Delphiego zaskoczyła Pitta zupełnie: zamiast pognać do radiostacji, siedział przez chwilę nieruchomo, po czym wybuchnął śmiechem; po policzkach pociekły mu łzy.

- Dureń! - wykrztusił wreszcie, z trudem opanowując wesołość. - A mówiłem, że to blef. Przyznaję, że prawie się udał, bo o tym nie mógł pan wiedzieć. Ani pan, ani Hunter, ani reszta. Minęło zbyt mało czasu, by sprawa mogła się wydać. Stacja na Maui nie należy do mnie od sześciu tygodni. Sprzedałem ją Rosjanom i to nie ja podsłuchiwałem wasze rozmowy. Owszem, do określonego dnia, czyli do wczoraj, współpracowaliśmy i zagłuszenia waszych transmisji były moją sprawą, ale to już przeszłość. Za sprawną radiostację tak blisko jednej z głównych baz US Navy zapłacili naprawdę dobrze. Zależało im na tym, aby dowiedzieć się, gdzie jest „Starbuck”. Dowiedzieli się w końcu dzięki panu, ale zbyt późno. Doskonała zagrywka, nie sądzi pan, majorze? Do samego końca nie mieli pojęcia, że współpracują z kimś, kto posiada poszukiwany przez nich okręt. Nawet jeśli mówił pan prawdę i liczył na ratunek w ostatniej chwili, to przykro mi, ale nic z tego; nie będzie wiadomości od admirała Huntera i nie będzie negocjacji. Nawet jeżeli piechota morska zajęła radiostację, to mój nadajnik tutaj jest już rozmontowany. Poza tym opuszczam to miejsce, gdyż po pierwsze panuje tu ostatnio zbyt duży tłok, a po drugie przestało być użyteczne. Od jutra firma pod inną nazwą będzie działać w zupełnie innej bazie. Poza tym, prawdę mówiąc, nie wierzę w to, co mi pan powiedział, zwłaszcza o tej rakiecie. Według pana „Starbuck” powinien być w drodze na południe. Otóż śmiem w to wątpić, a to z dwóch powodów. Miał pan rację, że bez wyszkolonej załogi nie da się uruchomić i opanować tak skomplikowanego urządzenia jak atomowy okręt podwodny, ale jest jeszcze drugi problem i aż dziw bierze, że nikt w US Navy na to nie wpadł:

okręt ma puste zbiorniki balastowe, a mimo to nie można go ruszyć z miejsca. Miesiące bezruchu spowodowały powstanie takiego podciśnienia czy zassania, nazwa nie ma tu akurat znaczenia, pomiędzy dnem kadłuba a piaskiem, że nic poza solidną operacją ratowniczą nie ruszy go z miejsca. To jeden powód; drugim zaś jest to, że pańscy podwodniacy są już albo martwi, albo w niewoli, gdyż okrętu pilnuje siedmiu moich najlepszych ludzi i to takich, którzy lubią zabijać. Widzi pan, byłem pewien, że wasza marynarka nie zostawi mnie w spokoju i spróbuje odebrać mi okręt. Przykro mi, majorze, ale przeciwko tej siódemce pańscy technicy mają szansę jak jeden do tysiąca.

Pitt bez słowa rzucił się na niego, próbując ostatniej szansy. Na stole leżał rewolwer; jeżeli zdoła go złapać i użyć Delphiego jako zakładnika, mogą jeszcze stąd wyjść. Jeżeli nie - są już martwi. Nagle poczuł gwałtowne uderzenie w lewe ramię i wyładował na podłodze. Jeden ze strażników trafił go z pistoletu-rękawiczki.

Summer pisnęła i skuliła się przy ścianie. Chciała podejść do niego, ale jedno spojrzenie ojca unieruchomiło ją. Giordino nawet nie drgnął. Dirk, spojrzawszy na niego, dostrzegł porozumiewawcze mrugnięcie oznaczające, że Al ma jakiś plan.

- Niech się pan cieszy - warknął Pitt, trzymając się za przestrzeloną rękę. - Wygrał pan bitwę, ale do zwycięstwa w wojnie jeszcze daleko.

- Znów pudło, majorze. Ma pan dziś pecha, choć przyznaję, że to nie pańska wina. Ma pan wyjątkowy talent do kłamstw. Nie chciałbym spotkać się z panem przy pokerze, ale to już mi nie grozi. Wracając do tego, co i jak wygrałem. Dzięki „Starbuckowi” zdołałem zebrać wystarczające fundusze, by zająć się mniej ryzykownymi operacjami. „Starbuck” jest już sprzedany. Jutro nastąpi oficjalne przekazanie go nowym właścicielom, którzy są w drodze. Pewien jestem, że wiedzą, jak wykorzystać okręt i rakiety.

- Szantaż atomowy. Pan jest szalony!

- Szantaż atomowy? Majorze, to może się zdarzyć tylko w głupawych powieściach szpiegowskich. Naprawdę spodziewałem się po panu czegoś więcej. Nie miałem i nie mam ochoty nikogo szantażować użyciem broni atomowej. To się po prostu nie opłaca, a jak powinien już pan wiedzieć, moim głównym i jedynym celem są dochody. Poza tym, niezależnie od pańskiego przeświadczenia, nie lubię zabijać kobiet i dzieci. To barbarzyństwo. Mężczyzna to zupełnie co innego, może się bronić i jest to doskonała forma polowania. Natomiast wracając do „Starbucka”, to mamy najprostsze i najbardziej logiczne rozwiązanie: sprzedałem go jednemu z arabskich mocarstw naftowych, nie ma znaczenia któremu. Zapłacili rozsądną cenę bez większych targów.

- Szaleństwo! Jest pan całkowicie, absolutnie i nieuleczalnie obłąkany - stwierdził ze smutkiem Pitt.

Wiedział, że to tylko puste słowa. Delphi mógł być psychopata, ale na pewno nie był szalony. To co mówił, miało sens. Każdy bogaty kraj arabski marzył o posiadaniu własnej broni nuklearnej. Przy bogactwie emiratów, cena była sprawą marginalną.

- Wkrótce zresztą będziemy mieli pewność. - Delphi podszedł do interkomu i polecił: - Przygotować mój statek. Będę w doku za pięć minut. - Odwrócił się do Pitta i dodał: - Inspekcja osobista na „Starbucku”. Jeżeli ktoś z pańskich podwodniaków przeżył, to przekażę mu od pana pozdrowienia.

- Strata czasu.

- Wątpię. Okręt leży tam nadal.

- Nawet jeżeli tak, to Navy nigdy z niego nie zrezygnuje; nie mogąc go odzyskać, zniszczy go.

- Za parę godzin nie będzie miała nic w tej kwestii do powiedzenia. Owszem, mogliby posłać tu raketę, gdyby sytuacja była taka jak teraz, ale za kilka godzin będzie tu arabska flotylla ratownicza. To międzynarodowe wody i US Navy nie zaryzykuje wywołania światowego konfliktu atomowego, tylko po to, aby odzyskać wrak. Wasz Departament Stanu nigdy się na to nie zdecyduje. Będą próbowali negocjacji z Arabami. Wynik naprawdę mnie nie obchodzi. Ledwie nurkowie stwierdzą, że okręt jest na miejscu i jest suchy, moje znaleźne zostaje odblokowane z konta. Jest to kwota ośmiuset milionów funtów.

- Nie doczeka pan tego radosnego faktu. Za kilka minut będzie pan martwy - syknął Pitt.

Delphi spojrział mu w oczy - ziejąca z nich niechęć i lodowata wrogość były przerażające.

- Doprawdy? - Odwrócił się z wysiłkiem i podszedł do drzwi. - Skoro mam umrzeć, panie Pitt, to przynajmniej z satysfakcją, że pana ten los spotkał przedtem. Wrzucicie ich do morza! - Ostatnie zdanie skierowane było do dwóch strażników. W progu odwrócił się ze złośliwym uśmiechem. - Tym razem żegnam pana ostatecznie, majorze Pitt, i dziękuję za nader rozrywkowy poranek.

Zamknął za sobą drzwi i zapadła cisza. Pitt spojrział na zegarek - była czwarta pięćdziesiąt osiem.

ROZDZIAŁ 18

Ciało Giordina nagle podskoczyło, drgając spazmatycznie, z gardła dobył się charkot, a oczy wywróciły się w głąb czaszki, ukazując białka. Osunął się na posadzkę, trzymając się za gardło i próbując złapać powietrze; z ust ciekła mu piana. Twarz była nabrzmiąta i purpurowa. Przedstawienie zostało tak doskonale odegrane, że strażnicy byli całkowicie zaskoczeni. Pitt nawet nie drgnął.

Dirk spokojnie czekał, aż strażnicy, nadal celując do niego, zarzucili sobie bezwładne ręce Ala na ramiona i unieśli go. Bez słowa gestem wskazali Pittowi, by ruszał do drzwi i szedł przed nimi.

Skinął głową i przeszedł przez salę, zatrzymując się przed dziewczyną.

- Summer - powiedział cicho. - Mam ci tyle do powiedzenia i tak mało czasu. Odprowadzisz nas?

Przytaknęła i dała znak strażnikom, którzy wciąż milcząc, pochylili głowy. Ujęła Pitta pod zdrowe ramię i wyprowadziła na długi, jasno oświetlony korytarz. Milczący wartownicy pół niosąc, pół ciągnąc bezwładnego Ala, podążyli za nimi. Korytarz łagodnie przechodził w pochyłe rampy, dzięki czemu osiągało się kolejne poziomy bez korzystania ze schodów.

- Proszę, wybacz mi. Jej głos był odrobinę głośniejszy od szeptu.

- Co mam ci wybaczyć? To nie jest twoja wina, tylko twojego ojca. Ty już dwukrotnie uratowałaś mi życie. Dlaczego to zrobiłaś?

Spojrzała mu w oczy. Jej twarz była piękna i delikatna.

- Przy tobie dziwnie się czuję - wyszeptała. - To nie zadowolenie czy radość... Nie tylko... Nie wiem tego ani opisać, ani nazwać.

- To się nazywa miłość - odparł miękko.

Pochylił się i lekko ucałował jej oczy.

Strażnicy zatrzymali się i popatrzyli na nich w zdumieniu, niczego nie rozumiejąc. Nogi Ala wlokły się po posadzce, głowa zwisała na prawe ramię; jęczał cicho. Żaden z mężczyzn nie zwrócił uwagi na to, że Giordino ostrożnie otworzył oczy i lekko uniośł głowę. Gdy spostrzegli, że ciało nagle przestało być bezwładne, było już za późno. Jednym gwałtownym naprężeniem mięśni Giordino stanął na nogi, wygiął ciało do tyłu, chwycił strażników za włosy i zderzył ich głowy z wielką siłą. Odgłos, który towarzyszył zetknięciu się obu czaszek przypominał dźwięk rozbijanych niedojrzałych arbuzów. Głowy odskoczyły bezwładnie od siebie i dwa ciała osunęły się na podłogę. Al popatrzył na nie z pełnym satysfakcji uśmiechem.

- No, to była artystyczna robota, prawda? - spytał, wyraźnie domagając się pochwały.

- Piękna w każdym calu - stwierdził z uśmiechem Pitt, po czym ujął brodę dziewczyny zdrową dłonią i spytał, patrząc jej w oczy: - Pomożesz nam stąd wyjść?

Patrzyła na niego przez rozwiane włosy jak przerażone dziecko podczas pierwszego dnia pobytu w przedszkolu i zamiast odpowiedzi objęła go w pasie i przytuliła się mocno.

- Kocham cię - powiedziała cicho z oczami pełnymi łez. - Kocham cię.

Dirk pochylił się i pocałował ją w usta.

- Nie chciałbym wam przeszkadzać - wtrącił Giordino, pozbierawszy broń zabitych strażników - ale czas nam się kończy.

Summer przytaknęła, chwyciła Pitta za rękę i ruszyła przed siebie.

- Moment! - powstrzymał ją. - Gdzie jest Adrienne Hunter? Musimy zabrać ją ze sobą.

- Śpi w pokoju przylegającym do mojego.

- Zaprowadź nas tam.

- Jak? Przecież twój przyjaciel nie może chodzić. A to znacznie dalej niż do wyjścia.

- Ja mam z nim krzyż pański od tak dawna, że zdążyłem się już do tego przyzwyczać - uśmiechnął się Pitt przyklekając.

Bez zbędnych pytań Giordino objął go za szyję. Dirk chwycił go zdrową ręką pod kolanami i wstał z trudem.

- Czuję się jak niemowlę - skrzywił się Al.

- Tylko, cholera, ważysz dużo więcej - sapnął Pitt. - Summer, prowadź.

Pospieszyła przodem, zatrzymując się przy każdym zakręcie korytarza. Sprawdziwszy, że droga wolna, dziewczyna kiwała ręką i Pitt ruszał w jej ślady. Pomimo chłodu zaczynał się pocić. Ból wzmagął się z każdą chwilą i musiał mocno zaciskać zęby, by nie jęczeć. Nagle Summer dała znak, że ktoś się zbliża. Cofnęli się do najbliższych drzwi, przywierając do ściany. Pitt puścił Ala, który wsunął mu w dłoń pistolet. Z poprzecznego korytarza wyraźnie słychać było zbliżające się kroki. Dirk poczuł, że pot zalewa mu oczy. Sekundy wlokły się w nieskończoność, zanim kroki ucichły; dwóch strażników przeszło, nie rozglądając się na boki. Tym razem dopisało im szczęście.

- Chodźcie. Teraz jest czysto.

Pitt oddał Alowi broń i ponownie wziął go na ręce.

- Ile mamy czasu? - spytał.

- Nie zdążymy. Jeśli odpalą o czasie, to zostało trzydzieści sekund - odrzekł ponuro Giordino.

- Odpalą - mruknął Pitt przez zaciśnięte zęby. - Delphi całkowicie się pomylił. Gdy nie dostaną odpowiedzi na propozycję poddania, potraktują to jako odmowę i wystrzelą raketę zgodnie z pierwotnym planem.

Summer wzięła Dirka za rękę i poprowadziła go dalej, podtrzymując w miarę swoich możliwości jego obolałe ciało. Pitt brnął do przodu, noga za nogą, wmawiając sobie, że jeszcze jeden krok i będą na miejscu. W końcu, gdy sięgał do ostatnich rezerw energii, dziewczyna przystanęła przed kolejnymi drzwiami, nasłuchiwała przez moment, po czym otworzyła je cicho i weszła do środka. Pitt wtoczył się za nią, pochylił się i posadził Ala na dywanie.

Summer podbiegła do łoża wyrzeźbionego w tylnej ścianie i potrząsnęła śpiącą Adrienne.

- Obudź się! Proszę, obudź się!

Adrienne jęknęła cicho. Summer chwyciła ją za nadgarstek i ściągnęła nagie ciało na dywan. Adrienne wyszarpnęła dłoń i siadła, mrugając oczami. Ujrawszy obu mężczyzn, zerwała się z podłogi i nie próbując osłaniać nagości, podbiegła do Pitta.

- Boże! Dirk, co się stało? - Przyklękła przy nim. - Jak się tu znaleźliście?

- Przyszliśmy... po... ciebie... - odparł urywanym głosem.

Potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- Niemożliwe. Z tego labiryntu nie ma wyjścia!

- W sypialni Summer... za ścianą... jest przejście do... morza...

W tym momencie dał się słyszeć ciężki łoskot wybuchu, pokój zadrżał pod działaniem odległej fali uderzeniowej. Przez chwilę stali bezsilni wobec ogromu zagrożenia.

- Nie mamy czasu - warknął Pitt. - Zabieramy się stąd.

Summer rozejrzała się bezradnie.

- Nie mogę... ojciec...

- Albo idziesz z nami, albo zginiesz. Lada chwila ta góra zawali się.

Dziewczyna nie poruszyła się; obie z Adrienne wpatrywały się w siebie niewidzącymi oczami jak zahipnotyzowane.

- Dobra, panienki - odezwał się Giordino. - Słyszeliście szefa? Brać dupę w troki i jazda!

Poskutkowało. Summer zarumieniła się i pobiegła do swojego pokoju, Adrienne podążyła w ślad za nią; Pitt z Alem zamykali pochód. Zaledwie zdążyli wejść do sypialni Summer, gdy potężny wstrząs rzucił ich na podłogę. Rozległ się ogłuszający ryk. Ocean przedarł się przez szczeliny i pęknięcia na najwyższym poziomie i z siłą cyklonu runął przez korytarze i sale podziemnej siedziby, miażdżąc i topiąc wszystko na swej drodze.

Pitt zerwał się na równe nogi, zapominając o bólu i zatrzasnął drzwi prowadzące na korytarz. Chwycił Adrienne i popchnął ją przez zasłone przegradzającą tunel wyjściowy. Wrócił po Summer, podniósł ją z podłogi, w kilku krokach pokonał odległość od zasłony i rzucił ją niezbyt delikatnie na rozciągniętą na podłodze Adrienne. W tym momencie lustro zastępujące sufit runęło, roztrzaskując się na kawały. W ślad za nim spłynęła kaskada wody, której towarzyszyły odgłosy pękających w oddali skał.

- Al! - ryknął Pitt. - Gdzie jesteś, do cholery?

- Tu! - Giordino zamachał ręką spod kamiennego stołu.

Z góry woda lała się nieustannie, choć z mniejszą niż początkowo siłą. Niosła ze sobą rozmaitej wielkości kamienie. Trzaski i huki pękających ścian przybliżyły się znacznie. Pitt zacisnął zęby i ruszył przez spienioną wodę. Po chwili udało mu się chwycić dłoń Ala.

- Daj spokój! - zawołał Giordino. - Jeżeli będziesz mnie niósł, to nie zdążysz!

- Zamknij się i nie przeszkadzaj. Mam jedyną okazję zdobyć medal za uratowanie życia. - Przerzucił ramię przyjaciela przez plecy i zaprowadził go do tunelu. Gdy tam dotarli, woda sięgała już do kolan. - Dziewczęta, biegnijcie przodem - polecił Pitt. - My z Alem idziemy zaraz za wami.

Tym razem nie musiał powtarzać - obie czym prędzej ruszyły w półmrok. Nie potrafili poruszać się tak szybko, toteż wkrótce zniknęły im z oczu. W pewnej chwili Pitt potknął się i runął na podłogę, wciągając potężny haust wody. Ocean momentalnie zamknął się nad jego głową. Krztusząc się i parszając, Dirk zdołał przykleknąć. Przyjaciel chwycił go bezceremonialnie za czuprynę i pomógł mu wstać.

- Mówiłem ci, że będziesz żałował - mruknął na widok prychającego Pitta.

- Ciągle narzekasz. - Dirk wypluł kolejny łyk wody. - Przestań marudzić, bo się spóźnimy na przejażdżkę.

Giordino potrząsnął głową w niemym zdziwieniu i ruszył śladem Dirka. Resztę korytarza przebyli bez przeszkód. Zaczął się on wkrótce poszerzać i robiło się coraz jaśniej. Po kolejnej chwili zmagani dotarli do schodów, gdzie wody było znacznie mniej, choć dla odmiany z sufitu sypał się grad fosforyzujących odłamków, sprawiając wrażenie dziwnego deszczu meteorytów.

- Jeszcze chwila, stary - pocieszył Ala Pitt. - Powinniśmy wkrótce zobaczyć te dwie rzeźby.

- Widzisz dziewczyny?

- Jeszcze nie. Ale będą tam, jestem tego pewien.

Pitt zaczął odczuwać nadzieję - jak dotąd przetrwali wybuch i najgorsze jego skutki. Jeżeli znajdą się w wodzie, zanim wszystko się zawali, to nawet bez akwalungów powinni z łatwością dotrzeć do powierzchni. Były co prawda rekiny, ale przy tym zamieszaniu i falach uderzeniowych rozchodzących się w wodzie silniej niż w powietrzu, było mało prawdopodobne, by któregoś napotkali. Poza tym, jak długo będzie żył, tak długo nie przestanie walczyć o następne chwile istnienia. Przyspieszył, ciągnąc Ala, by wreszcie wydostać się z tej wywołującej klaustrofobię pułapki. Jeżeli mieli zginąć, to lepiej na powierzchni niż w tych mrocznych kazamatach. Minęli ostatni zakręt. Pitt dostrzegł Summer stojącą na platformie częściowo zalanej wodą. Wyglądała niczym rzeźba Rodina skąpana w złotym blasku. Po sekundzie zauważył też Adrienne opartą z rezygnacją o podstawę jednej z rzeźb. Słyszając ich kroki, uniosła głowę. W jej oczach było przerażenie.

- Dirk... za późno... - wymamrotała. - On...

- Nie ma czasu na konwersację - przerwał jej brutalnie. - Sufit runie lada chwila...

Ostatnie słowa zamarły mu na ustach. Zza drugiego posągu wyszedł Delphi z Coltem wymierzonym w jego czoło.

- Wyjść przed końcem przyjęcia? A fe, co za maniery - syknął z twarzą wykrzywioną nienawiścią.

- Łatwo się nudzę - odpalił Pitt. - Ciekawe jak takie ścierwo jak ty można zatłuc? Chyba tylko szpadlem jak glistę, jak mawiał mój dziadek. Jak chcesz, to mnie zastrzel i kończ ten cyrk, zanim sufit runie wszystkim na głowy, albo spierdalaj z drogi.

- Ładnie powiedziane, choć po chamsku - przyznał olbrzym. - Rozumujesz błędnie: jedynymi, którzy ujdą z życiem, będziemy moja córka i ja.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Słyszać było tylko plusk spadających do wody odłamków skalnych. Naraz gdzieś z wnętrza góry dał się słyszeć głuchy huk, któremu towarzyszyło wszechobecne drżenie. Wkrótce Kanoli na stałe powróci do świata legend, tym razem na zawsze. Wtem rozległ się przeraźliwy trzask, odbijając się wibrującym echem od kamiennych ścian. Przez sekundę Pitt był pewien, że Delphi wystrzelił. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że źródło hałasu leżało za nimi i wyżej. Wystarczyło spojrzenie: jedna z bocznych ścian pękła, zasypując schody gradem kamieni. Był przekonany, że to koniec, instynkt jednak wziął górę. Wepchnął Summer do wody i wydłużonym skokiem dopadł Adrienne, przewracając ją na podłogę. Zdołał przykryć ją własnym ciałem, gdy lawina sięgnęła podestu.

Tysiące ton różnej wielkości głazów i kamieni przewaliło się przez schody. Jeden z posągów przetrzymał wstrząs, drugi przewrócił się jak kowboj w środku stampede. Dirk zacisnął zęby. Czuł na plecach deszcz odłamków i czekał na najgorsze. Nie musiał czekać długo - potężna bryła musnęła jego bok, lądując z pluskiem w wodzie. Bardziej usłyszał niż poczuł, jak pęka mu żebro. Kamień wielkości pięści przeleciał tuż przed jego twarzą, zdzierając mu skórę z czoła, a inny uderzył go w głowę. Pitt przez chwilę zobaczył gwiazdy, ale tym razem nie stracił przytomności. Z rozcięcia na głowie spływał na twarz strumyczek krwi. Coś przywalało mu nogi, czyjś obłąkańczy krzyk wypełniał mu uszy, na plecy spadały kolejne kamienie i najpierw nie chciał, a potem nie mógł się poruszyć. Dopiero po pewnym czasie zorientował się, że krzyk wydobywa się z ust Adrienne. Po chwili zapadła cisza przerywana jedynie sporadycznym turkotem jakiegoś spóźnionego odłamka. Pitt ostrożnie unióśł głowę i rozejrzał się zaskoczony tym, że żyje - podłoga stanowiła rumowisko skalne, nad którym unosiła się kurtyna fosforyzującego kurzu niczym olbrzymie stado świetlików. Musiał odczekać dłuższą chwilę, zanim zdołał zidentyfikować położone dalej obiekty. Jeden posąg stał otoczony wałem porozbijanych skał. Drugi zniknął i dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się Pitt dostrzegł, że leży na boku połamany na kilka części. Za jedną z nich dostrzegł jakiś ruch.

Uwolnił rękę ze skalnego rumowiska i starł z twarzy krew zmieszana z kurzem. Wytężył wzrok. Delphi! Olbrzym leżał przygnieciony kawałami potrzaskanej statuy, spod których wystawała jedynie głowa i ramię. Z ust ciekła mu strużka krwi. Gdy rozpoznał Pitta, jego twarz przybrała wyraz niepohamowanej nienawiści.

Pył opadał z wolna i obaj równocześnie dostrzegli rewolwer, którego lufa wystawała z gruzu o około cztery stopy od głowy Delphiego. Dirk zaklął w duchu, obserwując bezsilnie, jak ręka tamtego pełźnie cal po calu w stronę broni. Sam był zbyt daleko. Nogi miał unieruchomione i choć nie czuł bólu, nie mógł ich uwolnić jednym ruchem, a na spokojne odwalenie kamieni nie miał czasu. Desperacko rozejrzał się za jakimś odłamkiem, którym mógłby cisnąć w głowę przeciwnika, ale w zasięgu ręki miał jedynie gruz, albo głazy zbyt duże, by unieść je jedną ręką.

Twarz Delphiego była wykrzywiona z wysiłku i mokra od potu; jak dotąd nie wydał z siebie żadnego dźwięku, wszystkie siły kierując na chwycenie broni odległej jeszcze o sześć cali. Dla Pitta czas stanął w miejscu - czuł całkowitą bezsilność i żal do losu za oszustwo; tyle razy uniknąć śmierci w tak nieprawdopodobnych okolicznościach i to tylko po to, by dać się zastrzelić jak cel na strzelnicy. Przeklęte dwie stopy! Tyle bowiem dzieliło go od Colta. Ocknął się z bezruchu i gorączkowo zaczął odpychać przygniatające go skały, ale wiedział, że to jedynie pusty gest - nie mógł zdążyć. Tym razem przegrał i miał świadomość porażki.

Palce olbrzyma dotknęły lufy, złapały muszkę i pociągnęły. Broń przesunęła się o jedną ósmą cala, ale wymknęła się z jego palców. Ponownie spróbował jej dosięgnąć, lecz bez skutku. Nie zrażony tym ponowił próbę i w końcu zdołał chwycić rewolwer za lufę i przyciągnąć do siebie. Ujął rękojęść z wielką siłą; kostki na dłoniach zbieleły. Zakasłał, wypluwając przy tym sporo krwi, ale ręka nie drgnęła mu ani o ułamek cala. Z triumfującym uśmiechem, który odsłonił upiornie wyglądające, czerwone od krwi zęby, wymierzył broń dokładnie między oczy Pitta.

Nagle kilka stóp przed nim coś się poruszyło. Zaskoczony Pitt obserwował jak czyjeś ramię

przesunęło się po gruzie i wyprostowało. Ręka pochyliła się w stronę Delphiego, dłoń zwinęła się w pięść poza małym palcem, który sztywno wyprostowany sterczał na całą długość. Ręka opadła błyskawicznie, trafiając idealnie w wylot lufy Colta. Mały palec zagłębił się w niej aż do pierwszego stawu.

Pomysł był niesamowity, lecz dający jedyną szansę sukcesu. Ręka należała do Giordino, który nie mógł poruszyć żadną inną częścią ciała. Al był zbyt daleko, by móc złapać lufę i wyszarpnąć broń Delphiemu. Zrobił, co mógł, czyli zatkał lufę jedyną rzeczą, którą dysponował - własnym palcem. Wiedział, że przy strzale straci go, ale wiedział również, że Delphi strzelając wyda na siebie wyrok. Gazy rozerwą lufę, a wyrwany kurek uderzy z wielką siłą w twarz strzelca.

W oczach Delphiego błysnęło przerażenie. Próbował szarpnięciem uwolnić broń, ale ruchy były słabe - najwyraźniej gonił resztkami sił. Przez chwilę trwał nieruchomo, próbując obmyślić jakąś skuteczną strategię, ale osłabiony umysł nie podsuwał sensownego rozwiązania. Olbrzym błysnął ponownie upiornym uśmiechem i nacisnął spust.

Stłumiony huk wstrząsnął jaskinią. Z sufitu oderwało się kilka odłamków i rozszedł się zapach spalonego prochu. Prawa strona głowy Delphiego zniknęła, broń rozprysnęła się, ciało osunęło się w dół, uderzając z głuchym odgłosem o skałę.

Giordino nawet nie jęknął. Ponownie uniósł rękę i rozprostował zaciśniętą pięść: kciuk i trzy palce. Małego palca nie było, został urwany u nasady.

Pitt ocknął się i zdwoił wysiłki zmierzające do wyswobodzenia się ze skalnej pułapki. Gdy zdołał wreszcie wyciągnąć nogi, uwolnił zszokowaną Adrienne. Oparł dziewczynę o ocalały posąg. Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem i zemdląła.

- Jak już jesteś na chodzie - mruknął Giordino przez zaciśnięte zęby - to może byś mnie odkopał? Cholernie tu niewygodnie.

- W tej sekundzie.

Pitt podczołgał się do przyjaciela i zaczął spychać rumowisko. Al pomagał mu w miarę możliwości. Po kilku minutach Giordino był wolny.

- Czy poza brakiem palca coś ci jeszcze dolega?

- Nie sędzę. A tobie?

- Złamane żebro albo dwa, nie jestem pewien. - Dirk zdjął podarte kąpielówki, oderwał pasek i oznajmił: - Daj no łapę, trzeba ci jakoś opatrzeć to wspomnienie po palcu.

- Słyszałem o tym, że przyjacielowi oddawano w potrzebie własną koszulę - stwierdził Al - ale majtki są twoim własnym pomysłem.

Ledwie skończyli opatrunek, w miejscu, gdzie osypisko wpadało do wody, rozległ się cichy jęk. Summer powoli wspięła się na brzeg, rozglądając się nieprzytomnie. Spojrzała na Dirka. Trwało chwilę, zanim go rozpoznała.

- Ojciec... co...? - Głos jej zamarł.

- Spokojnie. Za kilka minut będziemy bezpieczni.

Pitt podszedł do niej i delikatnie objął, odgarniając mokre włosy z czoła. Na skroni miała niewielkie rozcięcie, ale poza tym wydawała się cała i zdrowa. Szepnął dziewczynie coś do ucha i pocałował lekko w usta. Po schodach i rumowisku zaczęło spływać więcej wody, ale nie zdawał sobie z tego sprawy pochłonięty trzymaną w ramionach dziewczyną. Po chwili spojrzała na niego dziwnie odległym wzrokiem i spytała spokojnie:

- On nie żyje, prawda?

- Zmiażdżył go posąg - odparł.

Było to częściowe kłamstwo, ale nie miał wyrzutów sumienia. Delphi i tak zmarłby z powodu wewnętrznych obrażeń i krwotoku. O ostatniej próbie mordu nie musiała wiedzieć.

- Cholernie mi przykro, że znowu wam przeszkadzam - odezwał się Giordino - ale lepiej się stąd wynośmy, zanim sufit zechce spaść nam na głowy.

Pitt pocałował Summer raz jeszcze i wstał niepewnie. Chciał poprosić Ala o pomoc przy cuceniu Adrienne, ale dziewczyna wstała o własnych siłach, naga i pokryta złocistym pyłem. Giordino próbował nie spoglądać nachalnie na jej kołyszący się biust, ale nie bardzo mu to wychodziło.

- Może pani pływać, panno Hunter? - spytał uprzejmie, nie mogąc oderwać wzroku od imponujących piersi.

- Postaram się - odparła słabo.

- Al, ty i Adrienne popłyniecie pierwsi. Niech cię złapie za szyję, żeby się nie zgubiła. My popłyniemy zaraz za wami; w tej małej jaskini zrobimy chwilę przerwy.

- Szkoda że akwalungi szlag trafił - stwierdził Giordino, rozglądając się wokół ponurym wzrokiem. Wzruszył ramionami, po czym delikatnie wziął Adrienne za rękę. - Podwodny ekspres Alberta Giordino właśnie odpływa.

Wszedł do wody, założył jej ręce na swój kark i powoli zanurzył się do ramion. Skryła głowę za jego łopatkami, posłusznie słuchając poleceń.

- Trzymaj się mocno i weź głęboki oddech - rzekł Al.

Począł aż to zrobić i zanurkował, pozostawiając za sobą jedynie falującą wodę.

Summer spojrzała na rumowisko otaczające przewrócony posąg.

- Nic się nie da zrobić? - spytała.

- Nic.

Żał to dziwne uczucie; jej smutna twarz stała się nagle maską zdeterminowania i żalu.

- Kocham cię, Dirk, ale... nie mogę z tobą iść.

- Nie opowiadaj nonsensów.

- Proszę, zrozum mnie. To zawsze był mój dom. Tu spoczywa matka, a teraz i ojciec.

- To nie powód, żebyś i ty miała tu umrzeć.

Położyła mu głowę na piersi i powiedziała cicho:

- Obiecałam kiedyś tacie, że nigdy go nie opuszczę. Muszę dotrzymać słowa.

Ostatkiem sił powstrzymał się przed solidnym ciosem, który pozbawiłby ją przytomności i umożliwił bezproblemowe dotarcie do jaskini. Zamiast tego pogładził ją łagodnie po włosach i cicho odparł:

- Jestem samolubny. Twój ojciec nie żyje i teraz należysz do mnie. Chcę cię i potrzebuję, a nawet on nie wymagałby, żebyś dotrzymywała w takich warunkach dziewczęcej obietnicy. I nie chcę więcej żadnych sporów na ten temat. Odpływamy razem i to już.

Nadal cicho płakała, gdy trzymając się za ręce, zniknęli pod złocistą powierzchnią wody.

Gdy wynurzyli się w drugiej jaskini, Giordino i Adrienne siedzieli na skalnej półce.

- Co tak długo robiliście? - powitał ich Al. - Wiesz, że jak beczynnym czekam, to robię się głodny.

- Niektórzy zawsze tylko myślą o jedzeniu - stwierdził Pitt, który w tej chwili nie byłby w stanie przełknąć nawet najlepiej przyrządzonego specjału.

Serce tłukło mu się jak oszalałe. Wiedział, że dochodzi do ostatniej granicy sił i wytrzymałości. Wszystko go bolało i jedyne, do czego był zdolny, to przytrzymać się brzegu - wejście na górę było już ponad jego siły.

- Jesteśmy w pół drogi do domu - stwierdził, siląc się na spokój. - Teraz szybko w górę, a potem już spokojnie do Honolulu.

- Zawsze cenilem twój optymizm - przyznał Al z uśmiechem.

- Przecież to nie ma sensu - zdenerwowała się Adrienne. - Do Honolulu...

- A czy cokolwiek tutaj ma sens? - przerwał jej Giordino.

Nie doczekał się odpowiedzi. Właśnie w tym momencie jeden z odważniejszych krabów wspiął się na nogę dziewczyny. Adrienne odskoczyła konwulsyjnie, a w następnej sekundzie przenikliwy wrzask wypełnił zamkniętą przestrzeń, odbijając się echem od kamiennych ścian i płosząc pozostałe kraby, które rzuciły się do panicznej ucieczki w mroczne szczeliny.

- Spokojnie. - Al dopadł ją jednym skokiem i zamknął w potężnym uścisku. - Już wszystko dobrze. Za dwie minuty będziemy bezpieczni na górze.

Mówił tonem absolutnej pewności, sam nie wierząc w ani jedno słowo.

- Płyniemy w tym samym porządku - zdecydował Pitt. - Pamiętajcie, by zbliżając się do powierzchni, stopniowo wydychać powietrze. Nie jest daleko i nie ma sensu, by przez taki drobiazg ktoś nabawił się choroby kesonowej. W tym wypadku byłaby niegroźna, ale bolesna.

Odwrócił się do Summer, której mokra suknia zamieniła się w przezroczysty, zielonkawy welon przylegający ciasno do zgrabnego ciała. Znał wiele kobiet, ale w porównaniu z tą dziewczyną z podwodnego miasta, wszystkie wydały mu się teraz nieciekawe i niepociągające. Tak się nad tym zamyślił, że nie zauważył, iż pierwsza para jest już w wodzie.

- Do zobaczenia na górze - pożegnał się Giordino z uśmiechem na ustach i z powagą w oczach.

- Powodzenia - uśmiechnął się z trudem Dirk. - Uważaj na rekiny.

- Nie przejmuj się. Jak któregoś zobaczę, będę gryzł pierwszy. - Al pomachał ręką i z Adrienne przytuloną do pleców zanurkował ku podwodnemu wylotowi pieczary.

Zapanował dziwny spokój. Woda leniwie pluskała o brzeg, kraby ostrożnie wychodziły z ukrycia, a wszystko oświetlał słaby blask dochodzący z zewnątrz i rzucający dziwaczne cienie na sklepienie i ściany.

- Na górze czeka nas nowe życie - powiedział.

Spojrzała mu w oczy i delikatnie pogładziła po twarzy. Rozplakała się. Miłość do ojca walczyła z uczuciem do tego nieznanego i nie mogła się zdecydować, jak postąpić. Łzy na jej policzkach zmieszały się z morską wodą i nagle już wiedziała, co powinna zrobić.

- Jestem gotowa. Ty jesteś ranny i powinieneś płynąć pierwszy. Tak będzie bezpieczniej.

Przytaknął w milczeniu, poddając się słuszności logiki. Musnął wargami jej usta, uśmiechnął się, zanurzył i zniknął. Obserwowała nagi kształt, aż zniknął w wylocie. Westchnęła.

- Żegnaj, Dirku Pitt - szepnęła do siebie i skalnych ścian.

Wygięła ciało w łuk, odbiła się i bez plusku zanurkowała. Przez chwilę patrzyła na jasno oświetlone słońcem wyjście na zewnątrz, po czym odwróciła się i popłynęła ku złocistej jaskini, w której leżało ciało ojca.

Im wyżej Pitt się unosił, popychany miarowymi ruchami stóp, tym woda stawała się coraz cieplejsza. Pięćdziesiąt stóp - tyle było na głębokościomierzu Ala. Pomimo otwartych oczu niewiele widział w zielonkawej wodzie, przyzwyczajony do używania maski. Rozróżniał jedynie rytmiczne falowanie powierzchni błyszczącej od promieni słonecznych. Powoli wypuszczał powietrze, zmniejszając ciśnienie w płucach. Ze zdumieniem obserwował, jak wydychane bąbelki unosiły się ku powierzchni, tworząc rojowisko wokół jego głowy, zupełnie jakby był zawieszony w próżni kosmicznej. Gdy jego głowa przebiła powierzchnię, poczuł palące promienie tropikalnego słońca. Gwałtownie nabrał powietrza i przez chwilę oddychał głęboko, unosząc się na łagodnej fali. Zamrugał i zaczął rozglądać się za pozostałymi. Adrienne i Al unosili się o dwadzieścia stóp z boku, znikając i wychylając się zgodnie z ruchem fal.

Nagle z dołu rozległ się głuchy grzmot. Po chwili morze eksplodowało masą powietrznych bąbli. Na powierzchnię wypłynęły odłamki skał, kawałki drewna i strzępy tkaniny. Był to ostateczny koniec Kanoli i koniec hawajskiego wiru.

Pitt rozejrzał się, szukając Summer, ale nie było śladu jej ognistej czupryny. Wykrzyknął jej imię - odpowiedzią była cisza. Zanurkował w beznadziejnej próbie odnalezienia jej, ale jego ciało odmówiło posłuszeństwa - osiągnęło kres swoich możliwości i przestało reagować na polecenia mózgu. Jakby kierowane autopilotem zmieniło położenie i zaczęło powoli płynąć ku górze. Z dna uniół się jakiś czarny kształt i płynął nad nim, przesłaniając światło słoneczne. Wyglądał jak monstrualna ryba. Tym razem naprawdę go to nie obchodziło - po raz pierwszy w życiu przyjmował śmierć bez walki, przeklinając morze i wszystko, co z nim związane. Złośliwie ofiarowało mu dziewczynę, którą pokochał, tylko po to, by ukraść mu ją na zawsze i pogrzebać w swych głębinach. Dotarł do powierzchni, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę i nagle coś złapało go za ramię. Spojrzał w górę i zobaczył zamazane twarze wyglądające z wnętrza tej wielkiej „ryby”. Coś łagodnie uniosło go na powierzchnię, otuliło w pled i jedna z twarzy przybliżyła się na tyle wyraźnie, że mógł rozróżnić jej rysy.

- Jezus Maria! - jęknął Crowhaven. - Co pan ze sobą zrobił?

Pitt chciał coś powiedzieć, ale rozkaszłał się i zamiast słów z ust popłynęła woda i wymioty. Dopiero gdy atak kaszlu minął, zdołał wykrztusić:

- „Starbuck”... Udało wam się...

- Szczęście Crowhavenów - uśmiechnął się komandor. - Rakieta eksplodowała po przeciwnej stronie góry. Fala uderzeniowa osłabiona przez zbocze nie zniszczyła okrętu, ale przełamała siłę zasysającą i oto jesteśmy. Choć nie sądzę, żeby US Navy była zachwycona tym, co zrobiłem z jej

najnowszym cudem. Jedna śruba odłamana razem z wałem przy samym kadłubie, a druga pocięta jak precel.

Dirk z trudem uniósł głowę i dostrzegł Adrienne i Ala spoczywających obok, owiniętych w białe pledy. Jeden z marynarzy opatrywał dłoń Giordino.

- Dziewczyna... - szepnął. - Była z nami jeszcze dziewczyna.

- Nie ma strachu, majorze - uspokoił go Crowhaven. - Jeżeli przeżyła to piekło, to odnajdziemy ją.

Pitt skinął głową i opadł na pokład. Nie miał siły myśleć. Błyskawicznie otoczyła go ciemność i zapadł w sen.

Załoga USS „Starbuck” długi czas prowadziła poszukiwania, ale nigdy nie odnaleziono najmniejszego śladu Summer.

EPILOG

Dokładnie o 10.35 otworzyła się brama numer pięć i długi rząd pasażerów zaczął wchodzić na pokład odrzutowca Pan American gotowego do lotu do San Francisco. Wśród pożegnań i śmiechów turyści w obszernych hawajskich koszulach znikali we wnętrzu odrzutowca numer 935 PA

Ryknęły turbiny, załoga sprawdziła odczyty i uzyskała pozwolenie na start. Potężny odrzutowiec podkołował na początek długiego pasa startowego i zwiększając obroty turboodrzutowych silników, zaczął startować. Powoli nabierał szybkości, aż w końcu oderwał się od ziemi. Nad Nimitz Highway schował podwozie i zaczął łagodny, pełen gracji zakręt w prawo, nabierając jednocześnie wysokości. Lśniący aluminium kadłub przemknął z rykiem nad kompleksem Tripler Military Hospital, kierując się na północny wschód ku wybrzeżom Stanów Zjednoczonych.

Pitt stał przy oknie swego szpitalnego pokoiku i obserwował Boeinga 747, aż ten zniknął w blasku słońca nad Diamond Head. Jeszcze przez chwilę trwał pogrążony w myślach, po czym wrócił do rzeczywistości i nieporadnego zapinania jedną ręką guzików koszuli - prawe ramię było unieruchomione i zawieszona na czarnej, nylonowej przepasce. Gdy po denerwujących zmaganiach z własną garderobą wreszcie się ubrał, położył się na pachnącym szpitalną czystością łóżku i zamknął oczy, przypominając sobie całą tę fantastyczno-dramatyczną przygodę: od odnalezienia kapsuły zaczynając, przez spotkanie z Adrienne i poznanie Summer, Bolanda czołgającego się po pokładzie, złote oczy Delphiego, na katastrofie Kanoli kończąc. Wszystko to wirowało niczym w kalejdoskopie. Zawsze jednak na pierwszy plan wysuwał się jeden obraz: Summer. Próbował ją sobie przypomnieć aż do najdrobniejszych szczegółów, wesołą i żywą, ale obraz był odległy i niewyraźny. Wiedział, że w miarę upływu czasu zblaknie jeszcze bardziej, ale wiedział też, że nigdy jej nie zapomni. Summer była bowiem dla niego w rodzajem symbolu - ideałem kobiety, którego mężczyzna szuka, ale którego nigdy nie jest mu dane osiąść.

Do rzeczywistości przywołało go pukanie do drzwi. Jeszcze zanim zdołał się odezwać, w progu pojawił się admirał Hunter.

- Przepraszam, że tak nagle wpadam, ale dowiedziałem się, że dziś pana wypisują. Chciałem porozmawiać, zanim pan wyjdzie. - Hunter zdjął czapkę, położył ją na szafie i z westchnieniem ulgi siadł na pobliskim krześle.

Pitt usiadł na łóżku i przyjrzał się uważnie gościowi. W wyglądzie admirała było coś dziwnego. Gdy domyślił się, o co chodzi, parsknął śmiechem.

- Przepraszam - powiedział - ale pierwszy raz widzę pana bez papierosa.

- Jakaś stara prukwa, która tu jest oddziałową, nie chciała mnie wpuścić, dopóki go nie zgasiłem - warknął rozeźlony Hunter.

Dirk podszedł do drzwi, zamknął je starannie i zaproponował:

- Niech się pan nie krępuje. Sam palę, a pan bez papierosa to naprawdę nienormalny widok.

Hunter uśmiechnął się z wdzięcznością i prawie natychmiast pomiędzy jego zębami pojawił się długi, cienki papieros, którym zaciągnął się z lubością. Wyraźnie się odprężył, po czym sięgnął do kieszeni munduru, wyjął coś i rzucił na łóżko.

- Myślałem sobie, że mógłby pan zatrzymać ten drobiazg na pamiątkę.

Był to jeden z pistoletów-rękawiczek, którymi posługiwali się ludzie Delphiego.

- Doszliście, na jakiej zasadzie to działa? - spytał Pitt, podnosząc broń.

- Gdy naciska się przycisk, uwalnia się sprężynę, która powoduje zamknięcie obwodu elektrycznego i odpalenie ładunku w pocisku, który leci do celu napędzany własnym minisilnikiem przez pierwszą sekundę. Ładunek potem się wypala, a kula leci siłą rozpędu.

- Inaczej mówiąc minirakietka.

- Wątpię, by armia przyjęła ją na wyposażenie, ale na niewielki dystans to skuteczna broń.

Pitt schował broń do kieszeni. W jego kolekcji będzie miała poczesne miejsce. Hunter wrzucił niedopałek do szklanki z wodą i dodał:

- Może pana zainteresuje, że nurkowie nie znaleźli niczego wartościowego w okolicy miejsca wybuchu. To co pan widział wewnątrz, jest pogrzebane na wieki.

- Żółta jaskinia?

- Mała jaskinia z krabami istnieje, ale przejście do większej jest całkowicie zasypane skałami.

Pitt spojrzał przez okno - morze i niebo zmieniły barwę, gdy chmura zakryła słońce.

- A Delphi? - spytał.

- Delphi Moran istotnie był synem Fredericka Morana, doskonałym studentem, który z wyróżnieniem skończył CalTech. Około dwudziestu pięciu lat temu wraz z żoną zniknął bez śladu, idąc, jak teraz wiemy, śladami ojca. - Admirał zapalił kolejnego papierosa.

- Tak więc legenda o hawajskim wirze przestała istnieć. Nie było w tym nic nadnaturalnego ani tajemniczego.

- Nie całkiem - sprzeciwił się cicho Hunter. - Pozostała pewna tajemnica.

- Jaka?

- Kanoli. Ostatnia nie wyjaśniona zagadka.

- Moran udowodnił jej istnienie - zdziwił się Pitt - a Al, Adrienne i ja widzieliśmy ją na własne oczy. Może mi pan wierzyć, że była tak samo realna jak ten szpital.

Chwilę Hunter siedział zatopiony w myślach, po czym spytał:

- Powiedział pan, że Delphi twierdził, iż jego ojciec i dwóch innych naukowców odkryli ten system tuneli i stracili rok na osuszenie go?

Dirk w milczeniu skinął głową.

- Należy więc założyć, że sami raczej nie drążyli tuneli, a jeżeli to niewiele i raczej jako przejścia pomiędzy już istniejącymi.

- Takie odniosłem wrażenie, gdyż o drążeniu tuneli praktycznie nie było mowy. Wykorzystali przejścia istniejące od wieków, a wykopane przez Polinezyjczyków. Tu legenda o Kanoli pokrywa się z tym, co odnaleziono na wielu innych wyspach. Nie wiadomo po co, ale kopali tunele podobnie jak inne starożytne cywilizacje, choćby egipska czy perska.

- Racja, tylko że Polinezyjczycy do pojawienia się tu kapitana Cooka nie znali metalowych narzędzi. A było to znacznie później niż zatonięcie Kanoli. Nikt nie kwestionuje, że mieli wystarczającą technologię, by drążyć miękką i porowatą lawę czy koral, ale to co pan widział, to był solidny granit. Jakim cudem zdołali w nim wydrążyć labirynt liczący cztery mile, przezrocyste okna widokowe i potężne schody? Jakim sprzętem musieli dysponować, by uzyskać gładkie ściany? Oni po prostu nie byli w stanie tego wykonać.

- Więc kto to zrobił?

- A kto to może wiedzieć? Archeologowie będą się nad tym zastanawiali długo i jak zwykle bez efektu. Już teraz teorie sypią się jak z rękawa. Spore szanse mają Sumerowie, gdyż posągi, które pan opisał, przypominają jakiegoś ich boga mórza liczącego sobie cztery tysiące lat. Pozostaje jeszcze teoria przybyszów z kosmosu, ale nikt tego głośno nie powie. I tak nikt nie pozna odpowiedzi; leży pogrzebana pod tysiącami ton skał.

- Podejrzewam, że US Navy nie cieszy się zbytnią popularnością w środowisku akademickim.

Hunter skrzywił się i mruknął:

- Bóg wie, że ta cholerna rakietka nie była moim pomysłem.

Zapadła cisza, gdy obaj pograżyli się we własnych, niewesołych myślach. Po chwili Hunter zdał sobie sprawę, że wyrosła między nimi bariera, którą nieledwie mógł wyczuć.

- Tak nawiasem mówiąc... - powiedział. - „Starbuck” w przyszłym miesiącu będzie tu kończył próby przerwane pół roku temu. Nowym dowódcą okrętu został komandor Sam Crowhaven.

- Doskonały wybór. Nie można dać lepszego dowódcy okrętowi niż tego, który go uratował, ryzykując życiem.

- I miejmy nadzieję, że okręt będzie pływał pod szczęśliwszą gwiazdą niż dotąd. - Hunter znów zgasił niedopałek w szklance, wziął czapkę i wstał. - Lepiej się pospieszę. Sto pierwsza Flota dostała delikatną robotę do wykonania.

- „Andriej Wyborg”?

- Nie daje się pan zaskoczyć, co? - roześmiał się Hunter.

- Staram się, jak mogę.

- Nie muszę panu mówić, że to ściśle tajna operacja.

- Obiecuję nie zwoływać w tej sprawie konferencji prasowej.

- Doskonale. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Jeszcze jedno. - Głos admirała nagle przycichł. - Chciałem panu podziękować za Adrienne. Nie tylko za to, że ją pan uratował, ale też za to, że uzmysłowił pan prawdę bezmyślnemu ojcu. Może zapomnimy o błędach przeszłości i zaczniemy od nowa. I właśnie za to będę panu zawsze wdzięczny.

Łzy w jego oczach zaskoczyły Dirka. Chciał coś powiedzieć, ale zrozumiał, że cokolwiek by zrobił, nie pasowałoby do sytuacji. Drzwi cicho trzasnęły i pozostał sam.

Drzwi windy zamknęły się bezgłośnie i Pitt wszedł do hallu szpitala. Oczekiwał go tu komitet powitalny w składzie: Giordino, Boland i Denver.

- Wyglądacie jak pacjenci chirurgii pourazowej - powitał ich z uśmiechem.

Giordino siedział rozparty w fotelu na kółkach, w szlafroku narzuconym na jaskrawoczerwoną piżamę. Obandażowane stopy spoczywały na drewnianych wspornikach dorobionych z przodu wózka. Boland z prawą ręką na temblaku, identycznym jak Pitta, też miał na sobie niebieski, szpitalny szlafrok. Jedynie Denver wydawał się zdrowy.

- Bez pożegnalnej imprezy nie wypuścimy cię stąd - oznajmił Giordino.

Boland rozejrzał się ostrożnie po korytarzu i rzekł przyciszonym głosem:

- Przemyciłem do pokoju butelkę Cutty Sark.

- A ja mam litr wódki. - Denver poklepał wybrzuszenie pod hawajską koszulą.

- Kto prowadzi ten szpital? - zdziwił się Pitt. - Stowarzyszenie Matek Różańcowych czy Liga Abstynentów?

- Siostrzyczki mają fioła na punkcie procentów - odparł Al, wzruszając ramionami. - To pewnie z powodu nadmiaru wolnego czasu.

- Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy robić przyjęcie w sterylnym i nudnym szpitalu - stwierdził Pitt. - Spotkajmy się u mnie w hotelu w następną sobotę, do tego czasu obaj powinniście już wyjść. Zorganizuję parę dziewczyn i porządny bufet.

- Może i opłaci się poczekać - przyznał Boland.

Sztuczny humor Dirka nie oszukał Giordino.

- Oto stoi przed wami kochany i uwielbiany Dirk Pitt - oznajmił uroczyście. - Tylko się samotnie nie zasmuć na śmierć.

- Postaram się, stary mamucie - sapnął Pitt, wdzięczny za troskę.

- Dobrze, to na sobotę zamawiam rudą, tylko wystarczająco silną, by mogła mnie nosić po pokoju.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał Pitt.

Pożegnał się, wymienił uściski rąk i wyszedł na ocieniony palmami podjazd.

Postał chwilę przed budynkiem szpitala, podziwiając egzotyczną panoramę miasta: od statków w porcie na zachodzie do hoteli górujących nad plażą Waikiki na wschodzie. W oddali rozciągało się morze i rafa koralowa, skąd szare fale nadpływały ku Oahu jakby pchane niewidzialnymi dłońmi olbrzyma. Z kontemplacji widoków wyrwał go niski pomruk silnika. Spojrzał w bok i dostrzegł znajomy kształt czerwonej Cobry stojącej o jard od niego. Z samochodu wysiadł uśmiechnięty marynarz Yager.

- Witam, panie Pitt. Tak sobie pomyślałem, że może pan potrzebować swojego samochodu, więc go odebrałem z parkingu portowego. Nie miałem kluczyków i musiałem odpalić na styk, ale starałem się niewiele uszkodzić. I przy okazji byłem w myjni.

- Dzięki, właśnie miałem zamiar dzwonić po taksówkę. Podwieźć pana gdzieś?

- Nie, próbuję szczęścia z pewną pielęgniarką. - Yager zasalutował niedbale i zniknął w drzwiach szpitala.

Dirk wsiadł, czując znaczną poprawę samopoczucia. Prowadzenie samochodu stanowiło miłą odmianę po ostatnich dniach. Po kilku próbach udało mu się zgrać prowadzenie i zmiany biegów jedną ręką, ale jechał powoli, nie chcąc zbytnio ryzykować. Z Nuuanu Poli Pass skręcił w lewo na Highway 83 i mając przed sobą prostą drogę do Kaneohe, przyspieszył do dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Pędził wzdłuż Koolau Mountain Range wznoszących się na zachodzie, zwalniając jedynie, gdy przejeżdżał przez wioski. Wszystkie wyglądały podobnie, ale każda miała własną

dźwięczną i dziwną nazwę: Heeia, Kaalaea, Waikane, Kaawa, Kohana.

Zjechał z drogi i zatrzymał się przed starym, opuszczonym domem ocienionym kępą wysokich palm. W samym środku zarośniętego ogrodu stało drzewo, które kiedyś tu dostrzegł przypadkiem, a które wówczas nie miało dlań żadnego znaczenia: plumeria. Długie, ostro zakończone liście strzelały na dwadzieścia stóp w niebo, a zapach biało-żółtych kwiatów był wszechobecny i niemal duszący. Wrócił do wozu i delikatnie położył naręcze na przednim siedzeniu. Ruszył na zachód ku Kaena Point.

Był przyływ i fale z pluskiem rozbijały się o brzeg. Gdy woda cofała się, piasek pozostawał świeży i czysty, a malutkie kraby czym prędzej zabierały się za kopanie nowych dziur.

Pitt stał na skraju Kaena Point, spoglądając w morze. Stał długo - przyływ się skończył i morze zaczęło ustępować z plaży, a on nadal wspominał. Wszystko zaczęło się tutaj i tutaj się skończy, przynajmniej dla niego. Wiedział jednak, że są rzeczy, które pozostaną w nim na zawsze.

W górze albatros zataczał leniwie kręgi, po czym nagle zawrócił ku północy, jakby dostrzegł tam coś interesującego. Dirk obserwował go, do chwili kiedy ptak stał się tylko czarną plamką na błękitnym niebie. Powietrze wokół pachniało plumerią i Dirkowi zdawało się, że słyszy głos dobiegający wprost z oceanu: „A ka makami hema pa”. Nasłuchiwał uważnie, ale głos umilkł. Przez chwilę spoglądał na bukiet i w końcu szerokim łukiem wrzucił go do morza, obserwując, jak fala zakrywa kwiaty i odpływając rozrzuca je po mokrym piasku.

Odwracając się od wody, odczuł ogromną ulgę i nagle poczuł się szczęśliwy. Pogwizdując, wsiadł do wozu. Cobra pomknęła piaszczystą drogą, pozostawiając za sobą cienką, smuzkę kurzu powoli opadającego na pustą plażę.